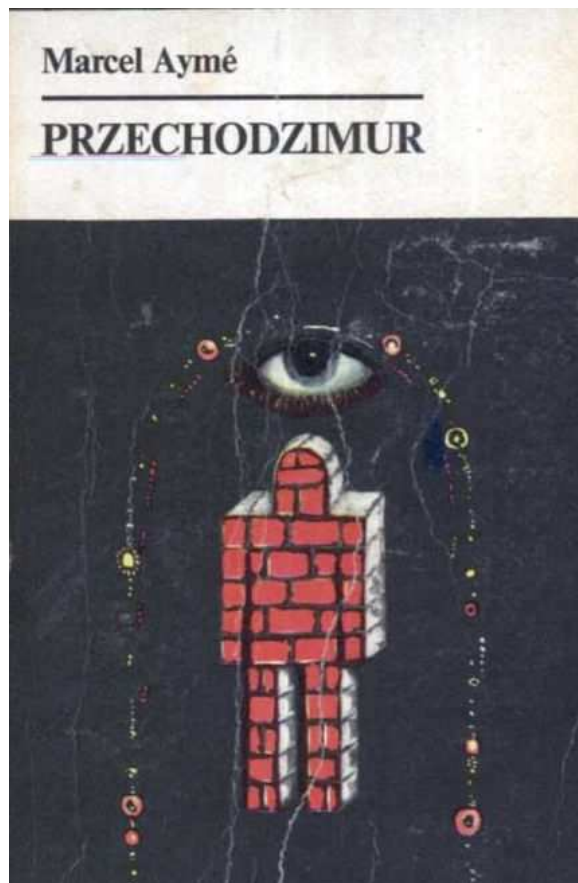


MARCEL AYMÉ

PRZECHODZIMUR

OPOWIADANIA

PRZEKŁAD: MARIA OCHAB



WYDAWNICTWO „KSIĄŻKA I WIEDZA” WARSZAWA 1979

Przechodzimur

W dzielnicy Montmartre, na trzecim piętrze domu nr 75 bis przy ulicy Orchampt, mieszkał zacny jegomość nazwiskiem Dutilleul, który posiadał szczególną zdolność przechodzenia przez ściany bez najmniejszej dla siebie niewygody. Nosił binokle, krótką czarną bródkę i był urzędnikiem trzeciej kategorii w Ministerstwie Rejestracji. W zimie jeździł do biura autobusem, latem zaś chodził do pracy pieszo, w meloniku na głowie.

Dutilleul rozpoczął właśnie czterdziesty trzeci rok życia, gdy zdał sobie sprawę ze swej dziwnej właściwości. Pewnego wieczoru, kiedy stał w korytarzu swego kawalerskiego mieszkania, nagle zgasło światło; przez chwilę błądził po omacku, a kiedy światło znowu zabłyśło, znalazł się nieoczekiwanie na klatce schodowej trzeciego piętra. Ponieważ drzwi do mieszkania były od wewnątrz zamknięte na klucz, sprawa dała mu wiele do myślenia i mimo że zdrowy rozsądek się przed tym bronił, postanowił wrócić do mieszkania tak, jak z niego wyszedł, to znaczy przez ścianę. Dziwna ta zdolność, nie odpowiadająca żadnym jego ambicjom, nieco go zbijała z tropu i nazajutrz, korzystając z wolnej soboty, poszedł do dzielnicowego lekarza, by przedstawić mu rzecz całą. Doktor mógł się przekonać, że mówi prawdę, i po zbadaniu pacjenta odkrył przyczynę choroby w heliokoloidalnym stwardnieniu nadmięśnia poprzecznego tkanki tyranoidalnej. Przepisał mu intensywne zmęczenie oraz proszek tetrawalentny, mieszaninę mąki ryżowej z hormonami centaury, w dawce dwóch pigułek rocznie.

Dutilleul przyjął pierwszą pigułkę, resztę zaś schował do szuflady i przestał o tym myśleć. Co do intensywnego zmęczenia, to życie urzędnicze uregulowane było zwyczajami nie dającymi okazji do żadnych ekscesów, a czas wolny od pracy poświęcał na lekturę dzienników i kolekcjonowanie znaczków pocztowych, co również nie wymagało nadmiernego zużycia energii. Zachował więc w dalszym ciągu zdolność przechodzenia przez ściany, ale nie korzystał z niej nigdy, czy to przez zapomnienie, czy też dlatego, że nie był ciekaw przygód i nie dawał się porwać wyobraźni. Nie przychodziło mu nawet do głowy, że mógłby wejść do mieszkania inaczej niż przez drzwi, otworzywszy je uprzednio kluczem. Być może, w spokoju dożyłby starości, trwając w swoich przyzwyczajeniach i nie ulegając pokusie wystawiania swych zdolności na próbę, gdyby nie pewne nadzwyczajne wydarzenie, które zburzyło całe jego dotychczasowe życie. Przełożony Dutilleula, pan Mouron, zastępca kierownika biura, został przeniesiony na inne stanowisko, a na jego miejsce pojawił się niejaki Lécuyer, który mówił urywanymi zdaniem i miał wąsy przyszyte w szczoteczkę. Od pierwszego dnia nowy zastępca kierownika patrzył złym okiem na Dutilleula – z jego lorgnon na łańcuszku i czarną bródką; traktował go jak jakiś przedmiot – stary, zawadzający i niezbyt czysty. Najgorsze jednak było to, że chciał wprowadzić w biurze daleko idące reformy, które ogromnie zakłóciły spokój podwładnego. Od dwudziestu lat Dutilleul rozpoczynał listy takim oto zwrotem: „W nawiązaniu do pańskiego szacownego pisma z dnia tego i tego bm. i do wcześniejszej wymiany listów między nami mam honor powiadomić pana...” Dutilleul nie potrafił przyzwyczaić się do nowych obyczajów epistolarnych. Mimo woli wracał do tradycyjnej manieri z bezwiednym uporem, który potęgował jeszcze stale rosnącą wrogość zastępcy kierownika. Atmosfera w Ministerstwie Rejestracji stała się niemal nie do zniesienia. Rankiem Dutilleul wyruszał do pracy ze strachem, a wieczorem bywało, że przed zaśnięciem przez cały kwadrans medytował w łóżku.

Rozgoryczony konserwatyzmem podwładnego, konserwatyzmem psującym efekt jego reform, pan Lécuyer odesłał Dutilleula do na wpół ciemnego pokoiku przylegającego do jego gabinetu. Wchodziło się tam przez niskie i wąskie drzwi, na których widniał jeszcze napis drukowanymi literami: „Rupieciarnia”. Dutilleul przyjął z rezygnacją to bezprecedensowe

upokorzenie, ale w domu, czytając w gazecie opis jakiegoś krwawego wypadku, łapał się na tym, że marzy, by jego ofiarą padł pan Lécuyer.

Pewnego dnia zastępca kierownika wkroczył gwałtownie do pokoiku trzymając w wyciągniętej ręce jakiś list i ryknął:

– Pan przepisze na nowo tę szmatę! Pan przepisze tę wstrętną szmatę, która hańbi moje biuro!

Dutilleul chciał zaprotestować, ale pan Lécuyer grzmiącym głosem wyzwał go od plu-skiew i rutyniarzy, a przed wyjściem zmiął list, który trzymał w ręku, i cisnął mu go w twarz. Dutilleul był człowiekiem skromnym, ale swój honor miał. Kiedy został sam w pokoju, ogarnęła go lekka gorączka i nagle poczuł, że spłynęło na niego natchnienie. Wstał z fotela i wszedł w ścianę dzielącą jego pokój od gabinetu zastępcy kierownika, tak jednak ostrożnie, by z drugiej strony muru wyłaniała się tylko głowa. Pan Lécuyer siedział przy biurku i jeszcze nerwowym ruchem piórem przestawiał przecinek w przedstawionym mu do aprobaty piśmie jakiegoś urzędnika, kiedy usłyszał, że ktoś w jego gabinecie pokasłuje. Podniósł oczy i z niewypowiedzianym przerażeniem ujrzał głowę Dutilleula przyklejoną do ściany jak myśliwskie trofeum. Ta głowa była żywa. Zza wiszącego na łańcuszku lorgnon przesywała go spojrzeniem pełnym nienawiści. Więcej, głowa przemówiła:

– Panie – powiedziała – jest pan hultajem, chamem i łobuzem.

Oszalały z przerażenia Lécuyer nie mógł oderwać oczu od tej zjawy. Zerwał się wreszcie z fotela, wypadł na korytarz i pobiegł do pokoiku Dutilleula. Dutilleul z obsadką w ręku siedział na zwykłym miejscu pisząc coś spokojnie i pracowicie. Zastępca kierownika długo mu się przyglądał, wybełkotał jakieś niezrozumiałe słowa i wrócił do swojego gabinetu. Gdy tylko usiadł za biurkiem, głowa ponownie pojawiła się na ścianie.

– Panie, jest pan hultajem, chamem i łobuzem.

Tego dnia przerażająca głowa ukazała się na ścianie dwadzieścia trzy razy i – z taką częstotliwością – w ciągu dni następnych. Dutilleul nabrał pewnej wprawy w tej zabawie, nie zadowolając się już znieważaniem zastępcy kierownika, grobowym głosem ciskał nań niejasne groźby, przerywane zaiste demonicznym śmiechem:

– Garu! Garu! Strach z browaru! (śmiech). Zmiecie i zgniecie wszystko na świecie! (śmiech).

Co słysząc, nieszczęsny zastępca kierownika bladł coraz bardziej, tracił oddech, włosy jeżyły mu się na głowie, a po plecach spływał straszliwy pot, jakby był w agonii. Pierwszego dnia stracił pół kilo. W następnym tygodniu nie dość że wprost nił w oczach, to jeszcze nabrał zwyczaju jedzenia zupy widelcem i salutowania policjantom. Na początku drugiego tygodnia pogotowie zabrało go z domu i zawiozło do szpitala.

Dutilleul, uwolniwszy się od tyranii pana Lécuyer, mógł powrócić do swoich ukochanych sformułowań: „W nawiązaniu do pańskiego szacownego pisma z dnia tego i tego...” A jednak nie był zadowolony. Coś się w nim burzyło, jakaś nowa, nieodparta potrzeba, która była ni mniej, ni więcej tylko potrzebą przechodzenia przez ściany. Oczywiście mógł to robić bez trudu, np. we własnym domu, i zresztą robił. Ale człowiek obdarzony wybitnymi zdolnościami nie może zadowolić się długo wykorzystywaniem ich na małą skalę. Przechodzenie przez ściany nie mogło być zresztą celem samym w sobie. To był tylko wstęp do przygody, która domagała się dalszego ciągu, rozwinięcia i – w końcu – nagrody. Dutilleul dobrze to rozumiał. Czuł w sobie potrzebę ekspansji, wciąż rosnące pragnienie autorealizacji i przekroczenia samego siebie, pewną tęsknotę będącą jak gdyby wezwaniem spoza muru. Niestety brakowało mu celu. Szukał natchnienia w lekturze gazet, zwłaszcza w artykułach o polityce i sporcie, które uważał za zajęcia godne szacunku, ale przekonawszy się, że nie oferują one żadnych możliwości osobom, które przechodzą przez ściany, ograniczył się do rubryki wypadków. Ta zaś okazała się niezwykle zapładniająca.

Pierwsze włamanie Dutilleula miało miejsce w wielkim przedsiębiorstwie kredytowym

na prawym brzegu Sekwany. Przeszedłszy tuzin murów, ścian i przepierzeń, wkroczył do wielu sejfów, napełnił kieszenie banknotami, a przed odejściem podpisał się czerwoną kredą pseudonimem „Garu-Garu”, z pięknym zakrętasem, co nazajutrz ukazało się we wszystkich dziennikach. Po tygodniu imię Garu-Garu zaznawało już nadzwyczajnej sławy. Fascynujący włamywacz, który tak pięknie drwił z policji, bez reszty zyskał sobie sympatię publiczności. Co noc dawał o sobie znać nowym wyczynem popełnionym ze szkodą dla jakiegoś banku, jubilera lub bogacza. Tak w Paryżu, jak na prowincji nie było marzycielskiej kobiety, która nie pragnęłaby gorąco należeć duszą i ciałem do straszliwego Garu-Garu. Po kradzieży słynnego diamentu z Burdigala i włamaniu do Banku Miejskiego, którego dokonał w tym samym tygodniu, entuzjazm tłumów sięgnął szczytu. Minister spraw wewnętrznych został zmuszony do dymisji, a to pociągnęło za sobą upadek ministra rejestracji. Tymczasem Dutilleul, który stał się jednym z najbogatszych ludzi Paryża, nadal zawsze punktualnie zjawiał się w swoim biurze i wysunięto nawet jego kandydaturę do palm akademickich. Rankiem z rozkoszą wysłuchiwał komentarzy kolegów o swoich wyczynach z ubiegłego dnia. „Ten Garu-Garu – mówili – jest wspaniałym człowiekiem, nadczołowiekiem, geniuszem”. Słyszając te pochwały Dutilleul mieszał się i rumienił, a jego spojrzenie zza lorgnon na łańcuszku błyskało przyjaźnie i z wdzięcznością. Atmosfera sympatii wzbudziła w nim taką ufność, że w końcu nie mógł dłużej zachować tajemnicy. Z resztką nieśmiałości, patrząc na kolegów czytających w gazecie o włamaniu do Banku Francji, skromnie oświadczył: „Wiecie, Garu-Garu to ja”. Wyznanie Dutilleula przyjęte zostało gromkim, nie kończącym się śmiechem; natychmiast zyskał przydomek Garu-Garu. Wieczorem, wychodząc z ministerstwa, koledzy kpili sobie z niego bezlitośnie i życie wydało mu się mniej piękne.

Kilka dni później Garu-Garu został schwytany przez patrol w sklepie jubilerskim na ulicy de la Paix. Złożył swój podpis przy kasie i zaczął śpiewać pijacką piosenkę rozbijając witryny za pomocą pucharu z litego złota. Z łatwością mógł wejść w ścianę i umknąć patrołowi, ale wszystko wskazuje na to, że chciał zostać aresztowany, prawdopodobnie tylko dlatego, by zamknąć usta kolegom, których niedowierzanie go upokorzyło. Byli istotnie zaskoczeni, kiedy nazajutrz gazety opublikowały na pierwszej stronie fotografię Dutilleula. Gorzko żalowali, że nie poznali się na genialnym koledze, i w hołdzie dla bohatera zapuścili sobie małe bródki. Niektórzy, pełni podziwu i powodowani wyrzutami sumienia, próbowali nawet wyrobić sobie rękę na portfelach i zegarkach przyjaciół i znajomych.

Sądziecie niewątpliwie, że fakt, iż ktoś daje się złapać policji, by zadziwić paru kolegów, świadczy o wielkiej lekkomyślności, niegodnej człowieka wyjątkowego, ale przy takiej determinacji siła woli znaczy niewiele. Rezygnując z wolności Dutilleul sądził, że ulega dumnemu pragnieniu odwetu, podczas gdy w rzeczywistości szedł po prostu ku swemu przeznaczeniu. Człowiek, który przechodzi przez ściany, nie odniesie pełnego sukcesu, jeśli choć raz nie zazna więzienia. Kiedy Dutilleul znalazł się w pomieszczeniach więzienia Santé, poczuł, że los go rozpieszcza. Grubość murów zapowiadała prawdziwą ucztę. Już nazajutrz po jego uwięzieniu strażnicy odkryli ze zdumieniem, że więzień wbił gwóźdź w ścianę celi i powiesił na nim złoty zegarek należący do dyrektora. Nie mógł lub też nie chciał wyjawić, w jaki sposób ten przedmiot znalazł się w jego posiadaniu. Zegarek został zwrócony właścicielowi, a nazajutrz odnaleziony przy łóżku Garu-Garu wraz z pierwszym tomem *Trzech muszkieterów* pożyczonym z biblioteki dyrektora. Personel więzienia Santé miał pełne ręce roboty. Strażnicy skarżyli się, że dostają kopniaki, których pochodzenia nie sposób wytłumaczyć. Zdawało się, że ściany mają nie tylko uszy, ale i nogi. Garu-Garu siedział już od tygodnia, kiedy dyrektor Santé wchodząc rano do swego gabinetu znalazł na stole list następującej treści:

„Szanowny panie dyrektorze! W nawiązaniu do naszej rozmowy z 17 bm. i – dla pamięci – do pańskich ogólnych wskazówek za wartych w instrukcji z 15 maja ubiegłego roku, mam honor powiadomić pana, że zakończyłem lekturę drugiego tomu *Trzech muszkieterów* i mam zamiar uciec tej nocy między godziną 11.25 a 11.35. Proszę przyjąć, panie dyrektorze,

wyrazy najgłębszego szacunku. Garu-Garu”.

Mimo ścisłego nadzoru Dutilleul zbiegł w nocy o godzinie 11.30. Wiadomość o tym dotarła do publiczności nazajutrz rano i wzbudziła nieopisany entuzjazm. A Dutilleul, dokonawszy nowego włamania, przez co popularność jego sięgnęła szczytu, zdawał nie troszczyć się zbytnio o własne bezpieczeństwo i krążył po Montmartre, bynajmniej się nie kryjąc. Trzy dni po ucieczce zatrzymano go tuż przed południem w kawiarni „Marzenie” przy ulicy Caulaincourt, gdzie wraz z przyjaciółmi popijał białe wino z cytryną.

Odprowadzony do Santé i zamknięty na cztery spusty w ciemnym lochu, Garu-Garu uciekł stamtąd tego samego wieczoru i spędził noc w pokoju gościnnym w mieszkaniu dyrektora więzienia. Nazajutrz rano, o dziewiątej, zadzwonił na służącą po śniadanie i nie stawiając oporu dał się zwinąć zawezwanym strażnikom w łóżku. Rozwścieczony dyrektor postawił wartownika przed drzwiami lochu i trzymał Dutilleula o suchym chlebie. W południe więzień zwiął na obiad do sąsiadującej z więzieniem restauracji, a wypiwszy kawę zatelefonował do dyrektora.

– Halo! Panie dyrektorze, przykro mi, ale przed chwilą wychodząc zapomniałem pańskiego portfela, toteż jestem w restauracji bez grosza. Czy byłby pan tak dobry i przysłał tu kogoś, aby uregulował rachunek?

Dyrektor przybiegł we własnej osobie, poniosło go do tego stopnia, że groził i obrażał. Urażony w swej dumie Dutilleul zbiegł następnej nocy, by już nie wrócić. Tym razem przeznornie zgolił swą czarną bródkę i zastąpił lorgnon okularami w szyldkretowej oprawie. Sportowy kaszkiet, marynarka w kratę i spodnie do gry w golfa zmieniły go nie do poznania. Zamieszkał w małym apartamencie przy alei Junot, dokąd jeszcze przed pierwszym aresztowaniem przeniósł część mebli oraz rzeczy, na których najbardziej mu zależało. Szum wokół jego osoby zaczynał go męczyć, a od czasu pobytu w Santé nieco był przesycony rozkoszą, jaką czerpał z przechodzenia przez mury. Nawet najgrubsze i najdumniejsze zdawały mu się teraz zwykłymi parawanami i marzył o tym, by zagłębić się we wnętrze jakiejś potężnej piramidy. Dojrzewał w nim projekt podróży do Egiptu, tymczasem prowadził życie jak najbardziej spokojne, dzieląc czas między kolekcję znaczków pocztowych, kino i długie włóczęgi po Montmartre. Metamorfoza była całkowita, tak że wygolony i okularzony w szyldkret przechodził nie zauważony obok najlepszych przyjaciół. Jedynie malarz Gen Paul, którego uwagi nie mogły umknąć żadne zmiany fizjonomii starego mieszkańca dzielnicy, rozpoznał jego prawdziwą tożsamość. Któregoś dnia spotkał się twarzą w twarz z Dutilleulem na rogu ulicy Abreuvoir i nie mógł się powstrzymać, by nie powiedzieć mu w swym szorstkim slangu:

– No no, widzę, żeś wskoczył w gabardynę i robisz w konia ubusiów. – Co w języku wulgarnym znaczy mniej więcej: widzę, że przebrałeś się za eleganta, by zmylić inspektorów urzędu bezpieczeństwa.

– Och! – szepnął Dutilleul. – Rozpoznałeś mnie.

Zaniepokoiło go to i postanowił przyspieszyć wyjazd do Egiptu. Tego samego dnia po południu zakochał się w blond piękności spotkanej dwukrotnie, w ciągu kwadransa na ulicy Lepie. Z miejsca zapomniał o kolekcji znaczków, o Egipcie i piramidach. Blondyna ze swej strony przyglądała mu się z zainteresowaniem. Nic tak nie przemawia do wyobraźni dzisiejszych młodych kobiet jak spodnie od golfa i okulary w szyldkrecie. To trąci filmowcem i budzi marzenia o koktajlach i nocach w Kalifornii. Jak poinformował Dutilleula Gen Paul, piękna blondynka była niestety żoną brutala i zazdrośnika. Ten podejrzliwy mąż, który prowadził zresztą dość nieuregulowany tryb życia, między dziesiątą wieczór a czwartą rano pozostawiał żonę samą, ale przed wyjściem przeznornie zamykał ją w pokoju przekręcając dwa razy klucz w zamku i ryglując okiennice. W ciągu dnia pilnował jej bacznie, a nawet zdarzało się, że śledził ją na ulicach Montmartre.

– Waruje przy niej jak pies... Ten wstrętny typ nie dopuści, by ktokolwiek uszczknął jego kwiatka.

Ostrzeżenia Gen Paula jeszcze bardziej rozplomieniły Dutilleula. Nazajutrz, ujrawszy młodą kobietę na ulicy Tholozé, ośmielił się wejść za nią do mleczarni i gdy czekała w ogonku, powiedział jej, że kocha ją i szanuje, że wie wszystko – o złym mężu, zamkniętych na klucz drzwiach i okiennicach, ale że jeszcze dziś wieczór będzie w jej pokoju. Blondynka zaczerwieniła się, słoik z mlekiem zadrżał jej w ręku i z wilgotnymi ze wzruszenia oczami westchnęła słabo: „Niestety, proszę pana, to niemożliwe”.

Wieczorem, około dziesiątej, Dutilleul, pełen radości i nadziei, czuł przed ogrodzonym domkiem na ulicy Norvins. Zza grubego muru sterczał tylko komin i kurek na dachu. Drzwi w murze otworzyły się, mężczyzna, starannie zamknawszy je za sobą na klucz, poszedł w stronę alei Junot. Dutilleul poczekał, aż zniknie za rogiem, i policzył jeszcze do dziesięciu. Po czym krokiem gimnastyka wszedł w mur i biegnąc przez przeszkody wpadł do pokoju pięknej samotnicy. Przyjęła go w upojeniu i kochali się do późnej godziny.

Nazajutrz Dutilleul poczuł silny ból głowy. Rzecz była bez znaczenia: z tak błahego powodu nie wyrzekłby się spotkania. Niemniej odkrywając przypadkiem pozostawione w głębi szuflady proszki, połknął jeden rano, drugi zaś po południu. Wieczorem ból głowy trochę zelżał, a wzruszenie sprawiło, że o nim zapomniał. Młoda kobieta czekała nań z niecierpliwością, jaką zrodziły w niej wspomnienia z wczorajszego dnia – i tej nocy kochali się do trzeciej nad ranem. Odchodząc Dutilleul poczuł jakieś niezwykle tarcie w biodrach i ramionach przy przechodzeniu przez ściany i mury domu. Jednak nie zwrócił na to uwagi. Zresztą dopiero przechodząc przez mur ogrodzenia wyraźnie odczuł pewien opór. Zdawało mu się, że porusza się w płynnej jeszcze, lecz grząskiej materii, która przy każdym jego poruszeniu coraz bardziej gęstnieje. Kiedy udało mu się wejść całkowicie w gruby mur ogrodzenia, spostrzegł, że nie posuwa się naprzód, i przypomniał sobie z przerażeniem o dwóch proszkach, które połknął w ciągu dnia. Proszki te, które wziął za aspirynę, zawierały w rzeczywistości proszek tetrawalentny, zapisany przez doktora w ubiegłym roku. Skutki tego leku oraz intensywnego zmęczenia ujawniły się niespodziewanie.

Dutilleul jakby zastygł wewnątrz muru. Tkwi tam do dziś, wcielony w kamień. Nocni przechodnie wędrujący ulicą Norvins w porze, kiedy hałas Paryża przycicha, słyszą głuchy głos, który zdaje się wydobywać z za grobu i który biorą za skargę wiatru wyjącego na skrzyżowaniach. To Garu-Garu Dutilleul oplakuje koniec swej sławnej kariery i zbyt krótkiej miłości. Niekiedy w zimowe noce malarz Gen Paul bierze gitarę i samotnie rusza na ulicę Norvins, by pocieszyć piosenką nieszczęsnego więźnia, a dźwięki ulatujące spod jego zgrabiących palców przenikają do wnętrza kamienia jak krople księżycowego blasku.

Sabinki

Na Montmartre, przy ulicy Abreuvoir, mieszkała młoda kobieta imieniem Sabina obdarzona darem wszechobecności. Mogła mnożyć się do woli i w tym samym czasie znajdować się duchem i ciałem w tylu miejscach, w ilu tylko zapragnęła. Ponieważ była mężatką, a tak rzadki dar niewątpliwie zaniepokoiłby męża, niczego mu nie wyjawiała i korzystała ze swej cudownej właściwości tylko wtedy, gdy była w domu sama. Na przykład przy porannej toalecie podwajała się i potrajała, by móc wygodnie przyjrzeć się własnej twarzy, ciału i gestom. Napatrzywszy się do syta, czym prędzej skupiała się, czyli zlewała w jedną osobę. Niekiedy w zimowe lub deszczowe popołudnia, kiedy nie chciało się jej wychodzić z domu, Sabina mnożyła się przez dziesięć albo i dwadzieścia, co umożliwiało głośną i ożywioną konwersację, która nie była zresztą niczym więcej jak rozmową z samą sobą. Jej mąż, Antoine

Lemurier, zastępca prezesa do spraw spornych w S.B.N.C.A., daleki był od tego, by domyślać się prawdy, i wierzył niezłomnie, że posiada, jak wszyscy, żonę niepodzielną. Raz tylko, wróciwszy niespodziewanie do mieszkania, ujrzał przed sobą trzy absolutnie identyczne małżonki, które patrzyły nań sześcioro podobnie niebieskimi i przejrzystymi oczami. Na ten widok osłupiał i rozdziawił usta. Sabina natychmiast się skupiła, pomyślał więc, że padł ofiarą choroby, którą to opinię potwierdził lekarz domowy stwierdzając niewydolność hipofizyczną i przepisując mu szereg drogich leków.

Pewnego kwietniowego wieczoru, po kolacji, Antoine Lemurier sprawdzał swoje wykazy przy stole w stołowym, a Sabina przeglądała czasopismo filmowe. Kiedy Lemurier podniósł oczy na żonę, zaskoczyła go jej poza i wyraz twarzy. Siedziała w fotelu z głową zwieszoną na ramię, a pismo spadło na podłogę. Rozszerzone oczy błyszczały łagodnym blaskiem, usta uśmiechały się, twarz promieniała niewysłowioną radością. Wzruszony i oczarowany zbliżył się na czubkach palców, nachylił się nad nią z czcią i pojąć nie mógł, dlaczego odsunęła go niecierpliwym gestem. Oto co się stało.

Osiem dni wcześniej, na rogu alei Junot, Sabina spotkała dwudziestopięcioletniego młodzieńca o czarnych oczach. Zastąpił jej stanowczo drogę i powiedział: „Pani!”, a Sabina, z podniesioną brodą i piorunującym spojrzeniem, odpowiedziała: „Ależ, panie!” W tydzień później, u schyłku tego kwietniowego dnia, znajdowała się równocześnie w domu i u czarnookiego chłopaka, który naprawdę nazywał się Teoremat i uważał się za artystę malarza. W chwili kiedy Sabina besztła męża i odsyłała go do jego wykazów, Teoremat w swoim atelier przy ulicy Chevalier-de-la-Barre trzymał ją za ręce i szeptał czule: „Moje serce, moje skrzydła, duszo moja!” i inne śliczności, które same cisną się na usta kochanka w pierwszym okresie miłosnej przygody. Sabina obiecała sobie, że skupi się najpóźniej o dziesiątej i nie zgodzi na żadne poważniejsze ustępstwa, ale o północy wciąż jeszcze była u Teoremata, a jej skrupuły nie mogły być już niczym więcej jak wyrzutami sumienia. Skupiła się dopiero o drugiej nad ranem, a w następne dni jeszcze później.

Co wieczór Antoine Lemurier podziwiał na twarzy żony odblask radości tak wielkiej, iż wydawała się wręcz niezemska. Pewnego dnia w chwili wzruszenia zwierzył się koledze z biura: „Gdybyś mógł ją zobaczyć, kiedy siedzimy wieczorem w stołowym, zdawałoby się, że rozmawia z aniołami”.

Sabina rozmawiała z aniołami przez cztery miesiące. Tego roku spędziła najpiękniejsze w życiu wakacje. Była równocześnie z Lemurierem nad jeziorem w Owernii i z Teorematem na małej bretońskiej plaży. „Nigdy jeszcze nie byłaś tak piękna – mówił mąż. – Twoje oczy są wzruszające jak jezioro o 7.30 rano”. Sabina odpowiadała czarującym uśmiechem, dedykowanym, jak by się zdawać mogło, niewidzialnemu duszkowi gór. A w tym samym czasie na piaszczystej bretońskiej plaży opalała się w słońcu w towarzystwie Teoremata, oboje byli prawie nadzy. Czarnooki chłopak nic nie mówił, jakby przepelniało go głębokie uczucie, którego proste słowa nie są w stanie wyrazić, a w rzeczywistości dlatego, że zmęczył się ciągłym powtarzaniem tego samego. Sabina zachwycała się jego milczeniem i wszystkim, co zdawało się kryć w sobie niewypowiedzianą namiętność, a Teoremat, odrętwiały w zwierzęcym samozadowoleniu, spokojnie czekał na porę obiadu i cieszył się na myśl, że wakacje nie kosztują go ani grosza. Sabina sprzedała bowiem trochę panińskiej biżuterii i ubłagała swego towarzysza, by zgodził się, żeby to ona pokryła koszty ich pobytu w Bretanii. Nieco zdziwiony, że tak nieśmiało prosi go o zaakceptowanie czegoś, co jest zrozumiałe samo przez się, Teoremat zgodził się z najwyższą wdzięcznością. Uważał, że artysta nie powinien ulegać głupim przesądom, on zaś mniej niż ktokolwiek. „Nie przyznaję sobie prawa do skrupułów – mawiał – jeśli mają mi przeszkodzić w realizacji dzieła na miarę El Greca czy Velasqueza”. Utrzymywał się ze skromnej pensji, jaką wyznaczył mu wuj z Limoges, i nie zamierzał zarabiać na życie malarstwem. Wzniosła i bezkompromisowa koncepcja sztuki zabraniała mu malować, gdy nie czuł natchnienia. „Jeśli mam na nie czekać nawet dziesięć lat – mówił – to

zaczekam”. I to mniej więcej robił. Na ogół pracował nad wzbogaceniem swej wrażliwości w kawiarniach Montmartre albo wyostrzał sobie zmysł krytyczny patrząc, jak malują przyjaciele. A kiedy ci pytali o jego własne dzieła, odpowiadał z namysłem: „Szukam siebie” – co nakazywało szacunek. Poza tym ciężkie saboty i szerokie aksamitne spodnie, stanowiące część jego zimowego stroju, przysporzyły mu – między ulicą Caulaincourt, placem du Tertre i ulicą des Abbesses – sławy bardzo pięknego artysty. Najbardziej nawet nieżyczliwi zgadzali się, że ma w sobie wspaiały potencjał.

Któregoś ranka, pod koniec wakacji, kochankowie ubierali się w hotelowym pokoiku z bretońskimi meblami. Pięćset lub sześćset kilometrów dalej, w Owernii, małżonkowie Lemurier byli już na nogach od trzeciej nad ranem: mąż wiosłował po jeziorze i wychwalał przed żoną piękno krajobrazu, Sabina zaś odpowiadała mu z rzadka monosylabami. Ale w bretońskim hoteliku patrząc na morze śpiewała miłosne piosenki. Teoremat wziął portfel leżący na kominku, wyjął z niego zdjęcie i wsuwając portfel do tylnej kieszeni szortów powiedział:

– Spójrz, znalazłem zdjęcie. To ja, tej zimy, przy Moulin de la Galette.

– Och, kochanie moje – westchnęła Sabina i do oczu napłynęły jej łzy dumy i wzruszenia.

Na zdjęciu Teoremat stał w swym zimowym stroju; patrząc na jego saboty i szerokie, aksamitne spodnie, zgrabnie spięte w kostce, Sabina widziała, że ma wielki talent. Poczula ukłucie w sercu i wyrzucała sobie, że ukrywa coś przed tym kochanym chłopcem, który jest czułym kochankiem, a jednocześnie ma piękną, artystyczną duszę.

– Jesteś piękny! – powiedziała. – Jesteś wielki. Te saboty! Te aksamitne spodnie! Ten kaszkiet z królika! Och, najdroższy, jesteś tak czystym, tak wszystko rozumiejącym artystą, a ja, która miałam szczęście spotkać cię, ukochany mój, serce moje, skarbie jedyny, ukryłam coś przed tobą, pewien mój sekret.

– Co ty opowiadasz?

– Kochany, powiem ci coś, o czym przysięgłam sobie nie mówić nikomu: mam dar wszechobecności.

Teoremat zaczął się śmiać, ale Sabina powiedziała:

– Spójrz.

I w okamgnieniu pomnożyła się przez dziewięć. Teorematowi zakręciło się w głowie, poczuł, że traci rozum, gdy ujrzał wokół siebie dziewięć zupełnie identycznych Sabinek.

– Nie gniewasz się? – spytała jedna z nich z lękiem i zawstyżeniem.

– Ależ skąd – odpowiedział Teoremat. – Wprost przeciwnie.

Uśmiechnął się wesoło, jakby z wdzięcznością, i uspokojona Sabina ucałowała go żarliwie swymi dziewięcioma ustami.

Na początku października, mniej więcej w miesiąc po powrocie z wakacji, Lemurier zauważył, że jego żona nie rozmawia już prawie wcale z aniołami. Była zatroskana i melancholijna.

– Jakoś mi posmutniałaś – powiedział pewnego wieczoru. – Może za mało wychodzisz. Jeśli chcesz, pójdziemy jutro do kina.

W tym samym momencie Teoremat chodził tam i z powrotem po swoim atelier i mówił:

– Czy ja wiem, gdzie ty teraz jesteś? Może w Javel albo na Montparnasse w ramionach jakiegoś bandyty? Albo w Narbonne w łóżku jakiegoś chłopca? Albo u szacha Persji?

– Przysięgam ci, najdroższy...

– Przysięgasz, przysięgasz!... Gdybyś leżała w objęciach jeszcze dwudziestu mężczyzn, też byś przysięgała, co? Zwariować można! Głowę tracę. Jestem na wszystko przygotowany! Och, co za nieszczęście!

Mówiąc o nieszczęściu podniósł oczy na jatagan, który kupił na pchlim targu w poprzednim roku. Aby go uchronić przed popełnieniem zbrodni, Sabina pomnożyła się przez dwanaście, gotowa bronić dostępu do jatagana. Teoremat uspokoił się. Sabina się skupiła.

– Jakież jestem nieszczęśliwy! – jęczał malarz. – Jakbym nie miał dość innych i tak ciężkich zmartwień.

Była to aluzja do zmartwień natury materialnej i duchowej. Zdawać by się mogło, że znajduje się w wyjątkowo trudnej sytuacji. Właściciel mieszkania, któremu był winien za trzy miesiące, groził zajęciem mebli. Wuj z Limoges brutalnie wstrzymał comiesięczne przekazy. Co do duszy, to przechodził przez bolesny, choć wiele obiecujący kryzys. Czuł, jak kipią w nim twórcze moce geniuszu, a tu brak pieniędzy przeszkadza w samorealizacji. Jakże namalować arcydzieło, kiedy głód i komornik stoją już pod drzwiami? Sabina, drżąc w straszliwym niepokoju, czuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Przed tygodniem sprzedała resztki bizuterii, by uregulować honorowy dług Teoremata zaciągnięty u właściciela knajpy z ulicy Norvins, i teraz rozpaczała, że nic już nie może poświęcić dla rozkwitu jego talentu. W rzeczywistości sytuacja Teoremata nie była ani lepsza, ani gorsza niż zwykle. Wuj z Limoges jak dawniej wypruwał sobie żyły, aby jego siostrzeniec mógł zostać wielkim malarzem, a właściciel, chcąc w naiwności swojej spekulować na nędzy artysty przyszłości, zawsze równie chętnie godził się, by lokator płacił mu w pośpiechu namalowanym bohomazem. Ale Teoremat z prawdziwą przyjemnością odgrywał rolę wyklętego poety i bohatera bohemy, licząc też w sposób bliżej nie sprecyzowany na to, że ponury obraz jego nędzy skłoni kochankę do szukania śmielszych rozwiązań.

Tej nocy Sabina nie skupiła się w swoim domu przy ulicy Abreuvour, spędziła noc u Teoremata nie chcąc zostawiać go sam na sam z troskami. Nazajutrz obudziła się obok niego wypoczęta i szczęśliwa.

– Śniło mi się – powiedziała – że mieliśmy mały sklepik przy ulicy Saint-Rustique, zaledwie dwa metry witryny. Mieliśmy też tylko jednego klienta, uczniaka, który kupował u nas lizaki i karmelki. Nosiłam niebieski fartuch z wielkimi kieszeniami, a ty bluzę sklepikarza. Wieczorem na zapleczu wpisywałeś do księgi utarg z dnia: sześć sous za karmelki. Mówiłeś do mnie właśnie, że jeśli interes ma się rozwijać, to potrzebujemy nowego klienta, że widzisz go z białą brodą... Miałam zaprotestować, że z nowym klientem nie dalibyśmy sobie rady, ale nie zdażyłam. Obudziłam się.

– Słowem – powiedział Teoremat z przykrym, gorzkim śmieszkim i równie gorzkim grymasem – słowem – powiedział (lodowatym tonem, zły, purpurowy z wściekłości, mierząc ją wściekłymi czarnymi oczami) – słowem – powiedział Teoremat – słowem, twoją ambicją jest uczynić ze mnie sklepikarza.

– Ależ nie. Opowiadam ci sen.

– To właśnie mówię. Śnisz o tym, by mnie ujrzeć w bluzie sklepikarza.

– Och, kochanie – miękko zaoponowała Sabina. – Gdybyś się mógł zobaczyć! Tak ci w niej było do twarzy w tej sklepowej bluzie!

Teoremat wyskoczył z wrzaskiem z łóżka. Został zdradzony! Nie dość, że właściciel wyrzuca go na ulicę, że wuj z Limoges odmawia mu prawa do jedzenia w momencie, gdy on nosi w sobie coś, co się rozwija, to wielkie, kruche dzieło, a tu jeszcze kobieta, którą kocha najbardziej w świecie, doprowadza go do szaleństwa i marzy, by go stłamsić. Widzi jego przyszłość w sklepiku! Dlaczego nie w Akademii? Teoremat miotał się w piżamie po pokoju, krzyczał głuchym, bolejącym głosem, łapał się za pierś, jakby chciał wyrwać sobie serce i podzielić je między właściciela, wuja z Limoges i tę, którą kochał. Zrozpaczona Sabina odkryła z drżeniem, jakich głębi może sięgać cierpienie artysty, i uświadomiła sobie własną niegodziwość.

Wróciwszy w południe do domu, Lemurier ujrzał żonę w wielkiej rozterce. Zapomniała nawet skupić się i kiedy wszedł do kuchni, ukazała się mu w czterech postaciach zajętych różnymi rzeczami, ale o oczach jednako przymglonych melancholią. Kompletnie go to zbiło z pantałyku.

– No tak – powiedział. – Niewydolność hipofizyczna znów daje mi się ze znaki. Muszę

zacząć kurację.

Oznaki niewydolności minęły i wtedy zaniepokoił się poważnie owym smutkiem, który z dnia na dzień ogarniał Sabinę coraz mocniej.

– Biniu (takim zdrobnieniem ten dobry i pełen szlachetnych uczuć człowiek nazywał swą młodą i uwielbianą żonę), Biniu – powiedział – nie mogę znieść widoku twego przygnębienia. W końcu sam się rozchoruję. Na ulicy lub w biurze, gdy pomyślę o twoich smutnych oczach, serce mi zamiera i zdarza się, że płaczę w bibułę. Wówczas szkła okularów zasnuwają się mgiełką, którą muszę zetrzeć, a ta operacja stanowi znaczną stratę czasu, że nie wspomnę o złym wrażeniu, jakie może wyrzucić widok łez na moich przełożonych i podwładnych. Wreszcie, powiem nawet: przede wszystkim, obawiam się, że smutek, który napełnia twoje oczy wdziękiem nieokreślonym, przyznaję, lecz bolesnym, ów smutek – ubolewam nad tym – niechybnie odbije się na twoim zdrowiu. Mam nadzieję, że się zmobilizujesz, że zwalczysz nastrój, który oceniam jako niebezpieczny. Dziś rano pan Porteur, nasz pełnomocnik, uroczy człowiek zresztą, wybornie wychowany i tak pod każdym względem doskonały, iż nie ma potrzeby go wychwalać, pan Porteur zatem z właściwą sobie delikatnością odstąpił mi kartę wstępu do Longchamp, bowiem jego szwagier, który jest podobno ważną paryską osobistością, ma duże udziały w wyścigach. A że właśnie potrzebujesz rozrywki...

Tego popołudnia Sabina po raz pierwszy w życiu pojechała na wyścigi do Longchamp. Po drodze kupiła gazetę i rozmarzyła się widząc imię konia, Teokrata VI, przedstawiające pewne onomatyczne podobieństwo z jej drogim Teorematem. To wydawało się jej dobrą wróżbą. Ubrana była w błękitny płaszcz z patarazu zdobny szasubą, a na głowie miała tonkiński kapelusik z opadającą woalką, mężczyźni przyglądali się jej z zainteresowaniem. Pierwsze gonitwy niezbyt ją zaciekały. Myślała o swoim ukochanym malarzu, dręczonym męką tworzenia, i wyobrażała sobie błyski jego czarnych oczu, gdy w atelier zmagają się z ponurą rzeczywistością. Zapragnęła podwoić się i przenieść na ulicę Chevalier-de-la-Barre, by położyć chłodne dłonie na rozpalonym czole artysty, jak to jest w zwyczaju kochanków w sytuacjach kryzysowych. Obawa, że przeszkodzi mu w trudzie poszukiwań, powstrzymała ją od nadania sprawie dalszego biegu i całe szczęście, gdyż Teoremat zamiast w atelier siedział teraz przy obitym blachą kontuarze na ulicy Caulaincourt, pił aramon ze szklaneczki i zastanawiał się, czy nie za późno na kino.

Wreszcie konie ustawiły się w szeregu, by ruszyć po Wielką Nagrodę ministra rejestracji, i Sabina zaczęła wypatrywać wzrokiem Teokrata VI. Postawiła na niego około stu pięćdziesięciu franków, wszystko, co miała przy sobie, i liczyła, że wygra dość pieniędzy, by uspokoić właściciela atelier. Dżokej jadący na Teokracie VI miał wzruszającą biało-zieloną czapkę, o zieleni tak delikatnej, lekkiej, subtelnej i świeżej, że gdyby sałata rosła w raj, to pewnie miałyby taki kolor. Sam czubek czapki był hebanowoczarny. Teokrat od początku znalazł się na czele i wyprzedza inne konie o trzy długości. Zdaniem bywalców taki początek nie przesądza bynajmniej o wynikach gonitwy, ale Sabina, już pewna triumfu i poruszona entuzjazmem, wstała i zaczęła wołać: „Teokrat! Teokrat!” Wokół rozległy się śmiechki. Siedzący z prawej strony dystyngowany starzec w rękawiczkach i monoklu kątem oka spoglądał na nią z sympatią, bo wzruszyła go jej niewinność. Upojona zwycięstwem Sabina krzychała: „Teoremat! Teoremat!” Sąsiedzi głośno bawili się tą demonstracją, zapominając niemal o wyścigu. W końcu spostrzegła to i uświadomiwszy sobie swoje dziwne zachowanie, zaczerwieniła się ze zmieszania. Co widząc starszy dystyngowany pan w rękawiczkach i monoklu podniósł się i zaczął krzyczeć najgłośniej, jak mógł: „Teokrat! Teokrat!” Śmiechy natychmiast umilkły i z szeptów sąsiadów Sabina dowiedziała się, że ten szlachetny pan to nie kto inny jak lord Burbury.

Tymczasem Teokrat VI stracił przewagę i znalazł się na szarym końcu. Widząc, że jej nadzieje spełzły na niczym, że Teoremat skazany jest na nędzę i – jako artysta – na niemoc, Sabina najpierw westchnęła, potem bezgłośnie załkała, wreszcie nozdrza jej zadrżały, a oczy

napełniły się łzami. Lord Burbury poczuł wielkie współczucie. Zamieniwszy z Sabina kilka zdań zapytał, czy nie chciałaby zostać jego żoną, gdyż posiada roczne dochody w wysokości dwustu, tysięcy funtów szterlingów. W tym momencie Sabina miała widzenie – ujrzała Teoremata, jak oddaje ducha na nędznym szpitalnym łóżku przeklinając Boga i właściciela atelier. Z miłości do kochanka i – być może – do malarstwa odpowiedziała starcowi, że zgadza się zostać jego żoną, powiadamiając go jednocześnie, że sama nie posiada nic, nawet nazwiska, a tylko imię, i to najzwyczajniejsze: Maria. Lord Burbury uznał tę osobliwość za jak najbardziej pikantną i ucieszył się na myśl, jakie wrażenie wywrze to na jego siostrze Emilii, dziewicy w pewnym wieku, która poświęciła życie na podtrzymywanie godnych tradycji w historycznych rodach królestwa. Nie czekając końca ostatniej gonitwy odjechał samochodem wraz z narzeczoną na lotnisko Bourget. O szóstej byli w Londynie, a o siódmej już po ślubie.

W tym samym czasie gdy Sabina wychodziła za mąż w Londynie, jednocześnie jadła kolację przy ulicy Abreuvoir, siedząc naprzeciw swojego męża, Antoine'a Lemurier. Stwierdził, że już lepiej wygląda, i przemawiał do niej łagodnie. Była wzruszona jego dobrocią i ogarnęły ją skrupuły, czy wychodząc za lorda Burbury nie wykracza aby przeciw prawom ludzkim i boskim. Sprawa była trudna i pociągała za sobą drugą jeszcze, mianowicie sprawę tożsamości małżonki Antoine'a i lorda. Przyjmując nawet, że każda z nich była fizycznie niezależną osobą, pozostawało jednak prawdą, że małżeństwo, choć konsumowane w cielesnej postaci, jest przede wszystkim związkiem dusz. Skrupuły te były jednakowoż przesadne. Prawodawstwo dotyczące ślubów nie bierze pod uwagę przypadków wszechobecności i Sabina mogła swobodnie postępować zgodnie z własną wolą, a nawet w dobrej wierze uważać się za uczciwą wobec Boga, skoro ani jedna bulla, brewe, reskryt czy; list papieski nie musnęły nawet tej kwestii. Zbyt była jednak prostolinijna, by wykorzystywać te adwokackie racje. Uznała też za stosowne traktować swoje małżeństwo jako konsekwencję i jakby dalszy ciąg małżeńskiej zdrady, której nic nie usprawiedliwiło i która pozostawała jak najbardziej karygodna. Pokutując – wobec Boga, społeczeństwa i swojego małżonka, których w taki sposób obrażała – Sabina zabroniła sobie spotykać się kiedykolwiek z Teorematem. Wstydziłaby się zresztą stanąć przed nim po skonsumowaniu owego małżeństwa z rozsądku, na które zgodziła się oczywiście ze względu na jego sławę i swoją wygodę, na które jednak z godną szacunku niewinnością patrzyła jak na pohańbienie ich miłości.

Trzeba powiedzieć, że początki życia Sabiny w Anglii sprawiły, iż skrupuły nie męczyły jej zbyt, a nawet brak Teoremata znosiła stosunkowo łatwo. Lord Burbury był naprawdę wyjątkową postacią. Był nie tylko bardzo bogaty, ale i pochodził w prostej linii od Jana bez Ziemi, który – sprawa mało znana historykom – zawarł morganatyczne małżeństwo z Ermes-syndą de Trencavel i miał z nią siedemnaścioro dzieci. Wszystkie zmarły w młodym wieku z wyjątkiem czternastego, Ryszarda Hugona, założyciela domu Burbury. Pośród innych przywilejów, jakich zazdrościła mu cała szlachta angielska, lord Burbury posiadał również i ten, wyłączny, otwierania parasola w królewskich apartamentach, zaś jego żona – umbrelki. Małżeństwo z Sabina było wydarzeniem. Nowa lady stała się obiektem życzliwej na ogół ciekawości, chociaż jej szwagierka próbowała rozpuszczać plotki, jakoby była kiedyś tancerką w „Tabarin”. Sabina, która w Anglii nazywała się Marią, była pochłonięta obowiązkami wielkiej damy. Przyjęcia, herbatki, robótki szydełkowe na biednych, golf, przymiarki nie pozostawiały ani chwili na ziewanie. Mimo rozmaitych zajęć nie mogła jednak zapomnieć o Teoremacie.

Malarz w ogóle nie interesował się tym, kto regularnie przysyła mu czeki z Anglii, i doskonale pogodził się z faktem, że Sabina nie pojawia się już w jego atelier. Uwolniony od trosk materialnych dzięki comiesięcznym przekazom sięgającym dwudziestu pięciu tysięcy franków spostrzegł, że przechodzi okres hiperwrażliwości, co nie sprzyja spełnieniu dzieła, i że musi się „wyklarować”. W rezultacie przyznał sobie rok odpoczynku, zdecydowany okres ten przedłużyć, jeśli zajdzie potrzeba. Coraz rzadziej widywano go na Montmartre. Klarował

się w barach na Montparnasse i knajpach Champs-Élysées, gdzie z kosztownymi dziewczynami żył kawiozem i szampanem. Dowiedziawszy się, że prowadzi życie dość nieuporządkowane, Sabina z niezachwianą wiarą pomyślała, że poszukuje jakiejś goyowskiej formuły sztuki, która łączyłaby grę świateł z wszetecznym podtekstem kobiecej maski.

Pewnego popołudnia, wróciwszy z zamku Burbury, gdzie spędziła trzy tygodnie, lady Burbury znalazła w swoim wspaniałym domu przy Madison Square cztery paczki zawierające kolejno: wieczorową suknię z eleasu, suknię popołudniową z rzymskiej krepy, sportową sukienkę z wełny i klasyczny kostium z plastra. Oddaliwszy pokojówkę pomnożyła się przez pięć, by przymierzyć nowe stroje. Niespodziewanie wszedł lord Burbury.

– Kochanie! – zawołał – ależ masz cztery urocze siostry! I nic mi nie powiedziałaś!

Zamiast się skucić, lady Burbury zmieszała się i uznała za słuszne odpowiedzieć:

– Właśnie przyjechały. Alfonsyna jest o rok ode mnie starsza: Brigitte to moja bliźniaczka. Barbe i Rosalie są młodsze, również bliźniaczki. Ludzie mówią, że bardzo są do mnie podobne.

Cztery siostry zostały dobrze przyjęte w towarzystwie, wszędzie je fetowano. Alfonsyna poślubiła amerykańskiego miliardera, króla garbowanej skóry, i wraz z nim przepłynęła Atlantycką; Brigitte – maharadżę z Gorisapuru, który zabrał ją do swej książęcej rezydencji; Barbe wyszła za słynnego neapolitańskiego tenora, któremu towarzyszyła w tournée po całym świecie; Rosalie wreszcie za hiszpańskiego podróżnika, z którym pojechała do Nowej Gwinei badać dziwne obyczaje Papuasów.

Cztery te śluby, celebrowane niemal równocześnie, wywołały wiele hałasu w Anglii i nawet na kontynencie. W Paryżu gazety pisały o nich dużo i zamieściły zdjęcia. Pewnego wieczoru w stołowym przy ulicy Abrevoir Antoine Lemurier powiedział do Sabiny:

– Czy widziałeś zdjęcia lady Burbury i jej czterech sióstr? To zdumiewające, jak bardzo są do ciebie podobne, tyle że ty oczy masz jaśniejsze, twarz dłuższą, usta mniejsze, nos krótszy i brodę bardziej wydatną. Jutro wezmę gazetę i twoją fotografię, by pokazać je panu Porteur. Onimieje.

Antoine roześmiał się, gdyż cieszyło go, że zadziwi pana Porteur, pełnomocnika władz S.B.N.C.A.

– Śmieję się na myśl o jego minie – wyjaśnił. – Biedny pan Porteur! A propos, dał mi znowu kartę wstępu na wyścigi w śróde. Jak należy postąpić twoim zdaniem?

– Nie wiem – odpowiedziała Sabina. – Sprawa jest delikatna.

Z zatroskaną twarzą zastanawiała się, czy Lemurier powinien posłać kwiaty pani Porteur, żonie przełożonego w urzędniczej hierarchii. W tym samym momencie lady Burbury siedząc przy stoliku brydżowym naprzeciwko księcia Leicester, begum z Gorisapuru leżąc wyciągnięta w palankinie na grzbiecie słonia, Mrs. Smithson w stanie Pensylwania robiąc honory domu w swym pałacu syntetycznie renesansowym, Barbe Cazzarini rozparta w łożu Opery Wiedeńskiej, gdzie tenorował jej *illustrissime*, i Rosalie Valdez y Samaniego leżąc pod moskitierą w szałasie na wsi papuaskiej – wszystkie były równie zaabsorbowane i zastanawiały się, czy przy tej okazji należy posłać kwiaty małżonce pana Porteur.

Teoremat dowiedział się z gazet o uroczystościach weselnych, widział fotosy ilustrujące reportaże i nie miał żadnych wątpliwości, że wszystkie panny młode to nowe wcielenia Sabiny. Z wyjątkiem podróżnika, który jego zdaniem miał zajęcie mało lukratywne, wybór małżonków wydał mu się jak najbardziej słuszny. W tym samym mniej więcej czasie odczuł potrzebę powrotu na Montmartre. Deszczowy klimat Montparnasse'u i hałaśliwa jałowość Champs-Élysées męczyły go. Poza tym miesięczne przesyłki lady Burbury przydawały mu większego splendoru w kafejkach Butte niż w obcych zakładach. Nie zmienił zresztą wcale trybu życia i na Montmartre zyskał sobie reputację krzykacza, pijaka i rozpustnika. Przyjaciele bawili się opowieściami o jego wybrykach i zazdroszcząc mu nieco nowego bogactwa, z którego przecież korzystali, mawiali z satysfakcją, że jest stracony dla sztuki. Nie zapominali też dodać, że

to wielka szkoda, gdyż ma autentyczny temperament artysty. Sabina dowiedziała się o fatalnej konduicie Teoremata i zrozumiała, że stacza się on po równi pochyłej. Zachwiało to jej wiarę w przyszłość malarza, ale kochała go tym czulej i oskarżała samą siebie, że to ona spowodowała jego upadek. Przez prawie tydzień załamywała ręce w czterech stronach świata. Wieczorem, około północy, wracając z kina w towarzystwie męża, na rogu Junot-Girardon ujrzała Teoremata uwieszonego na rękach dwóch podchmielonych, rozbawionych dziewczyn. On sam, spity do nieprzytomności, rzygał winem i miotał wstrętne obelgi pod adresem dwóch kreatur, z których jedna trzymała go za głowę i nazywała pieszczotliwie swoją świnia, a druga kaprałskim żargonem, żartobliwie oceniała jego miłosne możliwości. Widząc Sabinę zwrócił ku niej swą zbrukaną twarz, czknał nazwisko Burbury z krótkim, lecz oburzającym komentarzem i padł na ziemię pod uliczną latarnią. Od czasu tego spotkania był dla niej już tylko przedmiotem nienawiści i obrzydzenia. Postanowiła o nim zapomnieć.

Dwa tygodnie później lady Burbury, rezydująca w towarzystwie męża w posiadłości Burbury, zakochała się w młodym pasterza z okolicy, który przyszedł na obiad do zamku. Jego oczy nie były czarne, lecz bladoniebieskie, usta nie lubieżne, lecz zaciśnięte, wygląd czysty i schludny, umysł chłodny i powściągliwy, właściwy ludziom zdecydowanym gardzić – tym, czego nie znają. Od pierwszego obiadu lady Burbury zakochała się nieprzytomnie. Wieczorem powiedziała mężowi:

– Nie mówiłam ci tego, ale mam jeszcze jedną siostrę. Nazywa się Judith.

W następnym tygodniu Judith przyjechała do zamku i była na obiedzie wraz z pastorem, który zachowywał się grzecznie, lecz z dystansem, tak jak należy wobec katoliczki, siedliska i nosicielki grzesznych myśli. Po obiedzie przeszli się po parku i Judith, zręcznie i jakby przypadkowo, zacytowała Księgę Hioba oraz Czwarte i Piąte Księgi Mojżeszowe. Wielebny zrozumiał, że grunt jest dobry. Osiem dni później nawrócił Judith, piętnaście dni później ożenił się z nią. Ich szczęście trwało krótko. Pastor prowadził wyłącznie budujące rozmowy i nawet do poduszki wypowiadał słowa świadczące o wysokim locie myśli. Judith tak bardzo nudziła się w jego towarzystwie, że skorzystała ze wspólnej przejażdżki po szkockim jeziorze, by przypadkowo się utopić. W rzeczywistości wstrzymując oddech zanurzyła się pod wodą i gdy tylko zniknęła z oczu męża, skupiła się z lady Burbury. Wielebny martwił się okrutnie, niemniej podziękował Panu za to, że zesłał nań tę ciężką próbę, i wzniosł w ogródku kamień nagrobny *in memoriam*.

Tymczasem Teoremat niepokoił się, gdyż nie otrzymał miesięcznego przekazu. Początkowo sądził, że to zwykłe opóźnienie, i usiłował czekać cierpliwie, ale przeżywszy ponad miesiąc na kredyt, postanowił powiadomić Sabinę o swoich kłopotach. Trzy poranki z rzędu na próżno wyczekiwał na ulicy Abreuveoir, aż spotkał ją przypadkiem o szóstej po południu. – Sabino – powiedział – szukam cię od trzech dni.

– Ależ panie, nie znam pana – odrzekła Sabina.

– Chciała pójść dalej swoją drogą. Teoremat położył jej rękę na ramieniu.

– Sabino, dlaczego się na mnie gniewasz? Zrobiłem to, czego chciałaś. Pewnego dnia postanowiłaś nie przychodzić do mnie więcej, cierpiałem w milczeniu, nie pytając cię nawet, dlaczego zrezygnowałaś z naszych spotkań.

– Nic z tego nie rozumiem, co pan mówi, ale pańskie tykanie i niezrozumiałe aluzje obrażają mnie. Proszę pozwolić mi przejść.

– Sabino, nie mogłaś przecież wszystkiego zapomnieć. Przypomnij sobie.

Teoremat, nie ośmielając się jeszcze poruszyć kwestii subsydiów, usiłował stworzyć pozory intymności. Patetycznie przywoływał wzruszające wspomnienia i kreślił historię ich miłości. Ale Sabina patrzyła nań zdumionymi, trochę przestraszonymi oczyma i protestowała ze zdziwieniem raczej niż oburzeniem. Chłopak się upierał.

– Przypomnij sobie nasze wspólne wakacje w Bretanii, nasz pokoik nad morzem.

– Tego lata? Ależ spędziłam wakacje z mężem w Owernii!

– No oczywiście! Jeśli zasłaniasz się faktami...

– Jak to zasłaniam się faktami? Pan sobie ze mnie drwi albo traci rozum! Proszę mnie puścić, bo będę krzyczeć!

Zirytowany tak oczywistą złą wolą Teoremat chwycił Sabinę za ramiona, zaczął nią potrząsać i zaklinać się na Boga. Sabina spostrzegła męża, który przechodził drugą stroną ulicy nie widząc ich i zawołała go po imieniu. Podeszedł do nich i nie zorientowawszy się w sytuacji przywitał się z Teorematem.

– Ten pan, którego widzę po raz pierwszy w życiu – wyjaśniła Sabina – zatrzymał mnie na ulicy. Nie dość, że mówi do mnie per „ty”, to traktuje mnie jak swoją kochankę, nazywa mnie swoim kochaniem i snuje wspomnienia o naszej rzekomej dawnej miłości.

– Cóż to znaczy, mój panie? – spytał wyniośle Antoine Lemurier. – Czy mam wnosić, że zamierzał pan dopuścić się niegodnych i haniebnych czynów? W każdym bądź razie nie przekona mnie pan, że to maniery człowieka szlachetnego, uprzedzam pana.

– W porządku – wyjąkał Teoremat. – Nie chcę nadużywać sytuacji.

– Niechże pan nadużywa, niech się pan nie krępuje! – roześmiała się Sabina. I wracając do Antoine'a: – Wspominając nasz rzekomy romans mówił pan przed chwilą o trzytygodniowym wspólnym pobycie ze mną w Bretanii, zeszłego lata. Co ty na to?

– Powiedzmy, że nic nie powiedziałem – złościł się Teoremat.

– To z pewnością najlepsze, co może pan zrobić – zgodził się mąż. – Dowiedz się pan, że ja i żona nie rozstawaliśmy się przez całe lato i że spędziliśmy wakacje...

– Nad jeziorem w Owernii – uciał Teoremat. – Jasne!

– Skąd pan to wie? – spytała niewinnie Sabina.

– Powiedział mi to mój mały paluszek, kiedy był w plażowym kostiumie na bretońskiej plaży.

Ta odpowiedź wprawiła młodą kobietę w stan zadumy. Malarz patrzył na nią bardzo czarnymi oczami. Uśmiechnęła się i spytała:

– O ile dobrze rozumiem, twierdzi pan, że byłam jednocześnie nad jeziorem w Owernii z mężem i na bretońskiej plaży z panem?

Teoremat mrugnął porozumiewawczo i przytaknął. Dla Antoine'a Lemurier, który już szykował się do kopniaka, sprawa stała się jasna.

– Panie – rzekł ten dobry przecież człowiek – przypuszczam, że nie jest pan sam w życiu. Ma pan zapewne kogoś, kto się panem opiekuje – przyjaciela, żonę, rodziców. Jeżeli mieszka pan w naszej dzielnicy, to mogę odprowadzić pana do domu.

– A więc pan nie wie, kim jestem? – zdumiał się malarz.

– Pan wybaczy...

– Wercyngetoryks, do usług. Niech się pan nie kłopotczy o mój powrót. Wsiądę w metro na Lamarck i zajadę do „Alésii” na kolację. Żegnam, niech pan szybko wraca popieścić swoją mieszczkę.

Przy tych słowach Teoremat zmierzył Sabinę bezczelnym spojrzeniem i odszedł śmiejąc się przerażająco. Biedny chłopak nie ukrywał, że jest obłąkany, dziwił się, że wcześniej nie zdał sobie z tego sprawy. Jego obłąkanie łatwo było udowodnić. Jeśli wakacje w Bretanii i wszechobecność Sabiny były rzeczywistością jedynie w jego głowie, to było to oczywiste złudzenie szaleńca. Jeśli natomiast założyć, że wszystko było prawdą, to Teoremat znajdował się w sytuacji człowieka, który może zaświadczyć o absurdalnej prawdzie, co jest właściwe ludziom chorym umysłowo. Przekonanie o własnym obłądnie poruszyło malarza głęboko. Stał się ponury, zamknięty w sobie, podejrzliwy, unikał przyjaciół i zniechęcał ich do siebie. Unikał również towarzystwa dziewczyn, nie chodził do kawiarni Butte, zamykał się w atelier, by myśleć o swoim szaleństwie. Nie sadził, by mógł kiedykolwiek wyzdrowieć, chyba że straciłby pamięć. Samotność miała ten szczęśliwy skutek, że przywiodła go na powrót do malarstwa. Zabrał się do malowania z okrutną zaciekłością, obłąkańczą niemal gwałtownością.

Jego piękny talent, trwoniony dotąd po kawiarniach, barach i alkowach, zaczął błyszczeć, promieniować, wreszcie ciskać błyskawice. Po sześciu miesiącach wytężonej pracy i namiętnych poszukiwań zrealizował się w pełni: malował już tylko arcydzieła, wszystkie niemal nieśmiertelne. Przypomnijmy między innymi słynną *Kobietę o dziewięciu głowach*, która tyle narobiła hałasu, i tak czysty w formie, a jednocześnie niepokojący *Fotel Wolterowski*. Wuj z Limoges był bardzo zadowolony.

Tymczasem lady Burbury za sprawą pastora pogrubiała. Pośpieszmy z wyjaśnieniem, że zachowanie obojga nie uwłaczało bynajmniej honorowi, po prostu Judith łącząc się z siostrą przyniosła jej, jeszcze w postaci obietnicy, owoc swego związku z wielbnym. Lady Burbury, nie bez moralnego niepokoju, powiła dobrze zbudowanego chłopca, którego pastor ochrzcił z całkowitą obojętnością. Chłopiec otrzymał imię Anthony i nie mamy o nim nic więcej do powiedzenia. W tym samym mniej więcej czasie begum Gorisapuru wydała na świat dwoje bliźniąt, które nikomu poza maharadzą nie miały nic do zawdzięczenia. Odbyły się wielkie uroczystości, a ludność kraju podarowała noworodkom tyle złota, ile ważyły, jak to jest tam w zwyczaju. Barbe Cazzarini i Rosalie Valdez y Samaniego również zostały matkami: jedna urodziła chłopca, druga dziewczynkę. Radości było dużo.

Mrs. Smithson, żona miliardera, nie poszła za przykładem swoich siostr i dość poważnie się rozchorowała. W czasie rekonwalescencji w Kalifornii zaczęła czytać niebezpieczne romanse, które w zbyt uroczym świetle ukazują bezecnych kochanków pogrążonych w grzechu, a których autorzy z karygodną pobłażliwością, lecz również – niestety! – dzięki sztuce ubarwiania straszliwej prawdy gładkimi słówkami, czynienia miłymi sytuacji oburzających, uświęcania i uwznioślenia bohaterów, diabelskim fortelem doprowadzają nas do zapomnienia, jeśli nie zaakceptowania (były; takie wypadki!) prawdziwego charakteru tych ohydnych praktyk i nie lękają się nawet opisu miłosnych rozkoszy i poszukiwania przyjemności za wszelką cenę. Nie ma nic gorszego od takich książek. Mrs. Smithson dała się na to złapać. Najpierw zaczęła wzdychać, potem kombinować. „Mam pięciu mężów – mówiła sobie – a miałam ich sześciu naraz. Miałam tylko jednego kochanka, który w ciągu sześciu miesięcy dał mi więcej szczęścia niż w ciągu roku wszyscy moi mężowie razem wzięci. A jeszcze okazał się niegodny mej miłości. Porzuciłam go z powodu wyrzutów sumienia (tu Mrs. Smithson wzdychała i przesuwała palcem po kartach książki). Kochankowie z *Miłość się budzi* nie wiedzą, co to skrupuły. I są szczęśliwi jak byki (chciała powiedzieć jak bogi). Moje skrupuły są nieuzasadnione, bo na czym polega grzech cudzołóstwa? Na składaniu w darze innym tego, co należne tylko jednemu. Ale przecież nic mi nie przeszkadza wziąć sobie kochanka i pozostać nie tkniętą dla Smithsona”.

Takie myśli musiały wkrótce przynieść owoce. Najgorsze, że były nie tylko jej udziałem; w tym samym czasie, zgodnie z prawami wszechobecności, trucizna sączyła się w dusze jej siostr. W ostatnich dniach rekonwalescencji na kalifornijskich plażach Dorado Mrs. Smithson poszła wieczorem na koncert. Grano *Sonatę księżycową* w gorącym, jazzowym rytmie. Urok Beethovena i jego szalonej muzyki podziałał na jej wyobraźnię tak, iż zakochała się w perkusiście, który nazajutrz miał odjechać na Filipiny. Piętnaście dni później wysłała swój sobowtór do Manilli, przywitała muzyka w porcie i dała mu się kochać. W tym samym czasie lady Burbury ujrzawszy w gazecie zdjęcie myśliwego polującego na pantery, zakochała się i wysłała sobowtóra na Jawę. Żona tenora wyjeżdżając ze Sztokholmu pozostawiła tam swego sobowtóra, by poznać bliżej młodziutkiego chórzystę spotkanego w operze, a Rosalie Valdez y Samaniego, której męża zjadło plemię Papuasów z okazji religijnego święta, pomnożyła się przez cztery z miłości do tyluż pięknych chłopców spotkanych w różnych oceanicznych portach.

Nieszczęsną wszechobecną ogarnęła gorączka lubieżności i wkrótce miała kochanków we wszystkich miejscach ziemskiego globu. Ich liczba rosła w rytmie postępu geometrycznego o 2,7 razy. Rozrzucana po świecie falanga składała się z mężczyzn wszelkich maści:

marynarzy, plantatorów, chińskich piratów, oficerów, cowboyów, mistrza szachowego, skandynawskich atletów, poławiaczy pereł, komisarza ludowego, licealistów, poganiaczy mułów, matadora, pomocnika rzeźnika, czternastu filmowców, antykwariusza, sześćdziesięciu siedmiu lekarzy, markizów, czterech rosyjskich książąt, dwóch pracowników kolei, profesora geometrii, rymarza, jedenastu adwokatów i jeszcze wielu innych, których pomijamy. Zasygnalizujemy jedynie członka Akademii Francuskiej obnoszącego swą brodę wraz z serią wykładów po Bałkanach. Rasa zamieszkująca jedną z wysp Archipelagu Markizy wydała się jej tak piękna, że w nienasyconym swym pomnożyła się przez trzydzieści dziewięć. W ciągu trzech miesięcy rozeszła się po ziemi w dziewięćset pięćdziesięciu egzemplarzach. Sześć miesięcy później liczba ta wzrosła do około osiemnastu tysięcy, a to niemało. Oblicze świata nieco się przez to zmieniło. Osiemnaście tysięcy kochanków ulegało wpływom tej samej kobiety i bez ich wiedzy połączyło ich pewne pokrewieństwo w sposobie odczuwania, oceniania, chcenia. Poza tym, kształtowani przez jej rady i jednakie pragnienie przypodobania się kochance, upodobnili się do siebie w sposobie bycia, chodzenia, noszenia kurtki, kolorem krawatu, a nawet wyrazem twarzy. W taki to sposób profesor geometrii podobny był do chińskiego pirata, a akademik, mimo brody, do matadora. Powstał typ mężczyzny o cechach somatycznych, których nie dawało się naukowo sklasyfikować. Sabina zwykła nucić piosenkę zaczynającą się od słów: *W francuskiej gwardii miałam ukochanego*. Przebiegała ona przez usta jej niezliczonych kochanków, ich przyjaciół i znajomych i stała się międzynarodowym szlagierem. Gangsterzy Al Pacone śpiewali ją grabiąc największy bank w Chicago, podobnie jak piraci Wu-Nai-Na napadając na dżonki na rzece Błękitnej i nieśmiertelni przy redagowaniu słownika Akademii, Wreszcie sylwetka Sabiny, jej profil, forma oczu i wyraz nóg narzuciły nowy kanon kobiecej urody. Wielcy podróżnicy, zwłaszcza reporterzy, dziwili się, spotykając wszędzie tę samą kobietę, tak doskonale podobną do samej siebie. Gazety wzruszały się tym, a świat naukowy zaproponował szereg interpretacji tego zjawiska, co spowodowało poważne spory, którym daleko do zakończenia. Teoria semifinalistyczna niwelowania ras przez mutację genów i nieświadomą opcję gatunku zyskała sobie największy poklask. Lord Burbury, który dość uważnie śledził tę dyskusję, zaczął dziwnie przyglądać się żonie.

A na ulicy Abreuvoir Sabina Lemurier dalej wiodła uregulowane życie dobrej żony i gospodarnej pani domu: chodziła po zakupy, smażyła befsztyki, przyszywała guziki, krochmaliła koszule męża, składała wizyty zonom jego biurowych kolegów i regularnie pisywała do starego wuja w Clermont-Ferrand. Wydawało się, że w przeciwieństwie do swoich czterech siostr nie uległa perfidnym sugestiom księżek Mrs. Smithson i że zabroniła sobie mnożyć się w celu poszukiwania kochanków. Można by to uznać za hipokryzję, ostrożność pozorną i powierzchowną, gdyż Sabina i jej niezliczone grzeszne siostry były przecież jedną i tą samą osobą. Ale nawet najwięksi grzesznicy nigdy nie są całkowicie opuszczeni przez Boga, który podsycy światelko w mrokach tych nieszczęsnych dusz. To światło zmaterializowało się niewątpliwie w jednej osiemnastotysięcznej naszej nieprzebranej kochanicy. Prawdę mówiąc chciała przede wszystkim uszanować Antoine'a Lemuriera jako legalnego małżonka. Jej postawa wobec męża zawsze była dowodem tej chwalebnej troski. Lemurier zachorował, kiedy po nieudanych spekulacjach ciężko się zadłużył, i małżonkowie znaleźli się w bardzo trudnej, bliskiej nędzy sytuacji. Często brakowało pieniędzy na aptekę, chleb i mieszkanie jednocześnie. Dla Sabiny nastąpiły ciężkie dni, ale nawet wtedy, gdy właściciel dobijał się do drzwi, a Antoine wzywał księdza, nie uległa pokusie sięgnięcia po miliony lady Burbury albo Mrs. Smithson. Niemniej, siedząc przy łóżku chorego i wsłuchując się w jego chrapliwy oddech, uważnie śledziła swawole swoich siostr, wsłuchana w potężny zgiełk rozkoszy, który niekiedy wydzierał jej z piersi westchnienie. Z zaciśniętymi zębami, płonącymi policzkami i z lekka rozszerzonymi źrenicami przypominała telefonistkę z centrali namiętnie podsłuchującą liczących rozmówców.

Choć uczestniczyła w tych lubieżnych walkach bezwstydnej wielości, kopulującej,

dyszającej i jęczącej, choć znajdowała w tym rozkosz (z musu, koniecznie, niezbędnie, absolutnie i zgodnie ze zgodnością), Sabina była niezaspokojona i duszę miała głodną. Na nowo pokochała Teoremata i postanowiła nieodwołalnie, że on nigdy się o tym nie dowie. Jej czterdzieści siedem tysięcy kochanków było, być może, tylko pochodną tej beznadziejnej namiętności. Można tak sądzić. Z drugiej strony można przypuszczać, że po prostu wciągał ją nieodparcie wir przeznaczenia (Por. myśl Karola Fourniera, którą każdy może przeczytać na postumencie pomnika przy zbiegu bulwaru Clichy z placem Clichy: Przyciąganie jest proporcjonalne do przeznaczenia). Sabina dowiedziała się najpierw od mleczarki, potem z gazet, o sukcesach Teoremata. Z olśnionym sercem i zamglonym okiem podziwiała na wystawie jego *Kobietę o dziewięciu głowach*, tak tragicznie nierealną, a dla niej aluzyjną. Były kochanek zdawał jej się teraz oczyszczony, odkupiony, odświeżony i odpucowany. O niego jednego ośmielała się modlić: żeby miał wygodne łóżko, suto zastawiony stół, żeby zachował świeżość uczuć i malował coraz piękniej.

Teoremat miał nadal oczy mroczne, ale szaleństwo go opuściło, choć przyczyny tego stanu nie ustąpiły. Rozsądnie sobie wytłumaczył, że ponieważ wszystko można udowodnić, więc istnieją z pewnością racje obalające dowody jego szaleństwa, ale nie starał się ich szukać. Życie jego toczyło się bez zmian, pracowite i najczęściej samotne. Zgodnie z pragnieniem Sabiny malował coraz piękniej i krytycy mówili bardzo subtelne rzeczy o uduchowieniu jego płócien. Rzadko widywano go w kawiarniach, nawet w towarzystwie przyjaciół odzywał się niechętnie; miał smutną twarz i postawę człowieka, który poślubił cierpienie. Poważnie przemyślał swe postępowanie wobec Sabiny i osądził je surowo. Świadom własnej podłości, rumienił się na jej wspomnienie dwadzieścia razy dziennie i głośno wymyślał sobie od chamów, platfusów, łajdaków, pacanów, wałów i nadętych wieprzy. Chciał ukorzyć się przed Sabina, błagać o przebaczenie, ale czuł się go niegodnym. Udał się w pielgrzymce na bretońską plażę i przywiózł stamtąd dwa wspaniałe płótna – na widok których sklepikarz zaszlochał – a także kłujące wspomnienie własnego chamstwa. W jego uczuciu do Sabiny tyle było teraz pokory, że żałował, iż był kochany.

Antoine Lemurier był o włos od śmierci, ale szczęśliwie przyszedł do siebie, podjął pracę w biurze i jakoś przeboleł swe pieniężne straty. W czasie jego choroby sąsiedzi już się cieszyli, że mąż zdechnie, meble zostaną sprzedane, a żona znajdzie się na ulicy. Byli zresztą przemysłymi ludźmi o złotych sercach, jak wszyscy, i nic nie mieli do państwa Lemurier, ale widząc rozgrywającą się ponurą tragedię z nawrotami, perypetiami, rykiem właściciela, komornika i wzrastającą gorączką, żyli w oczekiwaniu na rozwiązanie godne całej sztuki. Mieli pretensje do Lemuriera, że nie umarł. To on wszystko popsuł. Za karę zaczęli żałować i podziwiać żonę. Mówili jej: „Pani Lemurier, jakże jest pani dzielna, myśleliśmy o pani, chciałam nawet odwiedzić panią, ale Fryderyk mi zabronił, powiedział, że będę przeszkadzać. Ale dowiadywałam się, często mówiłam i wczoraj jeszcze powiedziałam panu Brevet: pani Lemurier jest nadzwyczajna, była wspaniała”. O ile to było możliwe, rzeczy takie mówiono przy panu Lemurier, powtarzała je dozorczyńni, trzypokojowe mieszkanie na piątym piętrze, drzwi naprzeciwko na trzecim, toteż nieszczęsny mąż czuł, jak niewystarczająca jest jego wdzięczność. Pewnego wieczoru Sabina w świetle lampy wydała mu się zmęczona. Była właśnie przy swoim pięćdziesięciosześcioletnim kochanku, kapitanie żandarmerii, pięknym mężczyźnie, który odpinał pasek od spodni w hotelu w Casablance mówiąc, że po dobrym jedzeniu i dobrym cygarze miłość jest rzeczą boską. Antoine Lemurier patrzył na żonę z uwielbieniem, wziął jej rękę i przycisnął do ust.

– Kochanie – powiedział – jesteś święta. Najśodsza z świętych, najpiękniejsza. Święta, prawdziwa święta.

Bezwiedne szyderstwo tego hołdu i spojrzenie pełne uwielbienia przytłoczyły Sabinę. Wyrwała rękę, załapała się łzami i tłumacząc się nerwami wyszła do swojego pokoju. Kiedy zakręcała papiloty, brodaty akademik zmarł z ruptury arterii w restauracji w Atenach, gdzie

siedział wraz z Sabina, która tam nazywała się Kunegunda i uchodziła za jego siostrzenicę. Kunegunda może wydawać się imieniem wyszukany, nawet literackim, ale pomyślcie tylko: nie ma pięćdziesięciu sześciu tysięcy świętych w kalendarzu, a należało uhonorować je wszystkie. Upewniwszy się, że zwłoki wielkiego człowieka zostaną dobrze potraktowane, Kunegunda złączyła się z Sabina, która nazajutrz rano wysłała ją do baraku w strefie Saint-Quen, by odpokutowała za jej winy wobec Antoine'a Lemurier.

Kunegunda, pod nazwiskiem Luizy Mégnin, zamieszkała w jednym z najbiedniejszych baraków strefy Saint-Quen, które wznoszą się w samym sercu ohydneho miasta pośród ogromnych stert odpadków piętrzących się na wysypiskach czarnej ziemi o zapachu popiołu i ludzkich ekskrementów. W baraku skleconym ze starych desek z rozbiórki i smołowanej papy były dwa pokoiki, oddzielone przepierzeniem. W jednym z nich mieszkał wiecznie zakatarzony i opadły z sił starzec pielęgnowany przez wyrostka idiotę, którego w dzień i w noc wzywał agonialnym głosem. Luiza Mégnin długo musiała przyzwyczajać się do tego sąsiedztwa, podobnie jak do robactwa, szczurów, wyziewów, bijatyk, grubiaństwa mieszkańców strefy i wszelkich ponurych niewygód, jakie narzucało życie w tym ostatnim kręgu ziemskiego piekła. Lady Burbury i jej zameżne siostry oraz pięćdziesiąt sześć tysięcy kochanie (których liczba wzrastała nieprzerwanie) na wiele dni straciły apetyt. Lord Burbury dziwił się czasem widząc blade twarze, drżące ręce i przerażone oczy żony. „Coś przede mną ukrywa” – myślał. To po prostu Luiza Mégnin walczyła w swoim baraku z opasłym szcurem albo klóciła się z pluskwami o łóżko – tego jednak nie mógł wiedzieć. Ktoś mógłby sądzić, że dla wielocieleśnej grzesznicy to pokutnicze zejście do świata skazańców i szmaciarzy, do smrodu, robactwa, ran, wrzodów, głodu, noży, szmat, kwaśnego wina i otepiałych wrzasków oznaczało wielki krok na drodze cnoty. Otóż nie, wprost przeciwnie. Luiza Mégnin i jej pięćdziesiąt sześć, a obecnie już sześćdziesiąt tysięcy sióstr, a także czterocieleśna małżonka usiłowały ogłuszyć się, by zapomnieć o strefie Saint-Quen. Zamiast lubować się cierpieniem, co byłoby słuszne i korzystne, Luiza próbowała nic nie widzieć i nic nie słyszeć; rozpierzchała się po pięciu kontynentach na spektakl zabaw nieczystych. To było łatwe. Kiedy ma się sześćdziesiąt tysięcy par oczu, można bez trudu rozbawić się przedstawieniem, jakie daje nam właścicielka jednej z nich. Podobnie jest z uszami.

Na szczęście Opatrzność czuwała. Pewnego wieczoru o zmroku powietrze było bardzo łagodne, wyziewy z baraków, wozów i stert nieczystości mieszały się z głębokim odorem ściernia, nad strefą unosiła się lekka mgła przysłaniająca koślawe rudery i alejki złomu, a w zapchlonej kawiarni radio nadawało wywiad z wielkim kolarzem Ideuszem. Luiza Mégnin napełniała wiadro przy studni, kiedy jakiś straszliwy typ wyszedł z wozu i podszedł do niej. Zbudowany był jak goryl, miał małpią posturę, małpią twarz, długie ręce zwisające na wysokości kolan, na nogach nosił kapcie, na łydkach skórzane nagolenniki od pary. Kołyszając ramionami podszedł do Luizy i bez słowa zatrzymał się przed nią, jego małe oczy błyszczały w owłosionej twarzy. Już wcześniej zaczepiali ją mężczyźni przy studni, niektórzy nawet kręcili się koło jej domu, ale najwięksi nawet prostytutki przestrzegali pewnego rytuału. Ten zaś z pewnością nie myślał o żadnym rytuale, zdawał się równie spokojnie zdecydowany, jak gdyby chodziło o to, by wsiąść w autobus. Luiza nie śmiała podnieść oczu, z przerażeniem patrzyła na ogromne, zwisające ręce pokryte włosiem czarnym i twardym, sklejonym brudem w sztywno sterzące kępki. Z pełnym wiadrem zawróciła do domu, a goryl towarzyszył jej, wcale się nie odzywając. Szedł drobnymi krokami z powodu swych krótkich i krzywych nóg, nieproporcjonalnych do korpusu, i od czasu do czasu strzykał tytoniem. „Dlaczego pan za mną idzie?” – spytała Luiza. „Moja rana zaczyna znowu ciec” – odpowiedział goryl i uszczypnął materiał spodni przyklejonych do uda. Doszli do baraku. Zdjęta strachem Luiza skoczyła naprzód i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Ale zanim zdołała zamknąć je na klucz, jednym ruchem odepchnął ją i stanął w progu. Nie zwracając na nią uwagi z wolna przeciągnął po udzie palcami macając przez materiał kontury zdumiewającej rany. Trwało to

długo. W sąsiednim pokoju starzec kłął i głosem umierającego skarżył się, że szczeniak chce go zamordować. Przerazona Luiza stała pośrodku pokoju z oczami utkwionymi w goryla. Ich oczy spotkały się, dał ręką znak, by poczekała, i zamknawszy drzwi położył tytoń na krześle.

W Paryżu, Londynie, Szanghaju, Bamako, Baton-Rouge, Vancouver, Nowym Jorku, Wrocławiu, Warszawie, Rzymie, Pondichery, Sydney, Barcelonie i we wszystkich punktach ziemskiego globu Sabina z zapartym tchem śledziła ruchy goryla. Lady Burbury wchodziła właśnie do zaprzyjaźnionego salonu i zbliżająca się na jej spotkanie pani domu ujrzała, jak cofa się przed nią ze skurczoną twarzą i przerażonymi oczyma, aż usiadła na kolanach starego pułkownika. W Napier (Nowa Zelandia) Ernestyna, ostatnio narodzona z sześćdziesięciu pięciu tysięcy, wbiła paznokcie w ramię młodego urzędnika bankowego, który nie wiedział, co ma o tym myśleć. Sabina mogłaby wchłonąć Luizę w jedno ze swoich licznych ciał, myślała o tym, ale wydawało się jej, że nie ma prawa uciec przed tą próbą.

Goryl zgwałcił Luizę Mégnin wiele razy. W przerwach sięgał po prymkę tytoniu, a potem odkładał ją na krześle. Z drugiej strony przepierzenia starzec ciągnął swoje litanie i bezsilną ręką rzucał po pokoju drewniakami usiłując trafić swego młodego towarzysza, który za każdym razem wybuchał debilnym śmiechem. Zapadła noc. W ciemnościach goryl przy każdym poruszeniu wydzielał z siebie ciężki odór brudu, zepsutego jedzenia, kozła i ropy, skoncentrowany w jego zwierzęcej sierści i ubraniu. Wreszcie ostatecznie zabrał prymkę, położył na stole 20 sous, jak człowiek znający życie, i rzucił na odchodnym: „Wróć”. Tej nocy ani jedna z sześćdziesięciu pięciu tysięcy nie mogła zasnąć, zdawało się, że ich łzy nigdy nie wyschną. Teraz dobrze widziały, że miłosne rozkosze opisane w powieściach Mrs. Smithson to czarowne złudzenia, że poza świętymi więzami małżeńskimi najpiękniejszy mężczyzna świata nie może dać kobiecie nic innego jak to, co ma – w gruncie rzeczy (myślały), prawie to samo, co dał goryl. Tysiące Sabinek pokłóciło się ze swoimi kochankami, którzy wpadli w rozpacz z powodu ich szlochów i min pełnych obrzydzenia; zerwały dotychczasowe związki i zaczęły szukać godziwego zarobku. Jedne najęły się do pracy w fabryce albo jako służące do wszystkiego, inne znalazły zatrudnienie w szpitalach i przytułkach. Na Markizach dwanaście Sabinek wstąpiło do leprozorium, by opiekować się trędowatymi. Niestety, nie należy sądzić, że tak się stało ze wszystkimi. Przeciwnie, nowe multiplikacje grzesznic kompensowały, i to z nawiązką, te chwalebne odszczepieństwa. Niektóre z nawróconych dały się skusić i powróciły na złą drogę. Na szczęście goryl często odwiedzał Luizę Mégnin. Ponieważ zawsze był tak samo brzydki, tak samo brutalny i tak samo mocno śmierdział, jego lubieżność była cudownie budująca. Ilekroć wkraczał do baraku, dreszcz obrzydzenia ogarniał kochanice i tysiąc (albo i dwa) Sabinek szukało schronienia w uczciwej pracy albo w dobrych uczynkach, gotowe były jednak rozmyślić się i powrócić do grzesznych rozkoszy. W rezultacie, jeśli rozważać same liczby, Sabina nie posuwała się wyraźnie na drodze dobra, ale liczba jej kochanków ustabilizowała się na poziomie sześćdziesięciu siedmiu tysięcy, a to już był postęp.

Któregoś ranka goryl przyszedł do Luizy Mégnin z wielkim płóciennym workiem zawierającym osiem puszek pasztetu, sześć puszek łososia, trzy kozie sery, trzy sery camambert, sześć jaj na twardo, piętnaście deka korniszonów, słoik smalcu, kielbasę, cztery kilo świeżego chleba, dwanaście butelek czerwonego wina, flaszkę rumu oraz pochodzący z 1912 roku fonograf z wałkiem, na którym nagrane były trzy melodie, mianowicie, w kolejności upodobań goryla: *Piosenka złotych kłosów*, swawolny monolog i duet Charlotty i Wertera. Zjawił się więc goryl z workiem na ramieniu, zamknął się w baraku z Luizą Mégnin i wyszedł dopiero nazajutrz o piątej po południu. O okropnościach, jakie popełnił w ciągu dwudniowego sam na sam, mówić nie wypada. Wystarczy powiedzieć, że w tym samym czasie dwadzieścia tysięcy rozczarowanych Sabinek porzuciło swych kochanków, by oddać się niewdzięcznym zajęciom i wspomagać nieszczęśliwych. Prawdą jest, że dziewięć tysięcy spośród nich (prawie połowa) na powrót popadło w grzech. Ale zysk był spory. Odtąd liczba

odkupionych była mniej więcej stała, mimo nawrotów i ponownych upadków. Te niezliczone ciała poruszane były jedną duszą, dziwne więc może się wydawać, że wyniki nie były lepsze. Ale życiowe nawyki, nawet najbardziej codzienne, nudne i najwyraźniej nic nie znaczące, są jak przyleganie duszy do ciała. Dobrze to widać po Sabinie. Skrucha ogarnęła najpierw te z jej sióstr, które wiodły życie nieuporządkowane, jeden kochanek dziś, inny jutro i co dzień pakowanie walizki. Większość pozostałych wiązała z grzechem aperitif o ustalonej porze, wygodne mieszkanie, kółko od serwetki w restauracji, uśmiech dozorczyńni, syjamski kot, chart, cotygodniowe układanie włosów, odbiornik radiowy, krawcowa, głęboki fotel, partnerzy do brydża, a wreszcie stała obecność mężczyzny, wymieniane z nim uwagi o pogodzie, krawatach, kinie, śmierci, miłości, tytoniu czy drętwnieniu karku. Niemniej szańce zdawały się padać jedne po drugich. Co tydzień goryl spędzał u Luizy dwa lub trzy dni z rzędu i upijał się ohydnie, był straszliwy w swej werwie, smrodzie i ropieniach. Całe tysiące kochanic biło się w piersi, hołdowało czystości i spełniało miłosierne uczynki, wpadało ponownie w błoto, wychodziło zeń, wahało się, rozważało, wybierało po omacku, napotykało na mur, folgując sobie i zbierając się w garść, by – najczęściej – spokojnie prowadzić życie w cnocie, pracy i abnegacji. Oczarowane i zaintrygowane anioły wychylały się przez bariery nieba, aby śledzić tę wspaniałą walkę, a kiedy widziały, że goryl wchodzi do Luizy Mégnin, nie mogły powstrzymać się, aby nie zaintonować radosnej kantyczki. Sam Bóg czasem się przyglądał. Ale daleki był od dzielenia entuzjazmu aniołów, które czasem beształ po ojcowsku: „Dobrze, dobrze. No i co takiego? Dusza jak każda inna, to, co tu oglądacie, dzieje się we wszystkich biednych duszyczkach, o które nie zatroszczyłem się, aby im dać sześćdziesiąt siedem tysięcy ciał. Przyznaję, że walka jest dość spektakularna, ale to dlatego, że ja tak chciałem”.

A przy ulicy Abreuvoir Sabina wiodła życie pełne troski i skupienia, bacznie rejestrując drgnienia własnej duszy i wpisując je cyframi do gospodarskiego notesu. Kiedy liczba skruszonych sióstr sięgnęła czterdziestu tysięcy, jej twarz rozpogodziła się nieco, choć nadal pozostała napięta. Wieczorami, w stołowym, często rozjaśniała się uśmiechem, a Antoine'owi bardziej niż kiedykolwiek wydawało się, że rozmawia z aniołami. Którejś niedzieli, kiedy trzepała w oknie chodnik sprzed łóżka, a Lemurier zastanawiał się nad trudnym słowem z krzyżówki, ulicą Abreuvoir przeszedł Teoremat.

– Spójrz – powiedział Lemurier – to ten wariat. Dawno go nie widzieliśmy.

– Nie trzeba mówić, że to wariat – odparła łagodnie Sabina. – Pan Teoremat jest wielkim malarzem.

Teoremat niespiesznym krokiem zmierzał ku swemu przeznaczeniu, które kazało mu najpierw zejść w dół ulicą des Saules i zaprowadziło go na pchli targ przy Porte de Clignancourt. Nie zważając na okazje szedł przed siebie aż do wioski strefiarzy; przyglądali mu się z dyskretną wrogością pariasów wobec dobrze ubranego obcego przechodnia, którego nęci i ciekawi ich malownicza nędza. Teoremat przyspieszył kroku i dochodząc do ostatnich baraków stanął twarzą w twarz z Luizą Mégnin niosącą wiadro wody. Miała bose nogi w sabotach i wąską czarną sukienkę, wielokrotnie przerabianą i łataną. Nic nie mówiąc wziął wiadro i wszedł za nią do nędznego pokoiku. Staruch zza ściany powlókł się na targ w poszukiwaniu okazynego talerza i w baraku było cicho. Teoremat trzymał Sabinę za ręce, żadne z nich nie mogło wydobyć z siebie głosu, by prosić o wybaczenie za krzywdę, jaką sobie nawzajem wyrządzili. Ukłękł przed nią, a ona, chcąc go podnieść, sama padła przed nim na kolana, łzy napłynęły im do oczu. Wtedy wszedł goryl. Dźwigał na plecach wielką torbę z wiktuałami, gdyż zamierzał spędzić osiem dni w baraku Luizy. Bez słowa odstawił torbę, bez słowa schwycił kochanków za gardła – w każdej ręce szyja – podniósł ich, potrząsnął jak butelką, potem udusił. Umarli jednocześnie twarzą przy twarzy, nie odrywając od siebie oczu. Goryl odłożył ciała na krzesła i siadł z nimi przy stole, pożarł puszkę pasztetu i wypił butelkę wina. Tak spędził dzień – na jedzeniu, piciu i słuchaniu *Pieśni złotych kłosów*. Wieczorem związał ciała razem i włożył je do worka. Wychodząc z baraku z ciężarem na plecach w wyższej partii

klatki piersiowej poczuł jakby dreszcz przypominający wzruszenie, otworzył torbę i wrzucił do środka kwiat pelargonii zerwany z okna wozu w strefie. Wielkimi alejami zszedł do Sekwany. Był tam około jedenastej w nocy. Cała ta historia obudziła jego wyobraźnię. Na quai de la Mégisserie, gdzie wrzucił oba trupy do rzeki, goryl odkrył, że życie jest nudne i męczące jak książka. Przyszło mu naraz do głowy, by z nim skończyć, ale zamiast rzucić się do wody, z całą delikatnością poszedł poderżnąć sobie gardło w bramie na ulicy Lavandieres-Sainte-Opportune. W tej samej sekundzie, kiedy Luiza Mégnin umierała uduszona, jej sześćdziesiąt siedem tysięcy z czymś sióstr również oddawało ostatnie tchnienie ze szczęśliwym uśmiechem podnosząc rękę do szyi. Jedne, jak lady Burbury i Mrs: Smithson, spoczywają w bogatych grobowcach, inne w zwykłych grobach usypanych z ziemi, które czas szybko zatrze. Sabina pochowana jest na Montmartre, na małym cmentarzyku Saint-Vincent, przyjaciele odwiedzają ją tam czasami. Myślę, że jest w raju i że w dniu Sądu Ostatecznego będzie miała przyjemność zmartwychwstać w swoich sześćdziesięciu siedmiu tysiącach ciał.

Karta

Fragmenty dziennika Julesa Flegmona

10 luty. – W dzielnicy krążą absurdalne pogłoski w związku z nowymi restrykcjami. Aby zapobiec głodowi i zapewnić lepszą wydajność pracującej części ludności, dokona się uśmiercenia nieproduktywnych konsumentów: starców, emerytów, rencistów, bezrobotnych i innych niepotrzebnych gęb do żywienia. W gruncie rzeczy uważam tę decyzję za dość słuszną. Przed chwilą spotkałem przed domem mego sąsiada Roquentona, zapalczego siedemdziesięciolatka, który poślubił w zeszłym roku młodą, dwudziestoczeroletnią kobietę. Dusił się z oburzenia: „Cóż znaczy wiek – krzyczał – skoro uszczęśliwiam moją śliczną lalunię!” Poradziłem mu, by z dumą i radością zaakceptował swój los i poświęcił własną osobę dla dobra ogółu.

12 luty. – Nie ma dymu bez ognia. Jadłem dziś obiad z moim starym przyjacielem Maleffroi, radcą przy prefekturze Sekwany. Zręcznie wziąłem go na spytki, rozwiązawszy mu wprzód język butelką Arbois. Naturalnie nie ma mowy o uśmiercaniu ludzi niepotrzebnych. Po prostu obetnie im się czas życia. Maleffroi wytłumaczył mi, że będą mieli prawo do tyłu a tyłu dni istnienia w miesiącu, w zależności od stopnia ich nieużyteczności. Podobno kartki na czas są już wydrukowane. Ten pomysł wydaje mi się tyleż udany, co poetyczny. Zdaje się, że mówiłem o tym doprawdy wzruszająco... Niewątpliwie rozczmuchany nieco winem, Maleffroi patrzył na mnie swoimi dobrymi oczami zamglonymi przyjaźnią.

13 luty. – To hańba! Krzycząca niesprawiedliwość! Straszliwe morderstwo! Dekret opublikowany został w gazetach i oto okazuje się, że pośród „konsumentów, których utrzymanie nie jest kompensowane żadną rzeczywistą pracą”, figurują artyści i pisarze! W ostateczności mógłbym zrozumieć, gdyby dotyczyło to malarzy, rzeźbiarzy i muzyków. Ale pisarze! Jest w tym niekonsekwencja i aberracja, które pozostaną największą hańbą naszej epoki. Gdyż nie ma potrzeby udowadniać użyteczności pisarzy, zwłaszcza mojej, mogę to powiedzieć z całą skromnością. A będę miał prawo tylko do piętnastu dni istnienia w miesiącu.

16 luty. – Dekret wchodzi w życie 1 marca, a zapisów trzeba dokonać do 18-ego, ludzie skazani przez swoją pozycję społeczną na istnienie częściowe gorączkowo poszukują pracy, która pozwoliłaby zaklasyfikować ich do kategorii żyjących w pełnym wymiarze. Ale administracja z iście diabelską przezornością zabroniła jakichkolwiek zmian personalnych przed

25 lutego.

Przyszło mi do głowy, że mógłbym zatelefonować do mego przyjaciela Maleffroi, aby w ciągu czterdziestu ośmiu godzin znalazł dla mnie posadę portiera albo strażnika muzeum. Zgłosiłem się za późno. Dał już komuś miejsce biurowego chłopca na posyłki, ostatnie, jakim dysponował.

– Dlaczego, u diabła, czekał pan z tym do dziś?

– Jakże mogłem przypuszczać, że dekret będzie mnie dotyczył? Kiedy jedliśmy razem obiad, nie powiedział mi pan...

– O przepraszam. Powiedziałem jak najjaśniej, że dekret dotyczy wszystkich darmo-
zjadów...

17 luty. – Dozorczynie uważa mnie już z pewnością za półżywego, za ducha, za cień wyłaniający się z piekła, gdyż dziś rano nie przyniosła mi poczty. Schodząc, zrobiłem jej awanturę: „To po to, by utuczyć leni w pani rodzaju, elita poświęca swe życie!” I była to w istocie prawda. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej dekret wydaje mi się niesprawiedliwy i niesłuszny.

Spotkałem przed chwilą Roquentona i jego młodą żonę. Biedny stary budzi litość. Ma wszystkiego prawo do sześciu dni życia w miesiącu, a najgorsze, że pani Roquenton ze względu na swą młodość ma prawo do dni piętnastu. Ta różnica przyprawia starego męża o szalony niepokój. Mała zdaje się akceptować swój los bardziej filozoficznie.

W ciągu dnia spotkałem wiele osób, których dekret nie dotyczy. Ich niezrozumienie i niewdzięczność wobec osób poświęcających się dla ogółu głęboko mnie brzydzi. Nie tylko że to niesprawiedliwe zarządzenie uważają za rzecz jak najbardziej naturalną, ale wydaje się nawet, że cieszą się z niego. Nigdy dość surowo nie piętnuje się ludzkiego egoizmu.

18 luty. – Stałem trzy godziny w kolejce do merostwa 18 dzielnicy po moją kartę czasu. W podwójnym ogonku stało nas około dwóch tysięcy nieszczęśników poświęconych na rzecz apetytu mas pracujących. A to dopiero pierwszy rzut! Starców była mniej więcej połowa. Widziało się też ładne młode kobiety o twarzach zasnutych smutkiem, które zdawały się wzdychać: „Nie chcemy jeszcze umierać”. Profesjonalistki od miłości były licznie reprezentowane. Dekret dotknął je mocno, ograniczając ich czas życia do siedmiu dni miesięcznie. Jedna z nich skarżyła się przede mną, że definitywnie skazuje się ją na los dziewczyny publicznej. Siedem dni, mówiła, to za krótko, by mężczyzna mógł się przywiązać. Nie wydało mi się to takie pewne. Nie bez wzruszenia i, muszę przyznać, ze skrytym zadowoleniem rozpoznałem w kolejce kolegów z Montmartre, pisarzy i artystów: Céline'a, Gen Paula, Daragnesa, Fauchois, Soupaulta, Tintina, d'Esparbèsa i innych. Céline był wściekły, mówił, że to jeszcze jeden żydowski manewr, ale uważam, że w tej akurat sprawie jego zaciekłość wprowadza go w błąd. W rzeczywistości w myśl dekretu Żydom przysługuje pół dnia istnienia miesięcznie, bez względu na wiek, płeć i zajęcie. W sumie tłum był zirytowany i wzburzony. Agenci służby porządkowej traktowali nas pogardliwie, uważając nas – to jasne – za odpadki ludzkości. Ponieważ byliśmy zmęczeni długim wyczekiwaniem, uśmierzali naszą niecierpliwość kopniakami w tyłek. Przełknąłem tę zniewagę dumnie milcząc, ale wpatrywaniem się w brygadiera policji rycząc w duchu z buntu. Teraz my jesteśmy wyklętym ludem ziemi. Wreszcie odebrałem moją kartę czasu: talony, z których każdy wart jest dwadzieścia cztery godziny życia, są bładniebieskie, w tak delikatnym kolorze barwinka, że łzy napłynęły mi do oczu.

24 luty. – Osiem dni temu zwróciłem się do kompetentnej administracji, aby mój osobisty przypadek został ponownie rozpatrzony. Otrzymałem dodatkowo dwadzieścia cztery godziny życia miesięcznie. Zawsze coś.

5 marca. – Od dziesięciu dni żyję jak w gorączce, co sprawiło, że zarzuciłem pisanie dziennika. Aby nic nie stracić z życia tak krótkiego, niemal w ogóle nie śpię. W ciągu czterech ostatnich dni zaczerpnięłem więcej papieru niż w ciągu trzech tygodni normalnego życia, a jednak mój styl zachował ten sam blask, myśl – tę samą głębię. Równie gorączkowo

oddają się rozkoszy. Chciałbym, aby wszystkie piękne kobiety do mnie należały, ale to niemożliwe. W ciągłym pragnieniu korzystania z uciekających godzin, a także może z ducha zemsty, co dzień zjadam dwa obfite posiłki na czarnym rynku. W południe zjadłem trzy tuziny ostryg, dwa jaja w koszulkach, ćwierć gęsi, płat poledwicy wołowej, jarzynę, sałatę, rozmaite sery, deser czekoladowy, grapefruit i trzy mandarynki. Przy kawie odczuwałem w jakiś sposób szczęście, choć myśl o moim smutnym losie bynajmniej mnie nie opuszczała. Czy zostanę stoikiem doskonałym? Wychodząc z restauracji natknąłem się na państwo Roquenton. Poczciwina żyje dziś ostatni swój dzień w miesiącu. Dziś o północy, zużywwszy szósty talon, zapadnie w nieistnienie i pozostanie w nim przez dwadzieścia pięć dni.

7 marca. – Odwiedziłem młodą panią Roquenton, od północy tymczasowo wdowę. Przyjęła mnie z wdziękiem, który melancholia czyniła jeszcze bardziej uroczym. Gawędziliśmy o tym i owym, również o jej mężu. Opowiedziała mi, jak zapadł w nicość. Oboje leżeli w łóżku. Na minutę przed dwunastą Roquenton trzymał swą młodą żonę za rękę i dawał jej ostatnie wskazówki. Punkt dwunasta poczuła, że dłoń męża topnieje w jej własnej dłoni. Obok leżała jedynie pusta piżama i sztuczna szczęka na poduszce. Opowiadanie wzruszyło nas. Ponieważ Lucette Roquenton uroniła kilka łez, otworzyłem przed nią ramiona.

12 marca. – Wczoraj wieczorem o szóstej poszedłem na kieliszek likieru do Perruque, akademika. Jak wiadomo, administracja, aby nie zadawać kłamu reputacji nieśmiertelności, przyznała tym szczałkom przywilej figurowania między żyjącymi w pełnym wymiarze. Perruque był nikczemny w swej zarozumiałości, hipokryzji i złośliwości. Było nas tam piętnastu – same ofiary żyjące na ostatnich talonach miesiąca. Tylko Perruque miał pełny wymiar. Traktował nas pobłaźliwie, jak istoty mniej warte i bezsilne. Ze złym blaskiem w oku uważał się nad nami, obiecywał bronić naszych interesów pod naszą nieobecność. Cieszył się, że w pewnym sensie jest kimś więcej niż my. Powstrzymałem się, jak mogłem, by nie nazwać go starym osłem i zimnym ścierwem. Och, gdyby nie nadzieja, że kiedyś znajdę się na jego miejscu!

13 marca. – W południe jadłem obiad u Dumontów. Jak zwykle kłócili się, a nawet wyzywali. Z akcentem nie udawanej szczerości Dumont wykrzyknął: „Gdybym chociaż mógł zużyć moje talony na życie w drugiej połowie miesiąca, tak abym nigdy nie musiał żyć w tym samym czasie co ty!” Pani Dumont rozplakała się.

16 marca. – Lucette Roquenton wkroczyła dziś w nocy w nicość. Ponieważ bardzo się bała, towarzyszyłem jej w ostatnich chwilach. Kiedy przyszedłem o wpół do dziesiątej, leżała już w łóżku. Aby zaoszczędzić jej przedśmiertnego strachu, cofnąłem o kwadrans zegar stojący na nocnym stoliku. Pięć minut przed zanurzeniem się w niebyt dostała ataku płaczu. Potem, sądząc, że ma jeszcze dwadzieścia minut, doprowadziła się do porządku. Jej kokieteria wydała mi się dość wzruszająca. W momencie przejścia nie spuszczałem z niej oczu. Śmiała się właśnie z jakiejś mojej uwagi i nagle śmiech zamarł i jednocześnie rozwiła się pod moim spojrzeniem, jakby ukrył ją iluzjonista. Pomacałem ciepłe jeszcze miejsce, gdzie spoczywało jej ciało, i poczułem wchodzącą we mnie ciszę, jaką narzuca obecność śmierci. Wszystko to zrobiło na mnie dość przygnębiające wrażenie... Jeszcze dziś rano, w chwili kiedy piszę te słowa, pełen jestem trwogi. Od przebudzenia liczę godziny pozostające nie do życia. Dziś o północy kolej na mnie.

I dziś raz jeszcze, na kwadrans przed północą, zasiadam do dziennika. Położyłem się i chcę, żeby ta prowizoryczna śmierć zastała mnie z piórem w ręku, przy wykonywaniu mego zawodu. Uważam taką postawę za dość odważną. Lubię tę formę odwagi, elegancką i dyskretną. Właśnie, czy śmierć, która mnie czeka, jest rzeczywiście prowizoryczna, czy nie chodzi o zwykłą, czystą śmierć? Obietnica wskrzeszenia wiele mi nie mówi. Teraz widziałbym w niej raczej zręczny sposób podkoloryzowania ponurej prawdy. Jeżeli za piętnaście dni żaden z poświęconych nie zmartwychwstanie, to kto się o nich upomni? Przecież nie spadkobiercy! A gdyby się upomnieli – wielka mi pociecha! Myślę sobie teraz, że poświęceni mają zma-

rtwychwstać jednocześnie, pierwszego dnia przyszłego miesiąca, to znaczy pierwszego kwietnia. To byłby dobry kawał... Ogarnia mnie straszliwy lęk i czuję...

1 kwietnia. – Żyję. To nie primaaprilisowy kawał. Nie miałem zresztą poczucia upływającego czasu. Ocknąłem się w łóżku jeszcze pod wrażeniem strachu poprzedzającego śmierć. Dziennik leżał na łóżku i chciałem dokończyć zdanie, na którym stanąłem, ale w piórze nie było atramentu. Zobaczyłem, że zegar zatrzymał się o czwartej dziesiątej, i zacząłem domyślać się prawdy. Zegarek też mi stanął. Postanowiłem zadzwonić do Maleffroi i spytać go o datę. Nie krył niezadowolenia, że zrywam go z łóżka w środku nocy, moja radość ze zmartwychpowstania mało go poruszyła. Ale musiałem się komuś zwierzyć.

– Widzi pan – powiedziałem – różnica między czasem przestrzennym a czasem przeżywanym nie jest wymysłem filozofów. Jestem tego dowodem. W rzeczywistości czas absolutny nie istnieje...

– To możliwe, ale jest jednak wpół do pierwszej i sądzę...

– Niech pan zauważy, że to bardzo pocieszające. Te piętnaście dni, w ciągu których nie żyłem, to nie jest dla mnie czas stracony. Liczę, że je później odzyskam.

– Powodzenia i dobrej nocy – uciał krótko Maleffroi.

Rankiem, koło dziesiątej, wyszedłem z domu! Odczułem nagłą zmianę, jak gdyby natura dokonała znacznego skoku. Drzewa się już zazieleniły, powietrze było lżejsze, ulice wyglądały inaczej. Kobiety też były bardziej wiośniane. Myśl, że świat mógł żyć beze mnie, budziła we mnie i nadal budzi pewne rozgoryczenie. Widziałem wiele osób wskrzeszonych tej nocy. Wymiana wrażeń. Pani Bordier uczepliła się mnie i przez dwadzieścia minut opowiadała, jak oderwana od ciała przeżyła piętnaście dni wzniosłych i rajskich rozkoszy. Z pewnością najzabawniejsze było spotkanie z Bouchardonem. Prowizoryczna śmierć zaskoczyła go we śnie, w nocy z 15 marca. Obudził się dziś w przekonaniu, że uniknął swego losu, i wyszedł, by udać się na swój ślub, który w rzeczywistości miał się odbyć piętnaście dni temu, a nie dziś, jak sądził. Nie wyprowadziłem go z błędu.

2 kwietnia. – Poszedłem na herbatę do Roquentonów. Pocziwina wydaje się całkiem szczęśliwy. Nie odczuł upływu czasu podczas swej nieobecności i wydarzenia, które ten czas wypełniły, dla niego nie istnieją. Myśl, że w ciągu dziewięciu dni bez niego żona mogła go zdradzić, wydaje mu się oczywiście metafizyką. Lucette patrzyła na mnie bez ustanku swymi wilgotnymi i tęsknymi oczami. Nie znoszę tych namiętnych depeš emitowanych za niewiedzą trzeciego.

3 kwietnia. – Od rana nie mogę się uspokoić. Podczas gdy byłem martwy, Perruque zrobił wszystko, by otwarcie muzeum Merimeego nastąpiło 18 kwietnia. Z okazji tej uroczystości – stary łotr wie o tym – miałem wygłosić bardzo ważne przemówienie, które otworzyłoby przede mną bramy Akademii. Ale osiemnastego będę w otchłaniach.

7 kwietnia. – Roquenton znowu umarł. Tym razem przyjął swój los w dobrym nastroju. Zaprosił mnie do domu na kolację, o północy siedzieliśmy w salonie i piliśmy szampana. W momencie zapadnięcia w niebyt Roquenton stał i zobaczyliśmy nagle opadające na dywan ubranie. Było to właściwie dość komiczne. Niemniej wesołość Lucette wydała mi się niestosowna.

12 kwietnia. – Dziś rano wstrząsająca wizyta mężczyzny około czterdziestki, biednego, nieśmiałego, w dość kiepskim stanie fizycznym. Był to chory robotnik, żonaty, ojciec trojga dzieci, który chciał mi sprzedać część swoich talonów na życie, by móc wyżywić swoją rodzinę. Jego żona jest chora, on sam zbyt wyczerpany życiem, by pracować na pełnych obrotach, zapomoga ledwie mu starcza na utrzymanie rodziny w stanie bliższym śmierci niż życia. Zaproponował mi sprzedaż swoich talonów na życie. Zmieszałem się, wydałem się sam sobie potworem ze starej legendy, któremu składano haracz z ludzkiego ciała. Zaprotestowałem bełkotliwie i odmówiwszy kupna talonów zaferowałem memu gościowi pewną sumę pieniędzy, nie żądając niczego w zamian. Świadomy wielkości swej ofiary, powodowany uzasa-

dnioną dumą, nie chciał niczego przyjąć nie płacąc jednym lub wieloma dniami swego życia. Nie zdoławszy go przekonać, wzięłem w końcu jeden talon. Po jego wyjściu schowałem talon do szuflady zdecydowany nigdy go nie wykorzystać. Ten dodatkowy dzień, w taki sposób przelany z życia bliźniego, byłby mi wstrętny.

14 kwietnia. – Spotkałem Maleffroi w metrze. Wyjaśnił mi, że dekret o redukcji zaczyna przynosić owoce. Uderzył głównie w bogaczy, czarny rynek stracił znacznie klientelę i ceny spadły już bardzo wyraźnie. W wysokich kołach sędzi się, że wkrótce koniec będzie z tą plagą. Jak się wydaje, ludzie są na ogół lepiej odżywieni. Maleffroi zwrócił moją uwagę na to, że paryżanie lepiej wyglądają. Przyjąłem tę wiadomość z mieszanymi uczuciami.

– Równie cenna – ciągnął dalej Maleffroi – wydaje mi się atmosfera spokoju i ulgi, w jakiej żyjemy pod nieobecność rac jonowanych. Można sobie wtedy zdać sprawę, jak bardzo niebezpieczni dla społeczeństwa są bogacze, bezrobotni, intelektualiści i dziwki, co wprowadzają jedynie zamęt, niepotrzebne ożywienie, bałagan i tęsknotę za tym, co niemożliwe.

15 kwietnia. – Nie poszedłem dziś wieczór do Carteretów, którzy zaprosili mnie do asystowania przy ich „agonii”. W towarzystwie przyjęła się moda urządzania przyjęć z okazji prowizorycznej śmierci. Powiedziano mi, że te spotkania przemieniają się czasem w orgie. To niesmaczne.

16 kwietnia. – Umieram dziś wieczór. Żadnego lęku.

1 maja. – Tej nocy, przy powrocie do życia – zaskoczenie. Względna śmierć (modne wyrażenie) zastała mnie stojącego i ubranie opadło na podłogę, toteż ocknąłem się nagi. Ta sama przygoda spotkała malarza Rondota, który zgromadził dziesięcioro gości płci obojga, samych kandydatów na względną śmierć. To musiało być dość zabawne. Maj pięknie się zapowiada, ciężko mi rezygnować z piętnastu ostatnich dni.

5 maja. – W czasie ostatniej porcji egzystencji miałem wrażenie rodzącego się konfliktu między żyjącymi w pełnym wymiarze a pozostałymi. Wydaje się, że zarysowuje się on coraz mocniej, nie można w każdym bądź razie wątpić w jego istnienie. To przede wszystkim wzajemna zazdrość. Łatwo ją wytłumaczyć u ludzi z kartkami na życie. Nie można się nawet dziwić, że podszyta jest solidną urazą wobec uprzywilejowanych. Ci natomiast, co chwila mam okazję się o tym przekonać, zazdroszczą nam w sekrecie, że jesteśmy bohaterami tajemnicy i Nieznanego, tym bardziej że wyraźniej czują dzielącą nas barierę nicości, której my nie postrzegamy. Względna śmierć wydaje im się jakby wakacjami i mają wrażenie, że sami przykuci są do łańcucha. Na ogół ulegają nieprzyjemnej irytacji i pesymizmowi. Natomiast stale obecne poczucie uciekania czasu, konieczność przyjęcia szybszego tempa życia, skłania ludzi mojej kategorii raczej do wesołości i zadowolenia. Myślałem o tym wszystkim jedząc w południe obiad z Maleffroi. Już to rozgoryczony i ironiczny, już to agresywny, starał się usilnie zniechęcić mnie do mego losu i podkreślał swoje szczęśliwe położenie z oczywistym pragnieniem przekonania samego siebie. Mówił do mnie tak, jak mówi się do przyjaciela należącego do wrogiego narodu.

8 maja. – Dziś rano jakiś typ przyszedł zaproponować mi talony na życie po 200 franków sztuka. Miał ich pięćdziesiąt. Wyrzuciłem go bez ceregieli i tylko swej silnej budowie zawdzięcza, że nie dostał kopniaka.

10 maja. – Wieczorem upływają cztery dni, od kiedy Roquenton po raz trzeci umarł względną śmiercią. Nie widziałem Lucette od tego czasu, ale dowiedziałem się, że zaprzątnięta jest jakimś młodym blondynem. Wyobrażam sobie tego byczka z gatunku swingujących młokosów. Nic mnie to nie obchodzi. To kobieciątko nie ma żadnego gustu, wiem to nie od dziś.

12 maja. – Czarny rynek talonów na życie organizuje się na wielką skalę. Agenci odwiedzają biednych i namawiają ich do sprzedania paru dni życia, aby zapewnić rodzinie dodatkowe środki utrzymania. Starcy żyjący z renty pracowniczej, pozbawione pracy żony więźniów również są łatwymi ofiarami. Kurs talonu ustalił się obecnie na poziomie 200-250

franków. Nie sędę, by miał jeszcze wzrosnąć, gdyż klientela ludzi bogatych lub po prostu zamożnych jest mimo wszystko dość ograniczona w porównaniu z liczbą biednych. Poza tym wielu ludzi nie godzi się na traktowanie ludzkiego życia jak taniego towaru. Co do mnie, to nie będę paktował z moim sumieniem.

14 maja. – Pani Dumont zgubiła swoją kartę czasu. Bardzo to kłopotliwe, gdyż załatwienie nowej potrwa co najmniej dwa miesiące. Oskarża swego męża, że ukrył kartę po to, by się jej pozbyć. Nie wierzę, by miał aż tak czarną duszę. Wiosna nigdy nie była piękniejsza niż w tym roku. Żal mi umierać pojutrze.

16 maja. – Wczoraj kolacja u baronowej Klim. Wśród gości Jego Ekscelencja biskup Delabonne był jedynym człowiekiem żyjącym w pełnym wymiarze. Ktoś mówił o czarnym rynku na talony i oburzyłem się na te praktyki, które uważam za niegodziwe. Byłem absolutnie szczerzy. Być może, chciałem też wyrzucić dobre wrażenie na biskupie, który dysponuje wieloma głosami w Akademii. Od razu wyczułem chłód audytorium. Jego Ekscelencja uśmiechnął się do mnie dobrotliwie, tak jakby to uczynił wobec młodego kleroika trawionego apostołskim żarem. Zaczęto mówić o czymś innym. Po kolacji, w salonie, baronowa zagadnęła mnie, najpierw półgłosem, na temat czarnego rynku na talony. Wykazała mi, że mój ogromny i niezaprzeczalny talent pisarski, głębia myśli, rola, jaką mam odegrać, zobowiązują mnie moralnie do przedłużenia własnego istnienia ku wzbogaceniu myśli ludzkiej i sławie kraju. Widząc, że jestem wstrząśnięty, wciągnęła w rozmowę pozostałych gości. Ci zaś niemal jednomyślnie potępiли moje skrupuły i fałszywy sentymentalizm, który przesłania mi drogi sprawiedliwości. Jego Ekscelencja zapytany o zdanie nie chciał rozstrzygać sprawy, ale wyraził się parabolą pełną znaczeń: pracowitemu rolnikowi brak ziemi, podczas gdy jego sąsiedzi pozostawiają swoje pola odłogiem. Od niedbałych sąsiadów kupuje on część ich ziem, uprawia je, zasiewa i zbiera bogate żniwo z korzyścią dla wszystkich.

Dałem się przekonać wybitnemu zgromadzeniu, dziś rano pozostało mi jeszcze tyle przekonania, że zakupiłem pięć talonów na życie. By zasłużyć na to dodatkowe istnienie, wyjechałem na wieś, gdzie zamierzam zaciekle pracować nad moją książką.

20 maja. – Jestem w Normandii od czterech dni. Z wyjątkiem paru pieszych spacerów cały czas poświęcam pracy. Rolnicy właściwie nie znają karty czasu. Nawet starcy mają prawo do dwudziestu pięciu dni życia miesięcznie. Ponieważ brak mi jednego dnia na skończenie rozdziału, prosiłem starego chłopca, by mi odstąpił talon. Na jego pytanie odpowiedziałem, że w Paryżu talon kosztuje 200 franków. „Żartuje pan – powiedział. – Przy cenach, jakie się płaci za żywego prosiaka, proponować mi 200 franków!” Nie zrobiłem więc interesu. Jutro po południu wyjeżdżam pociągiem, by wieczorem dojechać do Paryża i umrzeć w domu.

3 czerwca. – Co za przygoda! Pociąg miał znaczne opóźnienie i tymczasowa śmierć zaskoczyła mnie na kilka minut przed dojazdem do Paryża. Powróciłem do życia w tym samym przedziale, ale wagon znajdował się na bocznym torze w Nantes. I naturalnie byłem całkiem nagi. Ileż kłopotów i wstydu! Jeszcze jestem od tego chory. Na szczęście podróżowałem ze znajomą osobą, która zawiozła moje bagaże do mieszkania.

4 czerwca. – Spotkałem Melinę Badin, aktorkę z Argos, która opowiedziała mi absurdalną historię. Niektórzy wielbicieli chcieli odstąpić jej parcelkę życia i 15 maja znalazła się w posiadaniu 21 talonów. Otóż twierdzi, że je wszystkie zużyła, tak iż przeżyła 36 dni w miesiącu. Uznałem, że muszę obrócić to w żart:

– Miesiąc maj, który wydłuża się o pięć dni tylko na pani użytek, to doprawdy miesiąc szlachetny.

Melinda zdawała się szczerze zasmucona moim sceptycyzmem. Podejrzewam, że nie jest przy zdrowych zmysłach.

11 czerwca. – Dramat u Roquentonów. Dowiedziałem się o wszystkim dopiero dziś po południu. 15 maja Lucette gościła w domu młodego blond gogusia i o północy obydwójce zapadli w nicość. Wracając do życia odnaleźli swe ciała w łóżku, ale nie byli tam już sami,

gdyż Roquenton zmartwychwstał między nimi. Lucette i blondyn udali, że się nie znają, ale Roquenton uważa to za nieprawdopodobne.

12 czerwca. – Talony na życie osiągnęły astronomiczne ceny, nie sposób je dostać za mniej niż 500 franków. Należy przypuszczać, że ubodzy stali się bardziej skąpi, jeśli idzie o istnienie, a bogacze bardziej chciwi. Na początku miesiąca kupiłem 10 talonów po 200 franków sztuka, a nazajutrz po zakupie dostałem z Orleanu list od wuja Antoine'a, który przysłał mi 9 talonów. Biedak tak mocno cierpi z powodu bólów reumatycznych, że postanowił oczekiwać w nicości poprawy zdrowia. Mam więc 19 talonów. Miesiąc ma 30 dni, czyli mam o 5 talonów za dużo. Z łatwością mogę je sprzedać.

15 czerwca. – Wczoraj wieczorem odwiedził mnie Maleffroi. Był w doskonałym humorze. Fakt, że niektóre osoby wydają duże sumy na to, żeby żyć, tak jak on, przez cały miesiąc, przywrócił mu optymizm. Tego mu było trzeba, by upewnić się, że los żyjących w pełnym wymiarze jest godny pozazdroszczenia.

20 czerwca. – Pracuję zaciekle. Jeśli wierzyć pewnym pogłoskom, Melinda Badin nie jest tak szalona, jak się wydaje. W istocie, wiele osób chwali się, że przeżyło więcej niż 31 dni w ciągu ubiegłego maja. Sam takich słyszałem. Nie brak naturalnie naiwnych, którzy wierzą w te bajki.

22 czerwca. – Chcąc zemścić się na Lucette, Roquenton kupił na czarnym rynku talony za 10 000 franków tylko dla własnego użytku. Jego żona przebywa w nicości już od dziesięciu dni. Myślę, że stary żałuje, że był tak surowy. Samotność zdaje się ciążyć mu okrutnie. Zmienił się nie do poznania.

27 czerwca. – Fama, że miesiąc maj był dłuższy dla paru uprzywilejowanych, zatacza coraz szersze kręgi. Laverdon, który jest człowiekiem godnym wiary, oświadczył mi, że przeżył 35 dni w ubiegłym miesiącu. – Obawiam się, że racjonowanie czasu uszkodziło wiele mózgów.

28 czerwca. – Roquenton zmarł wczoraj rano, prawdopodobnie ze zmartwienia. Nie idzie o śmierć względną, lecz po prostu śmierć. Pochowany zostanie jutro, 1 lipca, powracając do życia, Lucette obudzi się wdową.

32 czerwca. – Wypada zgodzić się, że czas ma nie znane jeszcze perspektywy. Cóż za łamigłówka. Wczoraj rano wszedłem do sklepu po gazetę. Nosiła datę 31 czerwca.

– Jak to – zdumiałem się – ten miesiąc ma 31 dni?

Sprzedawczyni, którą znam od lat, spojrzała na mnie jakby nic nie rozumiała. Rzuciłem okiem na tytuły dziennika i czytam:

„Churchill uda się do Nowego Yorku między 39 a 45 czerwca”.

Na ulicy dolatuje mnie strzęp rozmowy dwóch mężczyzn:

– Trzydziestego siódmego muszę być w Orleanie – mówi jeden.

Trochę dalej spotykam Bonrivage'a, który spaceruje z błędnym wzrokiem. Dzieli się ze mną swoim osłupieniem. Próbuję go uspokoić. Trzeba przyjmować rzeczy takimi, jakie są. Po południu spostrzegam rzecz następującą: żyjący w pełnym wymiarze nie są świadomi anomalii w upływie czasu. Jedynie ludzie mojej kategorii, którzy przemycili się w to przedłużenie czerwca, są zbici z tropu. Maleffroi, z którym o wszystkim rozmawiałem, nic z tego nie zrozumiał i uznał, że mam bzika. Ale cóż mnie obchodzi to pączkowanie trwania! Od wczoraj jestem szaleńczo zakochany. Spotkaliśmy się właśnie u Maleffroi. Pokochaliśmy się od pierwszego wejrzenia. Czarująca Eliza!

34 czerwca. – Widziałem Elizę wczoraj i dziś. Zaręczyliśmy się. Wreszcie spotkałem kobietę mego życia. Ona wyjeżdża jutro na trzy tygodnie do strefy nie okupowanej. Postanowiliśmy pobrać się po jej powrocie. Zbyt jestem szczęśliwy, by mówić o moim szczęściu, nawet w tym dzienniku.

35 czerwca. – Odprowadziłem Elizę na dworzec. Przed wejściem do przedziału powiedziała: „Zrobię wszystko, by wrócić przed 60 czerwca”.

Po namyśle ta obietnica mnie niepokoi. Dziś zużywam mój ostatni talon na życie. Jaka będzie data jutro?

1 lipca. – Ludzie, którym mówię o 35 czerwca, nic z moich słów nie rozumieją. Ani śladu tych pięciu dni w ich pamięci. Szczęśliwie spotkałem kilka osób, które się w nie przemyciły, i mogłem sobie z nimi porozmawiać. Rozmowa zresztą ciekawa. Dla mnie wczoraj był 35 czerwca, dla nich 32 albo 45. W restauracji widziałem człowieka, który przeżył do 66 czerwca, co świadczy o znacznych zapasach talonów.

2 lipca. – Sądząc, że Eliza jest w podróży, nie żywiłem żadnych obaw. Zwątpienie nagle mnie ogarnęło i zadzwoniłem. Eliza twierdzi, że mnie nie zna i że nigdy mnie nie spotkała. Starałem się wytłumaczyć jej, jak umiałem najlepiej, że nie wiedząc o tym, przeżyła upojne dni. Rozbawiona, ale bynajmniej nie przekonana, zgodziła się na spotkanie w czwartek. Jestem śmiertelnie niespokojny.

4 lipca. – Gazety są pełne „afery talonów”. Handel kartami czasu będzie wielkim skandalem sezonu. Z powodu skupowania talonów na życie przez bogaczy oszczędności na artykułach żywnościowych są prawie żadne. Poza tym pewne szczególne wypadki wzbudziły wielkie poruszenie. Przytacza się między innymi przypadek przebogatego pana Wade, który między 30 czerwca a 1 lipca przeżył tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt siedem dni, czyli bagatelkę – pięć lat i cztery miesiące. Spotkałem właśnie znanego filozofa, Yves Mironneau. Wyjaśnił mi, że każdy człowiek żyje miliardy lat, ale nasza świadomość postrzega tę nieskończoność jedynie z rzadka i jakby z doskoku, a ciąg tych fragmentarycznych postrzeżeń stanowi naszą krótką egzystencję. Mówił mi rzeczy o wiele bardziej subtelne, ale wiele z tego nie rozumiałem. Prawda, że myślami byłem gdzie indziej. Jutro mam zobaczyć Elizę.

5 lipca. – Widziałem Elizę. Niestety! Wszystko stracone, nie ma o czym marzyć. Eliza nie wątpiła zresztą w szczerść mojej opowieści. Może nawet wzruszyła ją ona, nie budząc w niej jednak najmniejszego uczucia czułości czy sympatii. Zrozumiałem, że skłania się raczej ku Maleffroi. W każdym bądź razie moja elokwencja okazała się nieużyteczna. Iskra, która przeleciała między nami wieczorem 31 czerwca, była tylko przypadkiem, przejściowym nastrojem. Po tym wszystkim niechaj mi nikt nie opowiada o pokrewieństwie dusz! Cierpię jak potępieniec. Mam nadzieję, że z mej udręki zrodzi się książka, która dobrze się będzie sprzedawać.

6 lipca. – Wydano dekret znoszący kartę czasu. Mnie to już obojętne.

Dekret

W samym apogeum wojny uwagę walczących mocarstw przykuł problem czasu letniego, który, jak się zdaje, nie został przemyślany w całej rozciągłości. Podejrzewano, że żadne poważne studia w tym kierunku nie zostały podjęte i że geniusz ludzki, jak to się często zdarza, dawał się powodować przyzwyczajeniom. Tym, co na pierwszy rzut oka zdawało się najważniejsze, była niezwykła łatwość, z jaką przesuwno czas letni o jedną lub dwie jednostki. Jeśli się zastanowić, nic nie stoi na przeszkodzie, by przesunąć go o dwanaście lub dwadzieścia cztery jednostki, a nawet o wielokrotność dwudziestu czterech. Z wolna utorowała sobie drogę idea, że ludzie mogą rozporządzać czasem. Na wszystkich kontynentach i we wszystkich krajach ministrowie i szefowie państw zaczęli rozczytywać się w traktatach filozoficznych. Na posiedzeniach rządowych wiele mówiono o czasie względnym, czasie fizjologicznym, czasie subiektywnym, a nawet o czasie elastycznym. Stało się oczywiste, że pojęcie czasu, takie jakie przodkowie nasi przekazywali sobie przez tysiąclecia, jest śmiechu warta

bdzurą. Stary i nieubłagalny bóg Chronos, który do tej pory dyktował kadencję swojej kosi, stracił na znaczeniu. Nie dość, że stał się ubłagalny dla rodzaju ludzkiego, ale jeszcze musiał mu się podporządkować, poruszać się w rytmie, jaki mu narzucano, chodzić wolno albo krokiem gimnastyka, by nie wspomnieć o zawrotnych szybkościach, od których biedna jego broda powiewała za nim. Koniec z tempem senatora. Po prawdzie Chronosa można by wypchać trocinami. Ludzie byli panami czasu i rozdzielali go ze znacznie większą fantazją, niż to czynił w ciągu swej zbyt spokojnej kariery zdetronizowany bóg.

Wydaje się, że początkowo rządy w niewielkim stopniu wykorzystały tę nową zdobycz. Próby, jakie w sekrecie podjęto, nie przyniosły nic pożytecznego (patrz: Karta czasu). Tymczasem narody nudziły się. W każdym bez wyjątku kraju cywile stawali się osowiali i zrzedliwi. Gryząc czarny chleb lub pijąc namiastkę herbaty z sacharyną marzyli o ucztach i tytoniu. Wojna trwała długo. Nie wiadomo było, kiedy się skończy. I czy się skończy. We wszystkich obozach wierzono w zwycięstwo, ale obawiano się, że każe na siebie czekać. Przywódcy żywili te same obawy i zaczęli gryźć palce. Bledli od ciężącej na nich odpowiedzialności. Oczywiście nie było mowy o zawarciu pokoju. Honor się przed tym wzbraniał, a także inne względy. Złościło to, że mimo iż można było swobodnie dysponować czasem, nie umiano znaleźć sposobu na wykorzystanie go.

Wreszcie, za pośrednictwem Watykanu, został zawarty układ międzynarodowy, który uwalniał ludy od koszmaru wojny w niczym nie zmieniając normalnego toku działań nieprzyjacielskich. Było to bardzo proste. Zdecydowano, że na całym świecie czas zostanie przesunięty o siedemnaście lat. Wzięto pod uwagę krańcowe możliwości trwania konfliktu. Niemniej koła oficjalne były niespokojne i obawiały się, że przesunięcie czasu okaże się niewystarczające. Dzięki Bogu kiedy w myśl dekretu świat postarzał się nagle o siedemnaście lat, okazało się, że wojna się skończyła. Okazało się również, że nowa wojna jeszcze się nie rozpoczęła. Przebakowano tylko o niej.

Można by sądzić, że narody wydały długi okrzyk radości i wyzwolenia. Nic podobnego. Nikt nie odczuł skoku w czasie. Wypadki, które miały się rozegrać w czasie tego długiego okresu, tak nagle usuniętego, zapisały się w pamięci wszystkich. Każdy pamiętał, a raczej sądził, że pamięta, życie, jakie wiódł w ciągu tych siedemnastu lat. Drzewa wyrosły, dzieci się urodziły, ludzie poumierali, inni zrobili majątki albo się zrujnowali, wina postarzały się, państwa upadły, jak gdyby życie świata wypełniło się w swoim czasie. Złudzenie było doskonałe.

Co do mnie, to przypominam sobie, że w chwili, kiedy dekret wszedł w życie, byłem u siebie, w Paryżu: siedziałem przy stole i pracowałem nad książką, której pierwszych pięćdziesiąt stron już napisałem. Słyszałem, jak w sąsiednim pokoju żona rozmawia z dwojgiem moich dzieci, pięcioletnią Marią Teresą i dwuletnim Clovisem. W sekundę później znalazłem się w Havre, w porcie, powracając z podróży po Meksyku, która trwała trzy miesiące. Byłem dobrze zakonserwowany, ale zaczynałem siwieć. Moja książka była od dawna skończona, jej ciąg dalszy był nie mniej genialny niż początek, jeśli wierzyć, że to naprawdę ją napisałem. Napisałem też (wydawało mi się) dwanaście innych, które – muszę to powiedzieć – również poszły w zapomnienie. Publiczność jest niewdzięczna. W czasie pobytu w Meksyku otrzymywałem regularnie wiadomości od mojej żony i czworga dzieci, z których dwoje najmłodszych, Louis i Juliette, przyszło na świat już po dekrete. Wspomnienia, jakie zachowałem z tego iluzorycznego życia, były nie mniej wyraźne, nie mniej pociągające niż te odnoszące się do okresu poprzedniego. Wcale nie miałem uczucia, że czegoś mnie pozbawiono, i gdybym nie wiedział o dekrete, cała ta historia nie wzbudziłaby we mnie najmniejszych podejrzeń. W sumie dla rodzaju ludzkiego wszystko działało się tak, jakby rzeczywiście przeżył te siedemnaście lat, które zawarły się przecież w ułamku sekundy. I, być może, przeżył je rzeczywiście. Wiele na ten temat dyskutowano. Pisali o tym filozofowie, matematycy, lekarze, teologowie, fizycy, metafizycy, teozofowie, akademicy, mechanicy; powstały liczne tezy, paratezy, anty-

tezy i syntezy. W pociągu jadącym z Havre do Paryża zapoznałem się z trzema broszurkami omawiającymi tę kwestię. Wielki fizyk Philibert Costume w swej *Teorii wyrównywania czasu* twierdził, że te siedemnaście lat zostało przeżyte. R. P. Bichon w swoim *Traktacie submetryki* dowodził, że nie zostały przeżyte. Wreszcie Bonomet, profesor humoru na Sorbonie, w swoich *Uwagach o śmiechu w państwie* utrzymywał, że czas nie został przesunięty, a osławiony dekret jest homerycką farsą wymyśloną w swoim czasie przez rządy. Co do mnie, to ostatnie tłumaczenie wydało mi się dowcipem nieco wymuszonym, nawet niestosownym, jako że wyszło spod pióra profesora Sorbony. Pan Bonomet, jestem tego pewny, nigdy nie zostanie akademikiem, i słusznie. Na temat tego, czy siedemnaście lat zostało przeżyte, czy też nie, nie umiem wyrobić sobie zdania.

W Paryżu znalazłem się w znanym mi mieszkaniu, do którego jednak wkraczałem, być może, po raz pierwszy. W czasie tych siedemnastu lat przeprowadziłem się, opuściłem Montmartre, by zamieszkać w Auteuil. Rodzina oczekiwała mnie w domu i ujrzałem ją z radością, choć bez zaskoczenia. Rzeczywiste lub potencjalne lata naszego istnienia zawarte w nawiasie czasu wiązały się z innymi bez żadnej cezury, nawet bez wyraźnego śladu spojenia. Tworzyły jedną całość. Widok paryskich ulic zatłoczonych autami nie był więc niespodzianką. Światła nocy, taksówki, ogrzewane mieszkania, wolna sprzedaż artykułów na powrót stały się przyzwyczajeniem. Obejmując mnie żona powiedziała ze śmiechem:

– Nareszcie! Nie widzieliśmy się od siedemnastu lat!

Pchając przed sobą Louisa i Juliette, osiem i sześć lat, dodała:

– Przedstawiam ci dwoje najmłodszych, których nie masz jeszcze przyjemności znać.

Dwoje najmłodszych poznało mnie zresztą doskonale i kiedy zawiśli mi na szyi, skłonny byłem wierzyć, że profesor Bonomet był bliski prawdy twierdząc, iż przesunięcie czasu było żartem.

Na początku lata postanowiliśmy spędzić wakacje na plaży w Bretanii. Wyzaczyliśmy dzień wyjazdu na 15 lipca. Przedtem miałem pojechać na krótko do Jura, by odwiedzić starego przyjaciela, który będąc obłożnie chory od sześciu lat mieszkał w swej ojczystej wsi. Przypominam sobie, że w przeddzień wyjazdu poszedłem na zakupy w centrum Paryża i zabrałem ze sobą Juliette, moją sześciolletnią córeczkę. Kiedy na placu Zgody czekaliśmy na wysepce, aż przepłynie sznur samochodów, Juliette pokazała mi palcem Hôtel Crillon i Hôtel de la Marine. Powiedziałem jej, co to za pałace, i przypomniałem sobie z pewną melancholią czasy okupacji niemieckiej. Odezwałem się, do siebie raczej niż do córki:

– Ty się wtedy jeszcze nie urodziłaś. Była wojna. Francja poniosła klęskę. Niemcy okupowali Paryż. Ich sztandar powiewał na gmachu Ministerstwa Marynarki. Niemieccy marynarze stali na warcie przed wejściem. A na placu i na Polach Elizejskich widać było wszędzie zielone mundury. Starzy Francuzi myśleli, że nigdy nie doczekają się ich wycofania.

Rankiem 3 lipca 1959 wsiadłem do pociągu na Gare de Lyon i około południa przyjechałem do Dole. Mój przyjaciel mieszkał osiemnaście kilometrów za miastem, w wiosce położonej w środku lasu Chaux. Autobus odjeżdżał o wpół do pierwszej, ale źle poinformowany, spóźniłem się kilka minut. By nie niepokoić przyjaciela, który mnie oczekiwał, wynająłem rower. Upał był jednak tak wielki, że odłożyłem wyjazd na południe, co pozwoliło mi zjeść, obiad bez pośpiechu. Jedzenie było smaczne, wino z Arbois również. Przechwalałem się, że dojadę w ciągu godziny. Kiedy wyruszyłem, zbierało się na burzę, niebo pokryły ciężkie, nisko wiszące chmury, duszący upał odrobinę tylko zelżał. Poza tym doskwierał mi ostry ból głowy, który przypisywałem zbyt obfitemu posiłkowi i znakomitemu Arbois. Gnany obawą przed burzą, pojechałem na skróty, tak iż w końcu zabłądziłem w lesie. Kiedy burza się rozpętała, znalazłem się, po objazdach i powrotach, na leśnej drodze, na której wozy wyżłobiły głębokie koleiny stwardniałe w ciągu lata. Schowałem się pod krzakami, ale deszcz padał tak gwałtownie, że woda przeciekała przez liście. Na skraju drogi dostrzegłem szałas – daszek z faszyny wsparty na czterech palikach. Znalazłem tam dębowy klocek, na którym

mogłem dość wygodnie usiąść i przeczekać, aż burza przejdzie. Niskie chmury i ulewny deszcz przyspieszyły zapadnięcie zmroku, a ściana lasu zagęszczała cień zmierzchu rozświetlany błękitnym blaskiem błyskawic, ukazujących w głębi pnie potężnych dębów. Pośród długo odbijających się po lesie grzmotów słyszałem szum, początkowo monotony, w którym jednak ucho rozpoznaje rozmaite wariacje deszczu spadającego kroplami po liściach w gęstwinie. Zmordowany, z ciężką głową, walczyłem przez chwilę ze snem, aż w końcu usnąłem z głową wspartą o kolana.

Obudziło mnie wrażenie spadania, które przez sen zdawało się nieskończone, jak gdybym spadał ze szczytu drapacza chmur. Burza minęła i znowu było jasno. Prawdę mówiąc nie wyglądało na to, by przeszła tędy jakakolwiek burza. Ziemia była sucha, spragniona, ani na drzewach, ani na krzakach, ani na źdźbłach trawy nie błyszczała najmniejsza choćby kropelka. Las wokół mnie wyglądał jak po wielu dniach suszy. Niebo prześwitujące przez listowie było bładoniebieskie, bynajmniej nie białawoniebieskie jak po ulewie. Spostrzegłem nagle, że las zmienił się; nie był już wysokopienny, jak wtedy kiedy tu przyjechałem, lecz młody, z sadzonek, mniej więcej dwudziestoletnich drzew. Mój szałas znikł, podobnie jak wysoki buk, o który był oparty. Siedziałem na gołej ziemi. Nie było też ścieżki. Jedyнным rozpoznawalnym przedmiotem był wysoki kamień graniczny znaczący prawdopodobnie krańce jakiejś gminy. Czułem się niemal zmuszony rozpoznać go – co bynajmniej nie ułatwiało sprawy. Usiłowałem przekonać sam siebie, że moja pierwsza wizja leśnego pejzażu była zafałszowana przez światło burzy. Zresztą nie zaniepokoiłem się tą dziwną zmianą. Ból głowy minął, w członkach i w całym ciele czułem niezwykłą swobodę, fizyczną lekkość. Dla zabawy zacząłem wyobrażać sobie, że zabłądziłem w zaklętym lesie Brocelianda, gdzie wróżka Morgana rzuciła na mnie czary. Wziąłem rower i poszedłem do drogi, którą porzuciłem szukając schronienia. Spodziewałem się, że będzie błotnista, z kałużami i lepкими koleinami, a była sucha i chropowata, bez najmniejszego śladu wilgoci. „Czar trwa” – pomyślałem z rozbawieniem. Jechałem przez kwadrans, aż dotarłem do małego pola w kształcie wydłużonego prostokąta otoczonego lasem. Spośród pól i łąk wyłaniały się dachy i dzwonnica wiejskiego kościołka, ostro oświetlone blaskiem zachodzącego słońca. Zjechałem na wąską, lecz asfaltowaną drogę i odczytałem na drogowskim napisie nazwę wioski. Nie była to ta, której szukałem.

Dwieście lub trzysta metrów przed wsią nawaliło mi przednie koło, tak że zmuszony byłem iść dalej pieszo. Po drodze przy rowie ujrzałem starego chłopca, który wpatrywał się w pole pszenicy. Tuż obok niego, przy kępie orzechowców, które skryły ich przed moim wzrokiem, zobaczyłem dwóch mężczyzn; oni również patrzyli na wysokie łąny. Ci dwaj mężczyźni nosili wysokie buty i zielone mundury, mundury armii niemieckiej z czasów okupacji. Niezbyt mnie to zdziwiło. Pierwsze, co przyszło mi na myśl, to to, że są to mundury zapomniane przez Niemców w chwili ewakuacji terenu i odnalezione przez miejscowych chłopów, którzy je donoszą. Ich aktualni właściciele, dwaj krzepcy, czterdziestopięcioletni mężczyźni o ogorzałych twarzach, wyglądali naprawdę na chłopów. Zachowali jednak coś wojskowego w postawie, a pasy, furażerki i wygolone karki dawały do myślenia. Stary zdawał się ich ignorować. Wysoki i suchy, stał nieruchomo wyprostowany, z dumną godnością tak często spotykaną u starych chłopów z Jura. Kiedy się zbliżyłem, jeden z mężczyzn w mundurach obrócił się do mnie i tonem znawcy odezwał się po niemiecku, chwając piękno kłosów. Stary wolno odwrócił głowę i powiedział głosem równym i spokojnym:

– Koniec z wami. Amerykanie nadejdą. Dla was byłoby najlepiej, gdybyście zaraz wracali do domu.

Niemiec wyraźnie nie rozumiał sensu tych słów i uśmiechał się ufnie. Podeszedłem bliżej i stary zwrócił się do mnie:

– Nic toto nie rozumie. Bez tego swojego szwargotu nie umięją gadać lepiej niż moje saboty. To jednak nie są ludzie cywilizowani.

Patrzyłem na niego oszołomiony, nie umięjąc wydobyć z siebie słowa. Wreszcie spyta-

łem:

- Czy ja się nie mylę? To są niemieccy żołnierze, prawda?
- Na to mi wygląda – odrzekł chłop nie bez pewnej ironii.
- Jakże to tak? Co oni tu robią?

Zmierzył mnie niezyczliwym spojrzeniem i nie odpowiedział na moje pytanie. Potem rozmyślił się i sam z kolei zapytał:

- Pan pewnie z wolnej strefy?

Wybełkotałem parę słów bez związku, które on uznał za odpowiedź twierdzącą, gdyż zaczął pouczać mnie o warunkach życia w strefie okupowanej. Byłem zupełnie zdezorientowany, nie mogłem pojąć tego ciągu zdań, w których co chwila powracały absurdalne słowa: strefa wolna, strefa okupowana, władze niemieckie, rekwizycje, jeńcy i inne, nie mniej oszalałymi. Dwaj Niemcy odeszli w stronę wsi ciężkim, kołyszącym się krokiem żołnierzy skazanych na nudę wałęsania się bez celu. Przerwałem staremu gwałtownie:

- Ależ co pan mi tu opowiada! To się nie trzyma kupy! Wojna się skończyła lata temu!
- Lata temu – powtórzył spokojnie. – To by było trudne. Nie ma jeszcze dwóch lat, jak się zaczęła.

W wiejskim sklepiku, w którym niemiecki podoficer wybierał karty pocztowe, kupiłem gazetę. Położyłem monetę na kontuarze i machinalnie wziąłem resztę, nie patrząc. Gazeta nosiła datę 3 lipca 1942. Wielkie tytuły – „Wojna w Rosji”, „Wojna w Afryce” – przypominały o wydarzeniach, których raz już byłem współczesnym, których dalszy rozwój znałem, podobnie jak ostateczne rozwiązanie. Zapominając, gdzie jestem, stałem przy kontuarze zagłębiony w lekturze. Chłopka, która przyszła na zakupy, mówiła o swoim deportowanym synu i o paczce, którą dla niego przygotowuje. Dostała tego ranka list z Prus Wschodnich, gdzie syn pracuje na fermie. To, co słyszałem, było nie mniej znaczące niż data gazety, a jednak nie chciałem wierzyć własnym oczom i uszom. Do sklepu wszedł mężczyzna około pięćdziesiątki, w krótkich spodniach i podkolanówkach, z wypielęgnowanymi włosami i świeżą cerą. Wyglądał na ziemianina. Zamienił parę słów ze sklepikarzem i wywnioskowałem, że jest merem gminy. Zagadnałem go i wyszliśmy razem. Ostrożnie, z instynktownej obawy, by nie zdradzić mojej niezwykłej sytuacji, zacząłem mówić o czasie letnim, później o przesunięciu czasu. Roześmiał się głośno:

– A tak, przesunięcie czasu! Kiedy ostatnio byłem w Dole, dwa miesiące temu, podprefekt mówił mi o tym. Zdaje się, że gazety też coś o tym pisały. Dobry kawał, nie ma co. Przesunąć czas, wyobraź pan sobie!

Zadałem mu kilka bardziej szczegółowych pytań i ku wielkiej uldze zrozumiałem, co się we wsi stało. Na skutek zapomnienia przez administrację lub też błędu w przekazie dekret o przesunięciu czasu nie dotarł do gminy. Zagubiona pośród lasów pozostała przy starym stylu. Już otworzyłem usta, by wyjaśnić dokładnie merowi, co w sytuacji jego wsi jest anachroniczne, ale w ostatniej chwili pomyślałem, że mądrzej będzie zamilknąć. Nie uwierzyłyby mi, ryzykowałem, że weźmie mnie za wariata. Kontynuowaliśmy przyjacielską rozmowę, a że dotyczyła również wojny, z ciekawości wysunąłem kilka hipotez, w które mój rozmówca nie wierzył, gdyż przyszłość, jak wiadomo, rzadko jest zgodna z logicznymi prognozykami. Przed rozstaniem wskazał mi drogę, którą dojadę do Vieille-Loie, celu mojej podróży. Oddaliłem się od niej znacznie, bo pozostawało mi jeszcze trzynaście kilometrów.

– Na rowerze to kwestia czterdziestu pięciu minut. Zdaży pan dojechać przed nocą – powiedział.

Ponieważ wahałem się, czy wyruszyć w drogę jeszcze tego samego wieczoru, oświadczył, że dla młodego człowieka jak ja trzynastokilometrowa trasa to nic wielkiego, na co odpowiedziałem, że skończywszy pięćdziesiąt sześć lat nie jest się już młokosem. Mocno się zdziwił i stwierdził, że bynajmniej na swoje lata nie wyglądam, daleko nie. Noc spędziłem w jedynej miejscowej oberży. Przed zaśnięciem rozmyślałem o mojej przygodzie. Kiedy pie-

wsze zdumienie minęło, nie odczuwałem żadnej przykrości. Gdybym miał więcej czasu, to chętnie spędziłbym parę dni w czasie odnalezionym, pośród tych biednych ludzi, zapóźnionych w pierwszej połowie wieku, z pietyzmem przeżyłbym powtórnie nieszczęścia mego kraju. Potem zacząłem się zastanawiać nad różnymi zagadkowymi sprawami, jakie kryło to wygnanie w czasie, a na które początkowo nie zwróciłem uwagi. Dziwne było na przykład to, że wieś otrzymywała jeszcze gazety z Paryża i listy od deportowanych z Prus Wschodnich. Między wioską z 1942 a resztą świata istniała więc wymiana albo pozory wymiany. W jakim lamusie, w jakim zakamarku czasu przechowywane były te gazety, wysłane siedemnaście lat wcześniej z Paryża, zanim dotarły do miejsca przeznaczenia? A gdzież byli ci jeńcy, którzy nie powrócili? Nie mogli przecież znajdować się w Prusach Wschodnich. Zasnąłem rozmyślając o tajemniczych związkach między dwiema epokami.

Nazajutrz obudziłem się wczesnym rankiem i dokonałem kilku zdumiewających odkryć. W moim bardzo skromnie umeblowanym pokoju nie było lustra i żeby się ogolić, musiałem wziąć lusterko z nesesera. Spostrzegłem wtedy, że nie mam już 56 lat, tylko 39. Czułem zresztą większą swobodę i lekkość ruchów. To niespodziewane odkrycie nie było nieprzyjemne, ale zaniepokoiło mnie. Parę minut później odkryłem jeszcze coś nowego: moje ubranie również odmłodziło. Szary garnitur, który nosiłem poprzedniego dnia, stał się innym garniturem, lekko staromodnym w stylu. Przypomniałem sobie mgliście, że kiedyś go już nosiłem. Banknoty w portfelu nie były już banknotami będącymi w obiegu w 1959. Emitowano je w 1941 albo i wcześniej. Sprawa się komplikowała. Zamiast przejechać, jak podróżnik przez czas dawny i być w nim obojętnym widzem, wtapiałem się weń. Nie mogłem też być pewny, że uda mi się uciec z tego świata. Pocięczałem się dość kruchymi argumentami. „Być z jakiejś epoki – myślałem – to odczuwać świat i siebie samego w sposób właściwy tej epoki”. Chciałem wierzyć, że kiedy przekroczę granicę gminy, odzyskam moje oczy i zmysły z przedwczoraj i że nawet jeśli świat się nie zmieni, to ukaze mi się w innym świetle.

Do Vieille-Loie przyjechałem o siódmej rano. Spieszno mi było zobaczyć mego przyjaciela Borniera i podzielić się z nim oszałamiającymi wrażeniami, a przede wszystkim uspokoić go, gdyż musiał na mnie czekać. Na drodze minąłem dwóch niemieckich motocyklistów w hełmach i nie bez lęku zadawałem sobie pytanie, czy aby znajdę się wkrótce w roku 1959. Przejechałem pół wsi nie zobaczywszy Niemców i ujrzałem dom, gdzie dwa lata wcześniej odwiedziłem mego przyjaciela. Okiennice były zaryglowane, furtka do ogrodu zamknięta na klucz. Wiedziałem, że późno wstaje, i wahałem się, czy go wołać, ale musiałem zobaczyć go i usłyszeć. Zawołałem go po nazwisku, wiele razy. Dom stał cichy. Trzej młodzi mężczyźni przechodzący drogą z widłami na ramieniu usłyszeli moje wołanie i przystanęli. Poinformowali mnie, że mój przyjaciel jest jeńcem na Śląsku i że ostatnio mieli o nim wiadomości przez żonę, która została w Paryżu.

– Pracuje na fermie – powiedzieli. – To nie jest zajęcie dla niego.

Zamilkliśmy na chwilę. Oczyma wyobraźni widziałem szczupłą i delikatną sylwetkę kompozytora nachyloną nad motyką.

– Biedny Bornier – westchnąłem. – Ma za sobą ciężką zimę, ale jak pomyślę o zapaleniu płuc, które złapie za sześć miesięcy... Zgroza!

Trzej młodzieńcy popatrzyli na siebie ze zdumieniem i odeszli nic nie mówiąc. Postąpiłem przez chwilę sam przyglądając się domowi z zaryglowanymi okiennicami. Przypomniałem sobie ostatnią wizytę u Borniera. Widziałem go znów, jak siedzi przy fortepianie i gra dla mnie *Las udreki*, który właśnie skomponował. Od tego czasu córka często grywała tę melodię i zapamiętałem nawet kilka fraz. Chciałem zanucić jedną w hołdzie dla przyjaciela, który trzusi się na niemieckiej ziemi i powróci tutaj chory, by skomponować dzieło, o jakim może jeszcze nie myśli. Ale głos mi zamarł. Panicznie zapragnąłem wyrwać się spod tego nawrotu czasu, wskoczyłem na rower i popędziłem w stronę Dôle. Po drodze widziałem wiele jeszcze śladów obcej okupacji. Pedalowałem co sił w nogach, spieszno mi było porzucić las, którego

granice wydawały mi się granicami czasu odnalezionego, jak gdyby mrok wnętrza lasu sprzyjał podstępemu przebudzeniu minionych lat.

Dojeżdżając na skraj lasu Chaux odczułem niezmierną ulgę, byłem przekonany, że wreszcie wyjdę z zaklętego kręgu. Toteż moje rozczarowanie było okrutne, kiedy wjeżdżając do miasta, na moście Doubs, minąłem niemieckich piechurów, którzy wracali z ćwiczeń z pieśnią na ustach. Było zdumiewające, że wioski położone wśród lasów zapóźniły się w czasie, ale w moim odczuciu chodziło tu o region, który przypadkowo nie został objęty dekretem. Takie wytłumaczenie zadowalało zdrowy rozsądek. Teraz zmieniły się nie tylko proporcje problemu, ale i jego aspekt. Wszystko stanęło na głowie. Wczoraj, 3 lipca 1959, wyjechałem z miasta Dôle, powróciłem nazajutrz – 4 lipca 1942. Gorąco pragnąłem wierzyć, że nowy dekret, wbrew dogmatowi o nieodwracalności czasu, anulował poprzedni. Ale w takim razie mieszkańcy miasta powinni byli, jak ja, pamiętać o swoim przyszłym życiu, a mogłem się przekonać, że nic podobnego nie miało miejsca. Doszedłem do „barokowego” wniosku, że istnieją dwa miasta Dôle, jedno żyjące w 1942, drugie w 1959. I zapewne tak było z całą resztą świata. Nie śmiałem żywić nadziei, że Paryż, do którego zawiezie mnie pociąg, należy do innej epoki.

Bezradny zsiadłem z roweru przed wjazdem do miasta i usiadłem na mostku nad kanałem Tanneurs. Czułem, że nie mam odwagi na nowo rozpoczynać raz już przeżytego życia. Moja odnaleziona względna młodość nie nęciła mnie wcale.

„To złudzenie – myślałem. – Młodość, która nie ma nic do odkrycia, nie jest młodością. Siedemnaście lat otwiera się przede mną, ale siedemnaście lat już zbadanych, poznanych; mam więcej doświadczenia niż wszyscy starcy Francji i Nawarry. Jestem biednym starym człowiekiem. Nie ma dla mnie jutra ani przypadku. Nie zabije mi już serce w oczekiwaniu nadchodzących dni. Jestem stary, skazany na smutną dolę boga. Przez siedemnaście lat nie będzie dla mnie nic nowego, same pewniki. Nie poznam więcej uczucia nadziei”. Chciałem oddać rower przed odjazdem pociągu, ale sklep, gdzie go wypożyczyłem, nie istniał jeszcze. W lokalu mieścił się teraz sklep z parasolami. Na progu stał właściciel, młodzieniec w wieku dwudziestu pięciu – trzydziestu lat. Przezornie spytałem go, czy nie zna w mieście sprzedawcy rowerów nazwiskiem Jean Druet.

– Nie ma tu żadnego sklepu z rowerami – powiedział. – Wiedziałbym o tym. Zabawne, że ja też się nazywam Jean Druet.

– Istotnie, dziwny zbieg okoliczności – rzekłem. – I nie ma pan zamiaru ani chęci handlować rowerami?

Roześmiał się dobrodusznie. Wyraźnie pomysł handlowania rowerami wydał mu się nader śmieszny.

– Nie, dziękuję, to mnie nie pociąga. Nie mam nic przeciwko rowerom, ale nie mają przecież wiele wspólnego z parasolami.

W myśli porównywałem tę młodą, świeżą twarz z inną, siedemnaście lat starszą, zniekształconą z jednej strony liszajem.

Wyjeżdżając miałem jeszcze nadzieję, że odnajdę Paryż w epoce, w jakiej go opuściłem.

Cała ta historia była tak dziwna, że uważałem, iż mogę trochę liczyć na absurd, ale pociąg mknął w świecie jednoznacznym i wiernym samemu sobie. Na wsi i na wszystkich dworcach, gdzie się zatrzymywaliśmy, widziałem niemieckich żołnierzy, którzy bynajmniej nie wahali się między dwiema epokami. Z wypowiedzi moich towarzyszy podróży, z których jedni wyjechali z Paryża ledwie tydzień temu, jasno wynikało, że stolica żyje w roku 1942. Z ciężkim sercem poddałem się losowi. W pociągu panowała atmosfera lat wojny i okupacji. Ani w Dôle, gdzie zatrzymałem się tylko na chwilę, ani we wsiach w lesie Chaux, terażniejszość nie była tak przygnębiająco obecna. Wszystkie rozmowy dotyczyły aktualnych trudności bądź o nie zahaczały. Mówiono o perspektywach wojny, o jeńcach, ciężkim życiu, cza-

rnym rynku, o strefie wolnej, o Vichy, o nędzy. Ze ściśniętym sercem słuchałem podróźnych dyskutujących nad tym, jak potoczą się wypadki i dopasowujących swój własny los do tego, co było prawdopodobne, a co uznawali za pewne. Ja, który wiedziałem, chciałem wyprowadzić ich z błędu, ale zbyt fantazyjna prawda nie dawała tak przekonywających, niepodważalnych argumentów jak te, na których opierali się moi sąsiedzi. Siedząca obok mnie starsza pani zwierzyła mi się, że jedzie do Paryża po swego dziewięcioletniego wnuczka mieszkającego w Auteuil, który na skutek złego odżywiania zagrożony jest gruźlicą. Rodzice wysłali go do niej na wakacje, ale żądali, by ze względu na szkołę wrócił w październiku. Chciała raz jeszcze bronić sprawy chorych płuc.

Na Gare de Lyon, zanim jeszcze pociąg się zatrzymał, mój wzrok przykuła sylwetka niemieckiego żandarma spacerującego po peronie. Paryż był okupowany. Prawdę mówiąc nie potrzebowałem świadectwa własnych oczu, by być tego pewnym, Wyszedłem z wagonu i skierowałem się do wyjścia, kiedy spostrzegłem, że zapomniałem kapelusza. Zawracam, odnajduję go w pustym przedziale i naraz widzę, że starsza pani zapomniała swej dość dużej paczki. Biorę ją w nadziei, że spotkam właścicielkę, ale przy wyjściu jej nie ma, nie znajduję jej również w metrze, gdzie, jak sądziłem, powinna przyjść przede mną, gdyż tak jak ja jechała do Auteuil. Przeczekałem dwa pociągi, starsza pani nie pojawiła się, wsiadłem więc w trzeci i zająłem miejsce naprzeciw niemieckiego oficera.

Z pakunkiem starszej pani dotarłem do Auteuil o ósmej wieczór. Było jeszcze jasno, ale na próżno szukałem domu. Zamiast nowego budynku, gdzie przeprowadziłem się w 1950, stał mur, spoza którego wystawały wierzchołki drzew. Przypomniałem sobie, że mieszkam jeszcze na Montmartre, przy ulicy Lamarck, gdzie pozostanę przez osiem najbliższych lat. Z powrotem wsiadam w metro.

Na ulicy Lamarck służąca, której zapomniane imię nagle sobie przypominam, otwiera mi drzwi. Pyta, czy miałem dobrą podróż. Odpowiadam jej z pełną litości sympatią, pamiętając, że w przyszłym roku Murzyn z placu Pigalle zabierze ją z kuchni, by rzucić na ulicę. Jest dziewiąta wieczór. Żona, która mnie nie oczekuje, kończy właśnie kolację. Poznała mój głos, wybiegła do przedpokoju. Wzruszenie mnie ogarnia, gdy widzę ją nagle tak młodą, zaledwie dwudziestoosmioletnią. Przytulam ją i łzy napływają mi do oczu.

Ale dla niej, która nie pamięta, że widziała mnie przedwczoraj o siedemnaście lat starszego, nie zmieniłem się i czuję, że moje wzruszenie trochę ją dziwi. Szybko myję się w łazience, żona pyta o podróż do Gironde i w chwili, kiedy jej odpowiadam, przypomina mi się podróż, jaką przed laty odbyłem. Opowiadam, co wydarzyło mi się w drodze, i to słowami, jakimi – jak mi się wydaje – posłużyłem się kiedyś. Mam zresztą wrażenie, że nie panuję całkowicie nad moimi słowami, lecz że same bezwiednie mi się narzucają, jak gdybym grał jakąś rolę. Żona mówi o synku śpiącym w sąsiednim pokoju, o tym, jak trudno zdobyć dla niego mieszanki mleczne.

Jest zdrowy, ale jak na czternastomiesięczne dziecko za mało waży. Przedwczoraj, kiedy wyjeżdżałem z Paryża, Clovis zdawał pisemną maturę. Nie pytam ani o Louisa ani o Juliette, dwoje najmłodszych. Wiem, że nie istnieją. Muszę czekać dziewięć lat na narodziny Louisa i jedenaście na Juliette. W pociągu wiele myślałem o ich nieobecności, przygotowałem się do niej, a teraz trudno mi się z tym pogodzić. W końcu pytam ostrożnie: „A pozostałe dzieci?” Żona podnosi brwi ze zdumieniem i spiesznie dodaje: „Dzieci Luciena”. Ale nie trafiłem, gdyż mój brat Lucien ożeni się dopiero za dwa lata i nie ma jeszcze dzieci. Poprawiam się zaraz, że język mi się płacze i że chciałem powiedzieć Wiktora, nie Luciena. Ten lapsus trochę mnie niepokoi. Obawiam się, że i przy poważniejszych sprawach zdarzy mi się mylić dwie epoki.

W korytarzu zatrzymujemy się przy Marii Teresie, którą służąca niesie na rękach do łóżka. Najstarsze z moich dzieci, panna, która wczoraj była zaręczona, dziś jest małą trzyletnią dziewczynką. Choć spodziewałem się tej zmiany, odczuwam głębokie rozczarowanie,

moja ojcowska miłość nieco stygnie. Kiedy była dużą dziewczyną, istniała między nami silna więź, porozumienie niemożliwe z tak małym dzieckiem. Czekają mnie, co prawda, inne radości. Pocięszam się myślą, że Maria Teresa ma jeszcze przed sobą długie lata dzieciństwa, okresu uważanego za najpiękniejszy.

Przechodzimy do stołowego i żona tłumaczy się ze skromnej kolacji.

– Nie najesz się porządnie. Nic nie można dostać. Na szczęście kupiłam dziś u Bruneta dwa jajka i pół kiełbasy.

Słyszę, jak odpowiadam:

– Właśnie udało mi się zdobyć trochę żywności. Nie tyle, ile bym chciał, ale zawsze coś.

Zapowiadam tuzin jaj, funt masła, sto gramów prawdziwej kawy, pasztet gęsi i małą buteleczkę oliwy. Biorę paczkę zapomnianą w pociągu przez starszą panią, wchodząc położyłem ją w przedpokoju, a teraz otwieram bez żadnych środków ostrożności. Zawiera dokładnie to, co zapowiedziałem. Nie odczuwam też żadnych skrupułów. Ta paczka musiała wpaść w moje ręce, abym otworzył ją tutaj, o tej godzinie, w obecności żony. Taki był rozkaz, podporządkowałem się tylko konieczności... Wątpię nawet, czy paczka należała do starszej pani. Kapelusz zapomniany w przedziale to tylko jedna z tysięcy pułapek losu, by schwytać mnie i wtłoczyć w najdrobniejsze szczegóły już przeżytego życia.

Przy deserze słyszę, jak drzwi wejściowe otwierają się i zamykają z hukiem.

– To wuj Tom, jeszcze jest pijany – mówi moja żona.

Prawda, zapomniałem o wuju Tomie. Jego dom w Normandii został zniszczony w zeszłym roku przez bomby, żona zginęła w czasie ucieczki, dwaj synowie są w niewoli. Zamieszkał u nas i aby zapomnieć o swoim nieszczęściu większość czasu spędza w kawiarniach. Źle znosi alkohol, robi się rozdrażniony i hałaśliwy, toteż jego obecność ciąży nam coraz bardziej. Ale dziś wieczór, choć taki jest zły i agresywny, witam go z cierpliwością i pobłażaniem. Wuj Tom umrze za trzy miesiące. Przypominam sobie jego agonię. Wołał swoich uwięzionych synów i co chwila powtarzał: „Chcę wracać do Francji”.

Noc przespałem spokojnie, bez snów. Budząc się nie miałem tego uczucia wyobcowania, którego obawiałem się wczoraj. Mieszkanie stało się całkiem znajome. Bawiłem się z dziećmi nie zastanawiając się specjalnie nad dwuznacznością mojej sytuacji. Brakowało mi Juliette i Louisa, ale nie tak okrutnie jak wczoraj, a wspomnienie twarzy tych dzieci jest dla mnie nadzieją. Wydaje mi się, ale może to złudzenie, że moja pamięć przyszłości jest już mniej wyraźna. Z zainteresowaniem przeczytałem poranne gazety. Choć koniec wypadków, jakie się toczą, jest mi znany, niejasno przypominam sobie etapy i zwroty konfliktu.

Pojechałem metrem do Madelaine i spacerowałem po mieście. Widok ulic nie budził mego zdziwienia. Poprzez siedemnaście minionych lat teraźniejszość splata się z przeszłością. Na placu Zgody zobaczyłem niemieckich marynarzy stojących na warcie przed Hôtel de la Marine i nie żałowałem, że nie ma mojej córki Juliette.

Przed południem zdarzyło mi się kilka dość zdumiewających spotkań. Największe wrażenie zrobiło na mnie spotkanie z moim wielkim przyjacielem, malarzem D. Natknąłem się na niego na rogu ulic Arcade i Mathurins. Uśmiechnąłem się szeroko i już miałem wyciągnąć do niego rękę, ale spojrzał na mnie obojętnie i nie zwracając uwagi na mój przyjacielski uśmiech poszedł swoją drogą. Przypomniałem sobie w porę, że musi jeszcze upłynąć dziesięć lat, zanim się poznamy. Mógłbym pobiec za nim i pod jakimkolwiek pretekstem przedstawić się, ale nie wiem, czy to szacunek, czy posłuszeństwo wobec losu powstrzymały mnie od tego. Bez przekonania obiecałem sobie przyspieszyć naszą przyjaźń, bez względu na porządek ustalony przez los. Miarą mojego rozczarowania i niecierpliwości jest smutek, w jakim pogrążyło mnie to zdarzenie.

Chwilę wcześniej spotkałem Jacquesa Sariette, narzeczonego mojej córki Marii Teresy. W jednej ręce trzymał serso, w drugiej rękę matki. Porozmawiałem sobie z panią Sariette,

która opowiedziała mi o swoich dzieciach i Jacques'u w szczególności. Ta miła kobieta, nie mniej niż mąż pragnąca pracować na rzecz moralnej odnowy Francji, zwierzyła mi się, że zamierzają wykierować małego na księdza. Powiedziałem, że mają rację. Jadąc na Montmartre spotkałem w metro Rogera L., trzydziestoletniego faceta, do którego nigdy nie czułem wielkiej sympatii. Był bardzo przygnębiony, mówił, że znajduje się w straszliwym położeniu. Z ciekawością przyglądałem się tej nędznej kreaturze, która za dziesięć lat znajdzie się w posiadaniu kolosalnej fortuny, zbitej na haniebnym, nieuczciwym handlu. Podczas gdy mówi mi o swej dzisiejszej nędzy, ja widzę go triumfującego, w przyszłej obfitości, słynącego z chamsstwa, którym będzie się chlubił. Na razie to biedaczyna z miną cierpiętnika, smutnymi oczami, głosem pokornym i zastraszonego. Waham się między współczuciem a obrzydzeniem, jakie budzi we mnie jego przyszła, błyskotliwa kariera.

Popołudnie spędziłem w domu, wyciągnąłem z szuflady rozpoczętą książkę, której pięćdziesiąt stron już napisałem. Znając aż nazbyt dobrze ciąg dalszy, nie miałem najmniejszej ochoty pracować i myślałem ze zniechęceniem, że przez siedemnaście lat moje życie będzie powtórką bez smaku, nudnym pensum. Ciekawiła mnie już tylko tajemnica tych skoków i powrotów w czasie. A wnioski, do jakich doszedłem, były dziwnie przygnębiające. Już wczoraj brałem pod uwagę jednoczesne istnienie dwóch światów, oddalonych od siebie o siedemnaście lat. Teraz zaakceptowałem koszmar nieskończoności światów, gdzie czas oznacza przeniesienie mojej świadomości z jednego do drugiego, potem jeszcze innego. Trzecia godzina: rozpoznaję świat, w którym figuruję trzymając pióro w ręku. Trzecia godzina jedna sekunda: poznaję świat inny, w którym odkładałem pióro, itd... Kiedyś rodzaj ludzki jednym skokiem pokonał to, co trzeba nazwać okresem siedemnastu lat. Ja jeden po tym wspólnym skoku, siłą nie wiedzieć jakiego natchnienia, odrabiam etap w tył.

Wszystkie te światy mnożące moją osobę w nieskończoność stanęły mi przed oczami w rozpaczliwej perspektywie. Z ciężką głową zasnąłem wreszcie przy biurku.

Wkrótce minie miesiąc, od kiedy zanotowałem moją historię i odczytując ją dzisiaj, gorąco żałuję, że nie byłem bardziej precyzyjny. Wyrzucam sobie, że nie umiałem przewidzieć tego, co mi się od tej pory zdarzyło. W ciągu tych paru tygodni tak dobrze wpasowałem się w naszą smutną epokę, że straciłem pamięć przyszłości. Na szczęście czy na nieszczęście zapomniałem, czym ma być moje życie w ciągu tych siedemnastu lat. Zapomniałem twarze moich nie narodzonych jeszcze dzieci. Nic już nie pamiętam z losów wojny. Nie wiem, kiedy i jak się skończy. Wszystko zapomniałem i być może nadejdzie dzień, kiedy zwątpię, że przeżyłem te przygody. Zawarte na tych stroniczkach wspomnienia o moim przyszłym życiu mówią tak niewiele, że jeśli kiedyś przyjdzie mi sprawdzić ich dokładność, będę mógł uwierzyć w zwykłe przeczucia. Rozkładając gazety, myśląc o wydarzeniach politycznych, próbuję rozbudzić moją pamięć, by nie popaść w rozpacz, ale na próżno. Tylko czasami, i to coraz rzadziej, odczuwam bardzo banalne wrażenie *déjà vu* *.

Poborca żon

W miasteczku Nangicourt mieszkał pewien poborca nazwiskiem Gauthier-Lenoir, który sam z wielkim trudem płacił podatki. Jego żona wydawała dużo pieniędzy na fryzjera i krawcową z powodu pięknego oficera służby transportowej, który każdego ranka przejeżdżał konno przed jej domem i którego po południu mijała wielokrotnie na chodniku głównej ulicy.

* Zjawisko „*déjà vu*” (dosłownie: „już widziane”) polega na tym, że ulegamy złudzeniu, iż to, co mówimy lub czynimy, już kiedyś przeżyliśmy. – *Przyp. tłum.*

Pani Gauthier-Lenoir była zresztą wierną żoną i grzeszne myśli niemal jej nie nawiedzały. Po prostu lubiła wyobrażać sobie, że cudzołóży z dobrze zbudowanym i dobrze ubranym młodzieńcem, i to w przekonaniu, że takie marzenia nie są wcale chimera, wprost przeciwnie. Najlepszy fryzjer w Nangicourt co tydzień mył i układał jej włosy, co w sumie kosztowało siedemnaście franków, nie licząc farbowania, ścinania i wyrównywania, jeśli zaszła potrzeba. Ale najwięcej wydatków pochłaniały suknie, kostiumy i płaszcze, gdyż wszystkie były dziełem pani Legris z ulicy Ragondin (Leonard Ragondin, urodzony w Nangicourt w 1807, subtelny poeta, autor *Rozkochanego listowia* i *Ody do kuzynki Lusi*, mer miasta w czasie wojny 1870-1871. Jemu zawdzięczamy założenie muzeum malarstwa. Wybitny archeolog. Koniec jego życia przyćmił spór z profesorem J. Pontet o ruiny wieży Alibijskiej. Zmarł w 1886, a jego popiersie, dzieło dłuta nangicourtskiego rzeźbiarza Jalibiera, stoi na placu Obrony, skąd bierze początek ulica nosząca dziś jego imię), pani Legris zatem, która ubierała damy miejscowej arystokracji. Nie będąc arystokratą, poborca regulował rachunki krawcowej, gdy tylko je otrzymywał, toteż kiedy przychodziła pora płacenia podatków, zawsze brakowało mu pieniędzy.

Jednak nigdy nie robił żonie wymówek, że wydaje zbyt wiele. A nawet w tak miły sposób przyglądał się jej toaletom, że można to było uznać za zachętę. Gauthier-Lenoir był trzydziestosiedmioletnim mężczyzną, miał 171 cm wzrostu, 85 cm obwodu klatki piersiowej, włosy czarne, twarz owalną, oczy brązowe, nos średni, wąsy czarne i usiany twardymi włoskami pieprzyk na policzku – zbyt jednak wysoko, by opłacało mu się zapuścić brodę. Praca bardzo go zajmowała, nawet poza godzinami, a trudności, z jakimi zwykle płacił własne podatki, budziły w nim współczucie dla ogółu podatników. Dobrze ich przyjmował w biurze podatkowym i chętnie udzielał zwłoki na wywiązanie się z powinności. „Nie kładę panu noża na gardle – mówił – niech pan zrobi, co może. W końcu od nikogo nie wymaga się rzeczy niemożliwych”. Czasem nawet pozwalał sobie westchnąć: „Ba! Gdyby to ode mnie zależało...” Podatnicy doskonale rozumieli ten uprzejmy język i nie spieszyli się z płaceniem. Niektórzy żyli sobie spokojnie od lat zalegając z podatkami. Tych właśnie poborca kochał bardziej niż innych. Podziwiał ich skrycie i mówił o nich z czułością. Będąc jednakże tylko trybikiem maszyny administracyjnej, zmuszony był wysyłać im ponaglenia i uciekać się do komornika. Serce mu to rozdzierało. Kiedy decydował się wysłać upomnienie z karą pieniężną, zawsze niemal dołączał miły liścik, by w miarę możliwości złagodzić surowość administracyjnego języka. Zdarzało się nawet, że ogarniały go skrupuły i po wyjściu z biura szedł do któregoś podatnika, by rzec mu z miłym uśmiechem: „Jutro dostanie pan upomnienie, ale wie pan, niech się pan tym zbytnio nie przejmuje. Mogę jeszcze trochę poczekać”. W całym Nangicourt jeden tylko człowiek ściągnął na siebie jako podatek wrogość poborcy. Był nim pan Rebuffaud, bogaty właściciel mieszkający w pięknym domu przy ulicy Moinet (Melchior Moinet, urodzony w Nangicourt w 1852. Po ukończeniu studiów architektonicznych w Paryżu wrócił do rodzinnego miasta. Zawdzięczamy mu między innymi gmach Kasy Oszczędności i spichlerze zbożowe. Zmarł w 1911 wskutek wypadku na polowaniu). Otóż ten Rebuffaud zawsze pierwszy płacił podatki. W dniu, kiedy otrzymywał nakaz płatniczy, szedł do biura podatków i oświadczał rozbawionym głosem: „Panie, Gauthier-Lenoir. Przyszedłem uregulować moje drobne sprawy. Od każdego, co się należy, nieprawdaż? Nie lubię, jak coś się za mną ciągnie”. Wyciągał z portfela sześćdziesiąt banknotów tysiącfrankowych, liczył je głośno – raz, dwa, trzy, cztery, do sześćdziesięciu z czymś, potem liczył setki, wreszcie drobne monety, resztę chował do kieszeni i czekając na słowa aprobaty mówił z zadowolonym uśmiechem człowieka żyjącego w zgodzie z własnym sumieniem: „No, to mam spokój do przyszłego roku”. Ale poborca nigdy nie zdołał zmusić się do uprzejmości. Kłaniał się zimno, zaraz zabierał się do swoich papierów i ze złością patrzył na Rebuffauda, kiedy tamten odwracał się i szedł do drzwi.

Pewnego roku, było to w 1938, poborca miał poważne kłopoty z pieniędzmi. Zdarzyła

się taka historia: pani Gauthier-Lenoir idąc główną ulicą, którą nazywają również ulicą Główną, ujrzała oficera służby transportowej kroczącego w ślad za młodą wdową, którą rozbięła – nie ma innego słowa – wzrokiem. Nazajutrz, powiadomiwszy oficera anonimowym listem, że młoda kobieta dotknięta jest chorobą weneryczną, pani Gauthier-Lenoir udała się do pani Legris, by zamówić suknię w kolorze odpowiednim do pory roku, sportową suknię z wełny, tweedowy kostium, garsonkę z krepdeszynu, bluzki do niej oraz płaszczyk w kolorze rezydę z nakładanymi kieszeniami. Aby stawić czoło wydatkom, poborca zmuszony był wydać sumę odłożoną na podatki. Niezbyt go to zbulwersowało. Co roku gromadził taką rezerwę, która rozchodziła się przed sierpniem. Stwierdził po prostu, że rzeczy toczą się szybciej niż zwykle, i miał nadzieję, że żona zrobiła zapas sukien na co najmniej rok. Miesiąc później kupiła sześć jedwabnych koszulek, cztery jedwabne piżamy, sześć par jedwabnych majtek, sześć jedwabnych staników, dwa paski, z jedwabnego i elastycznego materiału, dwanaście par jedwabnych pończoch i dwie pary pantofli, jedne różowe, drugie białe.

W październikowy wieczór poborca wyszedł z biura ze zboląłą miną. Kiedy doszedł do placu Bornebelle (Etienne de la Bornebelle, urodzony w zamku Bornebelle w 1377. W 1413 bronił miasta Nangicourt oblężonego przez Burgundów i przysiągł umrzeć raczej, niż się poddać. Istotnie skapitulował dopiero w osiemnastym dniu oblężenia, kiedy zapasy się wyczerpały. Zmarł w Paryżu w 1462), zaczął padać deszcz. Plac był jasno oświetlony witrynami sklepów. Poborca skierował się w stronę gmachu poczty na rogu głównej ulicy, zatrzymał się przy skrzynce pocztowej i wyjął z kieszeni prostokąt z zielonego papieru, którego treść przeczytał wiele razy. Było to upomnienie bez kary, które wysyłał sam sobie. Po chwili wahania wrzucił je do skrzynki i wyjąwszy z kieszeni pakiet upomnień adresowanych do innych podatników, posłał je w ślad za swoim.

Deszcz rozpadał się na dobre. Poborca z rozgorączkowanym czołem patrzył na ruch uliczny, na tańczące po trotuarze parasole, na auta z wolna sunące po lśniącym bruku. Wieczorem nad mokrym miastem unosił się przytłumiony gwar, który w jego uszach brzmiał jak skarga upomnianych podatników. Wśród spieszących przechodniów dostrzegł biegnącego z postawionym kołnierzem mężczyznę, w którym rozpoznał cukiernika Planchona; właśnie wysłał mu upomnienie. W przyływie solidarności sam zaczął biec i wszedł za Planchonem do kawiarni Centralnej. W wielkiej sali było około dwudziestu klientów, którzy rozmawiali albo grali w karty. Gauthier-Lenoir usiadł obok cukiernika, uściśnął mu dłoń w gorącej intencji, której tamten zdawał się nie rozumieć, gdyż bardzo obojętnie odpowiedział roztargnionym „dzień dobry”, i zaczął przyglądać się mężczyznom grającym w pikietę. Obok stolika graczy siedział na krześle pan Rebuffaud, gorliwy podatek. On też śledził rozgrywkę zaciągając się fajką. Obecność tego nienagannego człowieka sprawiła, że poborca jeszcze dotkliwiej odczuł zły los obywateli dręczonych przez urząd podatkowy. Nachylił się do Planchona i powiedział ściszym głosem:

– Widziałem, jak pan wchodził do Centralnej. Pobiegłem za panem. Chciałem uprzedzić, że wysłałem panu upomnienie bez kary. Pan rozumie, że jeśli je wysłałem, to dlatego, że jestem do tego zmuszony. Ale przede wszystkim proszę się tym zbytnio nie kłopotać..

Planchon był wyraźnie niezadowolony. Pomyślał przez chwilę i odezwał się głośno:

– A więc to tak, wysłał mi pan upomnienie?

– Cóż pan chce! Muszę podporządkować się regulaminowi. Robię to z ciężkim sercem.

I poborca dodał skromnie:

– Jestem nawet podwójnie zmuszony podporządkować się regulaminowi, gdyż sam też jestem podatnikiem.

Planchon nie uchwycił braterskiego tonu tej przemowy. Zresztą absolutnie nie wierzył, by poborca sam płacił podatki, a w każdym razie podejrzewał, że jego posada daje mu znaczne ułatwienia. Zwracając się do stolika graczy powiedział gorzko:

– Dobra wiadomość! Otrzymuję upomnienie od poborcy!

Partia pikiety od razu zamarła. Gracze nieufnie patrzyli na poborcę, a jeden zapytał:

– Zapewne ja też je wkrótce otrzymam?

Dyskretne milczenie zapytanego równało się przyznaniu. Gracz skrzywił się.

– Trudno. Trzeba przez to przejść.

Wydawało się zresztą, że łatwo godzi się z myślą o bliskim terminie płatności. Planchon także nie był człowiekiem, który psuje sobie krew z powodu upomnienia, ale obaj odczuli powiew przymusu i bezwiednie przeszli do defensywy. Klienci przy sąsiednich stolikach włączyli się do rozmowy i cierpko komentowali wymagania urzędu podatkowego, nie czepiając się jednak bezpośrednio poborcy. Nie było okazji, by wtrącił słowo na swoje usprawiedliwienie. Nikt otwarcie go nie potępiał, ale że był winny, to rozumiało się samo przez się. Poborcę, funkcjonariusza urzędu podatkowego, uważano w sposób oczywisty za współodpowiedzialnego i tylko ostrożność powstrzymała ich od jawnej krytyki.

Poborca ścierpiał w milczeniu to obraźliwe łączenie jego osoby z urzędem. Chciał opowiedzieć o swoich własnych udrękach podatnika, zbratać się z wrogimi mu ludźmi w uczuciu buntu, a przynajmniej sprzeciwu wobec fiskalnej maszyny. Dławił go ciężar jego funkcji. Rebuffaud z głową odrzuconą w tył ssał fajkę, którą trzymał obiema rękami, i przysłuchiwał się skargom sąsiadów. W jego oczach pojawiły się ironiczne błyski, co chwila szukał oczu poborcy, by znaleźć w nich odbicie własnych myśli i sygnał do wspólnej akcji. Ale poborca nawet tego nie zauważył, pozostał głuchy na sympatię, jaką okazywał mu Rebuffaud.

Ten zaś nie mógł tego dłużej znieść. Uwagi Planchona o administracyjnym bałaganie w państwie, które wydały mu się bardziej wywrotowe niż inne, stały się okazją do interwencji. Uczynił to spokojnie, uśmiechając się przyjaźnie do poborcy. Wyjaśnił, że podatki są dla narodu życiową koniecznością i że obywatele nie mogą od nich uciekać bez szkody dla własnych interesów. Jasno wyłożył, na intencję Planchona, że handel wyrobami cukierniczymi, by ograniczyć się do jednego tylko przykładu, zawdzięcza swe sukcesy czujnej skarbowości, bo gdyby państwo nie rozporządzało odpowiednimi funduszami na utrzymanie kościołów, te obróciłyby się w ruinę i wierni nie mogliby już chodzić do kościoła w niedzielę. Jakże więc mogliby kupić placek albo ciasto z kremem po wyjściu ze mszy? XW konkluzji pan Rebuffaud pochwalił gorliwość skromnych poborców podatków, którzy zapewniają prawidłowe funkcjonowanie społecznego organizmu. Zanim ponownie włożył fajkę w zęby, spojrzał na poborcę z uśmiechem czułym i porozumiewawczym. Gauthier-Lenoir spocił się ze wstydu i cały poczerwieniał. Sympatia i poparcie pana Rebuffaud napełniały jego serce goryczą. Gwałtowny protest rozdał mu piersi i zamarł w gardle, gdyż sumienie zawodowe zabraniało mu sprzeciwić się słowom pełnym słuszności, wypowiedzianym przez wzorowego podatnika.

Sąsiedzi wysłuchali pana Rebuffaud z pełną szacunku uwagą. Znaczenie tego człowieka, poważanie, jakim się cieszył, przydawały ciężaru jego słowom i choć nie przekonały nikogo, to przecież nie budziły sprzeciwu. Zapanowała pojednawcza cisza. By zaświadczyć, że interwencja pana Rebuffaud nie poszła na marne, Planchon spytał grzecznie poborcę, czego się napije. Poborca wymówił się niezręcznie, ukłonił się wkoło, wymamrotał coś nieśmiało i odszedł czując na plecach zdziwione i ironicznie życzliwe spojrzenia.

Z placu Bornebelle, gdzie przechadzały się jeszcze parasole, poborca wszedł w wyludnioną uliczkę. Nie zważając na deszcz raz jeszcze przeżywał drobne szczegóły wizyty w kawiarni Centralnej. Antypatia, jaką budził w nim Rebuffaud, nie wyjaśniała dostatecznie jego gwałtownych, wrogich uczuć; podejrzewał, że kryje się w tym coś innego, ale szacunek dla własnej pracy nie pozwalał mu jeszcze dogłębnie zbadać tej sprawy. Powody tej urazy wydawały się zagrażać jego spokojowi, toteż usiłował nie myśleć o nich więcej. Zdawało mu się, że troski życia domowego będą mu odtrutką, ale wszystko sprowadzało się do tego samego. Pieniężne kłopoty przypominały mu o upomnieniu, które wysłał był pocztą i które dostanie nazajutrz rano. To z wolna torujące sobie drogę w nocy ostrzeżenie było czymś dziwnym i szyderczym, niespodzianką, jaką poborca sam sobie szykował. Zamiast wysłać upo-

mnienie pocztą, mógł równie dobrze włożyć je do kieszeni i uważać się za upomnianego, ale chciał przyznać sobie złudną zwłokę jednej nocy. I kiedy tak szedł ciemnymi uliczkami, zdał sobie sprawę, że marzy o tym, by poczta się spóźniła, jak gdyby takie opóźnienie – jeśliby nastąpiło – mogło cokolwiek zmienić w jego sytuacji. Po zastanowieniu odkrył sens gwałtownego i niemego protestu, jaki budziła w jego sercu postawa pana Rebuffaud. Ten człowiek, szczęśliwy i punktualny, który płacił podatki nie zwlekając dnia ani godziny, nigdy; nie zgutował sobie fałszywej niespodzianki. Regulując należności o czasie, nie pozwalał sobie, jak ogół podatników, na dobrowolne zapomnienie o wiszących nad nim płatnościach i nie groziło mu żadne ryzyko, które takie zapomnienie ze sobą niesie. W umyśle poborcy pojęcie obowiązku, nawet gdy szło o obowiązek podatkowy, było nierozłączne, ideą pokusy, wahania, powrotu, zguby. Nie wymagając natychmiastowego płacenia należności, urząd podatkowy przyznawał swego rodzaju wolną wolę portfela, czas próby, kiedy to podatnik mógł popełnić głupstwo, wydać pieniądze na złe cele lub zatriumfować nad wszelkimi pokusami i spełnić fiskalny obowiązek. Rebuffaud unikał tych gorzkich zwycięstw, gdyż zawsze płacił gotówką, spełniał więc tylko część swego obowiązku, najmniejszą, najmarniejszą. „Świnia – wyszeptał Gauthier-Lenoir – podejrzewałem to. Zawsze uważałem, że ten typ wymiguje się od obowiązków podatkowych”. Tymczasem wyszedł z krętych uliczek i ujrzał elektryczną latarnię na bulwarze Wilsona (Woodrow Wilson, urodzony w Stanton [Virginia] w 1856. Kandydat demokratów na prezydenta Stanów Zjednoczonych, wybrany w 1912, ponownie w 1916. Autor *Czternastu Punktów*, zmarł w Waszyngtonie w 1924), latarnię oświetlającą mały domek o cienkich ceglanych ścianach, w którym mieszkał.

Nazajutrz rano poborca jadał z żoną śniadanie, kiedy listonosz przyniósł upomnienie. Rozłożył je i powiedział słabym głosem:

– Dostałem upomnienie, mam zapłacić podatki do 1 listopada.
– Upomnienie? – zdziwiła się żona. – Ale kto je wysłał?
– Poborca... Tego roku spóźniłem się...
– Jak to? Sam sobie wysyłasz upomnienie? Jakie to głupie.
– Dlaczego nie miałbym wysłać sobie upomnienia? Chyba nie myślisz, że wykorzystuję moją sytuację przyznając sobie specjalne względy? Jestem takim samym podatnikiem jak inni.

Gauthier-Lenoir powtórzył z błyskiem dumy w oku:

– Jak inni.

Żona tylko wzruszyła ramionami. Sądziła, że wysłał upomnienie po to, by posłużyło za podtekst do wymówek na temat konieczności oszczędzania i ograniczenia wydatków. Przygotowała się na dłuższe kazanie, ponieważ jednak ono nie nastąpiło, w odruchu litości przerwała milczenie.

– O wiele za dużo wydałam na sukienki, o wiele za dużo. Przepraszam cię.

– Ależ nie – zaprotestował poborca. – Trzeba się elegancko ubierać. Nie robiłaś żadnych niepotrzebnych wydatków.

Pani Gauthier-Lenoir westchnęła i wzruszona smutkiem męża przed wyjściem do biura czule go pocałowała. Pozostawszy sama gorączkowo kończyła rozpoczęte poprzedniego dnia przygotowania, po czym, około dziesiątej, weszła na parapet okna wychodzącego na bulwar Wilsona. Oficer służby transportowej podjechał na swym koniu, pani Gauthier-Lenoir zeskoczyła na koński zad trzymając w jednej ręce walizkę, w drugiej pudło z kapeluszami. Bodąc konia czterema piętami para ruszyła galopem do dalekiego garnizonu we wschodnim departamencie i w Nangicourt nigdy więcej nie słyszano o pani Gauthier-Lenoir. Wróciwszy do domu w południe poborca dowiedział się o wydarzeniu z takiego oto bileciku: „Odjeżdżam na zawsze z tym, komu oddałam serce”.

Długo płakał tego dnia, a także w dni następne, stracił sen i apetyt, zmarniał, ogarnęło go wielkie zmęczenie i różne dziwne myśli zaczęły przychodzić mu do głowy. Wierzył, że

żonę zabrał mu urząd podatkowy, i miał pretensję o to, że zajął mienie, czyli żonę, bez uprzedniego upomnienia. Wielokrotnie wysyłał do siebie, jako do przedstawiciela urzędu podatkowego, reklamacje z tego tytułu, na co otrzymał napisaną jego własną ręką odpowiedź, że sprawa zostanie zbadana przez odpowiednie czynniki. Nieusatsfakcjonowany odpowiedziami, które zdawały się wymijające, postanowił złożyć sobie wizytę w biurze. Pewnego ranka przyszedł więc do biura przed dziewiątą i udał się prosto do pokoju, w którym zwykle przyjmował podatników starających się o uzyskanie zwłoki. Z kapeluszem w ręku usiadł na krześle zarezerwowanym dla klientów, twarzą do fotela z jasnego drzewa, od którego oddzielał go stolik, i odezwał się w te słowa:

– Panie poborco, wysłałem do pana trzy reklamacje w sprawie konfiskaty mienia, której przedmiotem była moja żona. Przemyslałem pańskie odpowiedzi i doszedłem do wniosku, że rozmowa z panem jest konieczna dla wyjaśnienia mojej sprawy. Niech pan zwróci uwagę, że w zasadzie niczego nie kwestionuję. Przysnając naturalnie bez zastrzeżeń, że urząd podatkowy ma pełne prawo zabrać mi żonę. Podkreślam to, panie poborco. Nie chciałbym być podejrzewany o to, że występuję jako sędzia albo krytyk. Oczywiście kochałem moją żonę, jeszcze namiętnie ją kocham, ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy wymigiwać się od nowych żądań urzędu podatkowego. Wystarczy, że tak zadecydował. Nie do mnie należy osądzać jego decyzje. Gdyby podatnicy nie zezwalali na rozporządzanie swoimi żonami, to równie dobrze mogliby odmówić płacenia podatków w pieniądzu, a wtedy do czego byśmy doszli? Nie, to, co mnie boli w tej sprawie, powtarzam, to nie trochę wyjątkowy charakter podatku, lecz fakt, że nie respektowano przyjętych form. Leży to w pańskiej gestii, panie poborco: nie dostałem żadnego upomnienia, z karą lub bez, nie powiadomiono mnie o konieczności wpłacenia żony w okienku urzędu podatkowego, żaden nakaz komornika nie poprzedził konfiskaty. Zostałem mocno dotknięty w moich uczuciach, nie mówiąc już o ujmie, jaką to przynosi mojej godności podatnika. Mógłbym cieszyć się żoną jeszcze przez parę tygodni, gdyby udzielono legalnie przysługującej mi zwłoki, gdybym został we właściwym czasie uprzedzony.

Gauthier-Lenoir wstał, położył kapelusz na krześle i przeszedłszy na drugą stronę stołu zajął – miejsce w urzędowym fotelu. Po krótkim namyśle powiedział pojednawczym tonem:

– Drogi panie Gauthier-Lenoir, nie przeczę, że w całej tej sprawie nie dopełniono obowiązujących norm. Czy stało się tak przez zapomnienie, czy przez umyślną pomyłkę? Jedyne wnikliwe zbadanie sprawy pozwoliłoby to ustalić. Ale proszę, by pan nie wnosił o to badanie, do którego ma pan oczywiście pełne prawo. Wynikłyby z tego niesłychane kłopoty, które mogłyby podkopać autorytet naszej – administracji. Gazety opozycyjne, zawsze gotowe do krzyżowania o skandalu, nie przepuściłyby takiej gratki, a tego, panie Gauthier-Lenoir, pan by przecież nie chciał, pański patriotyzm podatkowy nie pozwoliłby na to, A zresztą cóż by pan na tym zyskał? Wiem, ma pan prawo wierzyć, że zwróci się panu żonę na pięć lub sześć tygodni. Ale zna pan opieszałość naszych instytucji. Zanim by do tego doszło, minęłyby całe lata, dziesiątki lat. Kiedy małżonka wróci do pana na kilka tygodni tylko, nie zapominajmy o tym, będzie pomarszczona, stara, bezzębna, o szarej skórze i rzadkich włosach. Czy nie lepiej pozostać ze wspomnieniem kobiety młodej i pięknej? Sam pan widzi. A poza tym jest pan funkcjonariuszem i – u licha – powinien pan dawać przykład fiskalnej odwagi. A propos, chcę panu powiedzieć, że uwagi zawarte w pańskim liście odnośnie do tolerowanej przez urząd podatkowy nierówności traktowania pana i pana Rebuffaud wydały mi się bardzo rozsądne. Prawdą jest, że ten Rebuffaud źle wywiązuje się ze swoich obowiązków podatnika i dziękuję panu, że zwrócił mi pan na co uwagę. Zamierzam te sprawy uporządkować.

Poborca wstał z fotela, wziął kapelusz z krzesła, gdzie go położył, i powiesił go na wieszaku. Rozmowa była skończona.

Nazajutrz rano Rebuffaud zjawił się w urzędzie podatkowym. W ręku trzymał jakiś papier i wydawał się mocno poruszony. Poborca przyjął go przyjaźniej niż zwykle i spytał dobrotliwie o przedmiot jego wizyty.

– To nie do wiary – odpowiedział Rebuffaud podając mu papier. – Dostałem nakaz wpłacenia żony w pańskim okienku do 15 listopada bieżącego roku. Musiała zająć pomyłkę.

– Zobaczymy. Czy to nakaz z karą?

– Nie, bez kary.

– A więc wszystko jest w całkowitym porządku – powiedział poborca ze spokojnym uśmiechem.

Rebuffaud początkowo zdębiał i otworzył szeroko oczy. Wreszcie wyjąkał:

– To niesłychane! Zabrać mi żonę... Nie ma takiego prawa!

– Cóż pan chce, to nowe rozporządzenia podatkowe. Tak, wiem. To trudne, bardzo trudne.

– Nie mogę się nadziwić – powiedział pan Rebuffaud. – Zabrać mi żonę! Dlaczego właśnie mnie?

– Niestety! Nie jest pan jedynym, od którego żąda się takiego poświęcenia. Inni również otrzymali dziś podobne upomnienie. Ja sam wpłaciłem już żonę. To nader przykre. Ale cóż, trzeba się z tym pogodzić. Żyjemy w okrutnych czasach.

– Ale mimo wszystko... – jęknął pan Rebuffaud – mimo wszystko... Przecież zawsze tak skrupulatnie płaciłem podatki...

– Właśnie dlatego, panie Rebuffaud. Znając pańską skrupulatność, urząd podatkowy nie wahał się zapisać pana wśród pierwszych. Ale tym razem, jeśli mogę panu radzić, niech się pan zbyt nie śpieszy z zapłatą. Niech pan korzysta ze zwłoki, jaka panu przysługuje.

Pan Rebuffaud potrząsnął głową i zamyślił się. Sprawa wyglądała teraz mniej ekstrawagancko. Przykład poborca, zapewnienie, że inni podatnicy przejdą przez taką samą próbę, sprawiły, że był niemal gotów pogodzić się z myślą pozostawienia żony urzędowi podatkowemu. Rozczulił się nad sobą myśląc o ogromie swego poświęcenia, podziwiał sam siebie, świadomość własnego bohaterstwa rozpałała mu policzki. Wreszcie, by niczego nie ukrywać, jego żona miała przykry charakter i nigdy nie była ładna. W głębi duszy, nie przyznając się do tego przed sobą, rezygnował z niej dość łatwo. Ucisnął dłoń poborca z nieco wymuszonym westchnieniem.

– Trzeba być dzielnym – powiedział poborca.

– Postaram się – odpowiedział pan Rebuffaud i wyszedł.

Idąc ulicą Lefinat (Hubert Lefinat, urodzony w 1860 w Nangicourt. Dobroczynca miasta. Wyposażył szpital w trzy łóżka i zapisał miastu w testamencie część swoich posiadłości, tworzącą obecnie promenadę nadrzeczną, gdzie wystawiono mu pomnik z brązu. Zmarł w Nangicourt w 1923) pan Rebuffaud zastanawiał się, jak zareagują inni podatnicy dotknięci nowymi przepisami. Spacerując po mieście nie dostrzegł niczego anormalnego. Wieczorem w kawiarni Centralnej znalazło się pośród klientów sześciu mężczyzn, którzy otrzymali nakaz. Pan Rebuffaud słyszał oczywiście gorzkie skargi na okrucieństwo urzędu, ale ton tego potępienia był dość smętny. Atmosfera sprzyjała raczej jeremiadom niż buntowi. Mężczyźni pili więcej niż zwykle i w porze kolacji wielu było już pijanych. Cukiernik Planchon, owdowiały w ubiegłym roku, bez powodzenia próbował podburzyć podatników. „Chyba jednak nie odda pan żony?” spytał kupca towarów żelaznych, pana Petit. „Skoro tak trzeba...” odpowiedział Petit, a inni powtórzyli za nim: „Skoro tak trzeba...”

Rankiem 15 listopada około trzydziestu par stało w ogonku przed drzwiami urzędu podatkowego. Każdy podatek trzymał pod rękę małżonkę, którą miał wpłacić w okienku. Na ich twarzach malowała się bolesna rezygnacja. Mówili mało, szeptem wymieniali ostatnie obietnice. Wewnątrz poborca wraz z pomocnikiem dokonywał pobrania żon. Sala przedzielona była niskim przepierzeniem na dwie części. Nachylony nad grubą księgą pomocnik wpisywał informację o parze stojącej przed okienkiem i przygotowywał resztę. Poborca przeprowadzał żony za przepierzenie, wydawał mężowi resztę i żegnał go słowami pełnymi współczucia. Kobiety będące obecnie własnością urzędu podatkowego stały w milczeniu w części

zamkniętej dla publiczności i osowiałym wzrokiem przyglądały się wchodzącym parom.

Około jedenastej przed urzędem zatrzymał się samochód. Traf chciał, że minister świadczeń w towarzystwie szefa swego gabinetu przejeżdżał tego dnia przez Nangicourt udając się do okręgu, którego był deputowanym. Przez szybkę samochodu zobaczył zbiegowisko przed drzwiami urzędu i z ciekawości poszedł dowiedzieć się, o co chodzi.

Poborca bez zakłopotania przyjął ministra i szefa gabinetu. Przeprosił, że przyjmuje ich wśród tłumu podatników, i dodał z uśmiechem:

– Ale nie śmiem tego żałować. To znak, że podatki wpływają należycie. Widzi pan, panie ministrze, pobrałem już dwadzieścia pięć żon.

Minister i szef gabinetu spojrzeli na siebie z osłupieniem. Poborca udzielił wyczerpujących odpowiedzi na wszelkie pytania. Kiedy skończył, szef gabinetu nachylił się do ministra i szepnął: „On zupełnie zwariował”.

– He, he – odrzekł minister – he, he!

Z żywym zainteresowaniem przyglądał się stadku pobranych żon i myśląc o najładniejszych stwierdził, że dla państwa stanowią źródło znacznych, być może, dochodów. Nie umknęło jego uwagi również i to, że z czysto kobiecą niekonsekwencją wiele z nich przybyło na wezwanie poborcy w najpiękniejszej biżuterii. Namyslał się dłuższą chwilę. Szanując jego zamyślenie i rozumiejąc już targające nim myśli, szef gabinetu przyglądał się parom cierpliwie czekającym końca ministerialnej interwencji, by podejść do okienka.

– Jakaż podziwu godna dyscyplina u tych dzielnych ludzi – zauważył.

– W istocie – odparł minister – jestem tym bardzo poruszony.

Obaj mężczyźni wymienili spojrzenia brzemienne w znaczenia. Po czym minister uściśnął gorąco dłoń poborcy i rzucając ostatnie spojrzenie na małżonki własność urzędu podatkowego wsiadł do samochodu.

W dwa dni po tej pamiętnej wizycie dowiedziano się, że Gauthier-Lenoir został mianowany poborcą pierwszej kategorii. W zawołanych słowach minister świadczeń mówił o szeroko zakrojonych planach, które były całkowitym novum w materii skarbowości. Ale wybuchła wojna.

Przysłowie

W świetle lampy wiszącej pan Jacotin widział całą rodzinę nachyloną nad jedzeniem przy kuchennym stole i okazującą nieufnymi spojrzeniami lęk przed humorami pana domu. Głębokie przekonanie o własnej ofiarności i oddaniu, nieustanna troska o sprawiedliwość domową, sprawiały, że był w istocie niesprawiedliwy i tyrański, a nagłe i niespodziewane wybuchy sangwinika utrzymywały w jego domu atmosferę przymusu, która go zresztą irytowała.

Po południu dowiedział się, że wysunięto jego kandydaturę do palm akademickich i postanowił poinformować o tym rodzinę po kolacji. Wypił szklaneczkę wina, przełknął ostatni kęs sera i miał już przemówić, kiedy wydało mu się, że nastrój nie jest taki, jakiego życzyłby sobie na przyjęcie radosnej nowiny. Wolno powiódł spojrzeniem wokół stołu, zatrzymując je najpierw na żonie, której słabowity wygląd, smutna i zalękniona twarz nie przynosiły mu zaszczytu wśród kolegów. Potem przyjrzał się ciotce Julii, która zamieszkała w jego domu ze względu na podeszły wiek i liczne śmiertelne choroby, a w ciągu siedmiu lat kosztowała go z pewnością więcej pieniędzy, niż mógł się spodziewać w spadku po niej. Dalej przyszła kolej na dwie córki, siedemnastoletnią i szesnastoletnią, zatrudnione w sklepie za 500 franków miesięcznie, a przecież ubrane jak księżniczki: zegarki z bransoletami, złote

broszki przy dekoltach, pretensje ponad stan – oto gdzie się podziewały jego pieniądze. Pan Jacotin odczuł nagle ostro, że się go okrada, że inni piją jego krwawicę, że jest po prostu śmiesznie dobry. Wino uderzyło mu do głowy, rozpało szeroka twarz odznaczającą się już i tak naturalną czerwonosścią.

W takim był nastroju, kiedy wzrok jego padł na syna Luciena, trzynastoletniego chłopca, który od początku kolacji starał się, by go nie dostrzeżono. Bładość drobnej twarzyczki wydała się ojcu podejrzana. Chłopiec siedział ze spuszczonej oczami i czując, że jest obserwowany, gniótł obiema rękami fałdy czarnego, szkolnego fartucha.

– Chciałbyś go podrzeć? – rzucił ojciec głosem obiecującym wiele. – Robisz, co możesz, żeby go podrzeć?

Lucien puścił fartuch i położył ręce na stole. Zwiesił głowę nad talerzem nie śmiąc szukać pociechy w spojrzaniach siostr i siedział tak całkowicie wydany na pastwę grożącego mu nieszczęścia.

– Przecież mówię do ciebie. Mógłbyś mi odpowiedzieć... Podejrzewam, że masz coś na sumieniu.

Lucien zaprotestował przerażonym wzrokiem. Nie spodziewał się wcale, że odwróci podejrzenia, ale wiedział, że ojciec byłby rozczarowany, gdyby nie ujrzał strachu w oczach syna.

– Tak, masz coś na sumieniu, to pewne. Powiedz, coś zbroił dziś po południu.

– Po południu bawiłem się z Pichonem. Przyszedł po mnie o drugiej. Wychodząc z domu spotkaliśmy Chapusota, który szedł na zakupy. Najpierw byliśmy u lekarza w sprawie jego wujka, który jest chory. Od przedwczoraj ma bóle wątroby...

Ale ojciec zrozumiał, że chce go zagadać, i przerwał:

– Nie mieszaj się do cudzej wątroby. Nie przejmujesz się tak, kiedy ja cierpię. Powiedz lepiej, gdzie byłeś rano.

– Poszedłem z Fourmontem zobaczyć dom przy alei Poincare, który spłonął zeszłej nocy.

– A więc cały dzień byłeś na dworze? Od rana do wieczora? Skoro bawiłeś się przez cały czwartek, to spodziewam się, że lekcje są odrobione?

Ojciec wymówił te ostatnie słowa słodkim głosem, od którego wszystkim dech zaparło.

– Lekcje? – wyszeptał Lucien.

– Tak, lekcje.

– Odrabiałem lekcje wczoraj wieczorem, po szkole.

– Nie pytam, czy je odrabiałeś wczoraj wieczorem. Pytam, czy odrobiłeś lekcje na jutro.

Wszyscy czuli narastający dramat, chcieli temu zapobiec, ale doświadczenie nauczyło ich, że w takiej sytuacji jakakolwiek interwencja może tylko pogorszyć sprawę i rozwścieczyć do ostateczności tego gwałtownego człowieka. Siostry Luciena taktycznie udawały, że z roz-targnieniem przysłuchują się rozmowie, a matka, nie chcąc asystować przy przykrej scenie, uciekła w kąt koło szafy. Sam pan Jacotin wahał się jeszcze, czy zataić nowinę o palmach akademickich. Ale ciotka Julia, poruszona uczuciami ogółu, nie umiała powstrzymać języka.

– Biedny mały, wciąż go prześladujesz. Przecież powiedział, że pracował wczoraj wieczorem. Musi się przecież bawić.

Obrażony Jacotin odpowiedział wyniośle:

– Prosiłbym, byś nie psuła mojej pracy wychowawczej. Ja jestem ojcem i mam zamiar kierować nim wedle mego uznania. Jeśli urodzisz sobie dzieci, wolno ci będzie ustępować ich kaprysom.

Ciotka Julia miała siedemdziesiąt trzy lata, toteż słowa o jej dzieciach, co mają się narodzić, były nie pozbawione ironii. Obraziła się i wyszła do kuchni. Wzruszony Lucien przyglądał się przez chwilę, jak w mroku lśniącego czystością stołowego szuka po omacku kontaktu. Kiedy zamknęła drzwi, pan Jacotin wezwał całą rodzinę na świadków, że nie powiedział nic

takiego, co usprawiedliwiłoby to nagłe wyjście, i skarżył się, że Julia perfidnie stawia go w sytuacji, w której wychodzi na chłama. Ani córki, które zabrały się do sprzątanania ze stołu, ani żona, nie poparły go zdecydowanie, co, być może, rozładowałoby sytuację. Ich milczenie było nową zniewagą. Zezłoszczony wrócił do Luciena:

– Wciąż czekam na odpowiedź. Odrobiłeś lekcje? Tak czy nie?

Lucien zrozumiał, że nic nie zyska na przewlekaniu sprawy, i rzucił się głową w dół:

– Nie odrobiłem francuskiego.

Oczy ojca zabłyśły wdzięcznością. Miło było jednak brać tego chłopaka w obroty.

– Dlaczego?

Lucien podniósł ramiona w geście niewiedzy i zdumienia, jakby pytanie było śmieszne.

– Skatuję smarkacza – wyszeptał ojciec pożerając go wzrokiem.

Przez chwilę siedział w milczeniu rozpamiętując, jakiej nikczemności dopuścił się ten niewdzięczny syn, który bez żadnego powodu i najwyraźniej bez wyrzutów sumienia zaniedbuje lekcje francuskiego.

– Jest więc tak, jak myślałem – powiedział, a głos jego podnosił się wraz z tonem przemówienia. – Jesteś niepoprawny i uparty. W zeszły piątek profesor zadał ci na jutro wypracowanie z francuskiego. Miałeś osiem dni na zrobienie go i nie znalazłeś na to sposobu. Gdybym nie zapytał, poszedłbyś do szkoły bez wypracowania. Ale to, że cały czwartek wałęsałeś się i leniuchowałeś, to szczyt wszystkiego. I to z kim? Pichon, Fourmont, Chapusot – same łobuzy, same osły. Osły tobie podobne. Tacy trzymają się razem. Oczywiście nie przyszłoby ci do głowy bawić się z Béruchardem. Bawić się z prymusem, to byłaby zniewaga, co? A przede wszystkim Béruchard by się nie zgodził. Béruchard się nie bawi, jestem tego pewny. Nigdy się nie bawi. To dobre dla ciebie. Béruchard pracuje. W rezultacie jest zawsze pierwszy. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu wyprzedził cię o trzy miejsca. Możesz mi wierzyć, że przyjemnie mi pracować cały dzień z jego ojcem, człowiekiem niżej przecież notowanym niż ja. Kim jest Béruchard? Mówię o ojcu. To człowiek pracowity, prawda, ale brak mu zdolności. W przekonaniach politycznych tak samo jak w robocie. Nigdy nie ma koncepcji. I dobrze o tym wie. Kiedy dyskutujemy o tym i owym, wobec mnie nie czuje się mocny. Ale kiedy mówi o swoim chłopaku, który zawsze jest najlepszy z klasy, to ma nade mną przewagę. Tym samym znajduję się w niezręcznej sytuacji. Nie mam szczęścia mieć takiego syna jak Béruchard. Pierwszego we francuskim, pierwszego w matematyce. Syna, który zbiera wszystkie nagrody. Lucien, zostaw w spokoju to kółko od serwetki. Nie będę tolerował takich min. Słyszysz mnie? Tak czy nie? Mam ci przyłożyć, żebyś wiedział, że jestem twoim ojcem? Leń, hultaj, nieuk! Wypracowanie z francuskiego nie odrobione od ośmiu dni! Czy to by się zdarzyło, gdybyś miał choć trochę serca, gdybyś pomyślał o moich wysiłkach? Nie, Lucien, nie umiesz tego docenić. Inaczej odrobiłbyś lekcje z francuskiego. Czy wiesz, ile mnie kosztuje moja praca? Ile zmartwień i trosk? Teraz i na przyszłość? Kiedy się zestarzeję, nikt mnie nie będzie utrzymywał. Lepiej liczyć na samego siebie niż na innych. Nigdy nikogo o grosz nie prosiłem. Nigdy nie biegłem po ratunek do sąsiada. Nigdy mi rodzina nie pomagała. Mój ojciec nie dał mi wykształcenia. Kiedy skończyłem dwanaście lat, oddał mnie do terminu. Ciągnąłem wóz w pogodę i niepogodę. W zimie odmrożenia, w lecie lepiąca się do pleców koszula. Ale ty, ty się wałkonisz. Twoje szczęście, że masz ojca, który jest zbyt dobry. Ale to długo nie potrwa. Jak tylko pomyślę o tym wypracowaniu z francuskiego! Leniuch, brudas! Bądź dla niego dobry, a zawsze będziesz słaby. A jeszcze przed chwilą miałem zamiar wziąć was wszystkich w przyszłą środę do teatru. Nie spodziewałem się, co mnie czeka. Kiedy mnie nie ma, można być pewnym, że w domu panuje anarchia. Nie odrobione lekcje i wszystko, co z tego wynika. I oczywiście wybrano dzień...

Ojciec urwał na chwilę. Delikatne uczucie skromności i wstydu kazało mu spuścić oczy:

– Dzień, w którym dowiedziałem się, że kandyduję do palm akademickich. Oto jaki

dzień wybrano.

Czekał kilka sekund na efekt ostatnich słów. Wydawało się jednak, że nie zostały zrozumiane. Każdy usłyszał je, jak i całą resztę, nie zgłębiając ich znaczenia. Jedynie pani Jacotin, która wiedziała, że od dwóch lat mąż czeka rekompensaty za swe usługi w charakterze dobrowolnego skarbnika lokalnego stowarzyszenia solfeżu i filharmonii (U.N.S.P.), odniosła wrażenie, że coś ważnego umknęło jej uwagi. Słowo „palmy akademickie” zabrzmiało w jej uszach dziwnym, ale znajomym dźwiękiem i wywołało wizję męża w honorowej czapeczce muzykanta siedzącego okrakiem na najwyższej gałęzi drzewa kokosowego. Wreszcie z tego strachu dotarł do niej sens poetyckiej wizji i otworzyła usta, by okazać pełną szacunku radość. Za późno. Pan Jacotin delectował się gorzko obojętnością rodziny i nie chciał, by słowa żony złagodziły obelgę ciężkiego milczenia, czym prędzej więc ją uprzedził.

– Jedźmy dalej – rzekł śmiejąc się boleśnie. – Mówiłem, że miałeś osiem dni na zrobienie tego wypracowania. Osiem dni! Ciekaw jestem, jak dawno Béruchard je zrobił. Pewien jestem, że nie czekał ośmiu dni ani sześciu, ani pięciu. Ani trzech, ani dwóch. Béruchard zrobił je nazajutrz. A może zechcesz mi powiedzieć, co to za wypracowanie?

Lucien nie słuchał, więc nie odpowiedział. Ojciec przywrócił go do porządku głosem, który przez troje drzwi doleciał aż do uszu ciotki Julii. Zaspana, w nocnej koszuli, przyszła dowiedzieć się, co się stało.

– Co tu się dzieje? Czego chcesz od tego nieszczęsnego dziecka? Niech się dowiem.

Na nieszczęście pan Jacotin w tym momencie dał się ovladnąć myśli o palmach akademickich. I dlatego właśnie zbrakło mu cierpliwości. Zwykle w najgorszej nawet złości wyrażał się przyzwoicie. Ale ton starej damy przyjętej w jego domu z litościwego wyrachowania, a mówiącej bez żenady do człowieka, który wkrótce zostanie odznaczony, wydał mu się prowokacyjnie bezczelny.

– Tobie – powiedział – tobie mówię pięć liter.

Ciotka Julia rozdziawiła usta, otworzyła szeroko jeszcze niedowierzające oczy, a kiedy precyzował, co należy rozumieć przez owe pięć liter, zemdlała. W kuchni rozległy się okrzyki przestachu, odgłosy dramatu z przesuwaniem garnków, spodków i butelek. Matka i siostry Luciena krzątały się przy chorej ze słowami współczucia i pociechy, z których każde okrutnie raniło pana Jacotin. Unikały jego wzroku, ale kiedy przypadkowo zwracały ku niemu twarze, oczy ich były twarde. Poczul się winny wobec starej panny, szczerze żałował, że dał się ponieść ekscesom języka. Chętnie przeprosiłby ją, ale tak wyraźne potępienie upokorzyło jego dumę. Kiedy ciotkę Julię wynoszono z pokoju, powiedział głosem pewnym i donośnym:

– Po raz trzeci pytam, na czym polega to zadanie z francuskiego.

– To eksplikacja tekstu – powiedział Lucien. – Trzeba wyjaśnić przysłowie: „Na nic zda się pośpiech, trzeba wyruszyć w porę”.

– Ach tak? Nie rozumiem, dlaczego sprawia ci to trudności.

Lucien schylił głowę, twarz miał bez wyrazu.

– No to leć po zeszyt i do roboty. Chcę widzieć pracę skończoną.

Lucien poszedł po teczkę leżącą w kącie kuchni, wyjął z niej zeszyt i napisał u góry czystej stronicy: „Na nic zda się pośpiech, trzeba wyruszyć w porę”. Choć pisał, jak mógł najdłużej, nie zajęło mu to ani pięciu minut. Zaczął więc ssać obsadkę i przypatrywać się zdaniu wrogo i uparcie.

– Widzę, że się nie przykładasz – powiedział ojciec. – Jak chcesz, mnie się nie spieszy. Zaczekam całą noc, jeśli trzeba.

Istotnie, usadowił się wygodnie w pozycji wyczekującej. Lucien wpadł w rozpacz widząc ten jego spokój. Próbował myśleć o przysłowiu: „Na nic...” Przecież to oczywiste i nie ma co tu wyjaśniać, z obrzydzeniem przypomniał sobie bajkę La Fontaine'a *Zając i żółw*. Tymczasem siostry, ułożywszy ciotkę Julię, zaczęły układać naczynia w szafie i choć starały się robić to jak najciszej, to jednak hałasowały, co irytowało pana Jacotin. Wydawało mu się,

że to umyślnie, że chcą znaleźć wymówkę dla uczniaka, który nic nie robi. Nagle rozległ się straszny huk – matka zrzuciła ze zlewu żelazny garnek, który potoczył się po podłodze.

– Uwaga! – wrzasnął ojciec. – To jednak denerwujące. Jak on ma pracować w takim rozgardiaszu? Dajcie mu spokój i idźcie stąd. Zmywanie skończone. Do łóżek.

Kobiety wyszły z kuchni, Lucien poczuł się zdany całkowicie na łaskę ojca, wyobraził sobie, jak umiera o świcie nad tekstem przysłowia i rozplakał się.

– Dużo ci to pomoże, szczeniaku – rzekł ojciec. Głos nadal miał nadszany, ale było w nim odrobinę współczucia. Pan Jacotin wstydził się dramatu, jaki niedawno spowodował, i chciał okupić swoje zachowanie łagodnością wobec syna. Lucien wyczuł to, rozczulił się nad sobą i rozplakał się na dobre. Łza spadła na zeszyt, obok przysłowia. Wzruszony ojciec przyciągnął krzesło do stołu i usiadł obok syna.

– No uspokój się, weź moją chusteczkę. W twoim wieku powinieneś wiedzieć, że jeśli cię karzę, to dla twego dobra. Jeszcze kiedyś sam powiesz: „On miał rację”. Nie ma nic lepszego dla dziecka jak ojciec, który umie być surowy. Béruchard właśnie mówił mi to wczoraj. Ma zwyczaj bić swojego. Czasem policzek, czasem kopniak, wiesz gdzie, czasem różgi albo bykowiec. Osiąga dobre wyniki. To pewne, że jego chłopak kroczy prostą drogą i zajdzie daleko. Ale ja nie mógłbym zbić dziecka, chyba że ot tak, od czasu do czasu. Każdy ma swoją koncepcję. To właśnie mówiłem Béruchardowi. Uważam, że lepiej zaapelować do rozsądku.

Uspokojony tymi słowami Lucien przestał płakać, co z kolei wzbudziło niepokój ojca.

– Jeśli rozmawiam z tobą jak mężczyzna z mężczyzną, to nie będziesz chyba wyobrażał sobie, że to słabość?

– Och, nie! – odparł Lucien głosem pełnym głębokiego przekonania.

Pocieszony Jacotin spojrział na chłopca dobrotliwie. Potem, ważąc z jednej strony zakłopotanie syna, z drugiej przysłowie, uznał, że małym kosztem może okazać wspianiałomyślność, i odezwał się miękko:

– Widzę, że jeżeli sam ci nie pomogę, będziemy tu siedzieć do czwartej nad ranem. Dobra, do roboty. A więc: „Na nic zda się pośpiech, trzeba wyruszyć w porę”. Tak. Na nic zda się pośpiech...

Przed chwilą temat wypracowania z francuskiego wydawał mu się śmiesznie łatwy. Teraz, kiedy wziął na siebie odpowiedzialność, patrzył nań innym okiem. Z zakłopotaniem na twarzy przeczytał parę razy przysłowie i wyszeptał:

– To jest przysłowie.

– Tak – przytaknął Lucien czekając ufnie na ciąg dalszy.

Tak wielka ufność zmaciła serce pana Jacotin. Na myśl, że w grę wchodzi jego ojcowski autorytet, zrobił się nerwowy.

– Nauczyciel nic wam nie powiedział dając to wypracowanie?

– Powiedział, żeby przede wszystkim nie streszczać *Zająca i żółwia*. Sami musimy znaleźć przykład. Tak powiedział.

– *Tak, oczywiście* – rzekł ojciec. – *Zajac* i *żółw* to dobry przykład. Nie wpadłem na to.

– Tak, ale to zabronione.

– Zabronione, oczywiście zabronione. W takim razie wszystko jest zabronione.

Krew napłynęła mu do głowy, gorączkowo szukał jakiejś myśli lub choćby zdania, od którego można by zacząć. Wyobraźnia była krnąbrna. Przysłowie budziło w nim lęk i złość. Powoli twarz jego przybrała wyraz znudzenia, jaki przed chwilą malował się na twarzy syna.

W końcu przypomniał sobie tytuł z porannej gazety – „Wyścig zbrojeń”. Łatwo było to rozwinąć: kraj od dawna przygotowuje się do wojny, produkuje czołgi, armaty, karabiny maszynowe i samoloty. Sąsiednie państwo przygotowuje się opieszale, toteż kiedy wojna wybuchła, nie jest wcale gotowe i daremnie usiłuje nadgonić opóźnienia. Można by z tego wykroić doskonałe wypracowanie.

Przez chwilę rozjaśniona twarz pana Jacotina nagle spochmurniała. Doszedł do wniosku, że jego przekonania polityczne nie pozwalają mu wybrać tak tendencyjnego przykładu. Zbyt był uczciwy, by się ich wypierać, ale jednak szkoda. Pożałował, że nie służy partii reakcyjnej, gdyż wtedy mógłby wykorzystać swój pomysł przy aprobacie sumienia. Opamiętał się na myśl o palmach akademickich, ale z niejaką melancholią.

Lucien spokojnie oczekiwał rezultatów ojcowskiej medytacji. Uważał się za zwolnionego z troski o eksplikację przysłowia i przestał zupełnie o nim myśleć. Przedłużająca się cisza nużyła go. Powieki ciążyły mu, ziewał przeciągle. Ojciec, z twarzą skrzywioną od wysiłku, odczuł to jako wyrzut i zdenerwował się jeszcze bardziej. Na próżno poddawał swój umysł torturom – nic nie przychodziło mu do głowy. Wyścig zbrojeń tylko mu przeszkadzał. Wydawało się, że zrósł się z przysłowiem, próbował o nim zapomnieć, ale tym bardziej go przesładował. Pan Jacotin rzucał na syna niespokojne, ukradkowe spojrzenia.

Kiedy już stracił nadzieję i przygotowywał się do wyznania swej niemocy, wpadł na inny pomysł, będący jak gdyby transpozycją wyścigu zbrojeń, który stał się dla niego obsesją. Nadal chodziło o wyścig, ale sportowy, wyścig, do którego przygotowują się dwie ekipy wioślarzy, jedna metodycznie, druga zaś niedbale.

– Dobra – rozkazał pan Jacotin – pisz!

Na wpół śpiący Lucien podskoczył i wziął pióro do ręki.

– Spałeś, daję słowo.

– Ach, skąd. Zastanawiałem się. Zastanawiałem się nad przysłowiem. Ale nic mi nie przyszło do głowy.

Ojciec zaśmiał się pobłaźliwie, potem wzrok jego znieruchomiał i zaczął dyktować:

– W piękne niedzielne popołudnie, przecinek, nasz wzrok przykuwają ładne, zielone przedmioty o wydłużonej formie. Co to takiego, znak zapytania, Z daleka może się wydawać, że mają długie ramiona, ale to nic innego jak wiosła, a zielone przedmioty to w rzeczywistości dwie łodzie wyścigowe kołyszące się miękko na falach Marny.

Lucien, ogarnięty niejasnym niepokojem, ośmielił się podnieść głowę i spojrzał na ojca lekko przerażony. Ale ojciec nie widział go, zbyt był zajęty szlifowaniem zdania, które pozwoliłoby mu przejść do przedstawienia rywalizujących drużyn. Z otwartymi ustami, na wpół przymkniętymi oczami, obserwował wioślarzy i skupiał na nich myśli. Po omacku wyszukał ręką pióro.

– Daj. Sam napiszę. To wygodniej niż dyktować.

Zaczął gorączkowo pisać. Myśli i słowa przychodziły mu z łatwością, w należyтым a upajającym porządku, który skłaniał go do liryzmu. Czuł się bogaczem, panem wspaniałych, kwiecistych włości. Lucien przyglądał się przez chwilę, nie bez niepokoju, jak natchnione pióro biegnie po zeszytcie i w końcu zasnął przy stole. O jedenastej ojciec obudził go i oddał mu zeszyt.

– Teraz mi to przepiszesz. Poczekam, aż skończysz, i przeczytam. Uważaj na przestankowanie.

– Już późno – powiedział Lucien. – Może lepiej, jeśli się położę, a rano wstanę wcześniej?

– Nie, nie. Trzeba kuć żelazo, póki gorące – Proszę – jeszcze jedno przysłowie.

Pan Jacotin uśmiechnął się łakomie i dodał:

– To również objaśniłbym bez trudu. Gdybym miał czas, nie trzeba by mnie było namawiać. Bardzo piękny temat. Mógłbym napisać ze dwanaście stron. Czy ty chociaż dobrze je rozumiesz?

– Co?

– Pytam, czy rozumiesz przysłowie: „Trzeba kuć żelazo, póki gorące”.

Luciena znowu ogarnęło zniechęcenie. Ale opanował się i odpowiedział przymilnie:

– Tak, tato. Dobrze je rozumiem. Ale muszę przepisać wypracowanie.

– Tak, tak, przepis – odparł pan Jacotin tonem zdradzającym pogardę dla czynności drugorzędnych.

Tydzień później nauczyciel oddał poprawione wypracowanie.

– W sumie daleki jestem od zadowolenia. Z wyjątkiem Bérucharda, który dostał 13, oraz pięciu lub sześciu innych, którzy zrobili je ledwie dostatecznie, nikt nie zrozumiał zadania.

Wyjaśnił, co trzeba było zrobić, po czym ze sterty wypracowań poprawionych czerwonym atramentem wybrał trzy. Pierwsze było Bérucharda i o nim mówił pochwalnie. Trzecie – Jacotina.

– Kiedy czytałem twoje wypociny, Jacotin, zdumiał mnie sposób pisania, do jakiego mnie nie przyzwyczyłeś. Wydał mi się on tak nieprzyjemny, że bez wahania wlepiłem ci pałę. Jeśli zdarzało mi się krytykować lakoniczność twych wywodów, to teraz muszę powiedzieć, że wpadłeś w drugą skrajność. Znalazłeś sposób, by zapełnić sześć stron bez związku z tematem. Najbardziej jednak nieznośny jest ów odświętny ton, jaki uznałeś za stosowne przyjąć.

Nauczyciel mówił jeszcze długo o wypracowaniu Luciena i przedstawił je uczniom jako wzór tego, jak pisać nie należy. Przeczytał na głos parę fragmentów, które wydały mu się szczególnie budujące. W klasie rozległy się chichoty, parsknięcia, przytłumione śmiechy. Lucien był bardzo blady. Zraniony został w miłości własnej, zraniony również w swych uczuciach synowskich.

Miał żal do ojca o to, że postawił go w takiej sytuacji, o to, że teraz koledzy wyśmiewają się z niego. Był średnim uczniem, ale niedbałość i niewiedza nigdy nie wystawiły go na takie pośmiewisko. W zadaniach z francuskiego, łaciny czy algebry, nawet przy swoich brakach, miał pewne wyczucie konwencji i szkolnej elegancji. Kiedy zaspany, z czerwonymi oczami przepisywał w nocy brulion pana Jacotin, niewiele się mylił co do tego, jak wypracowanie zostanie przyjęte. Nazajutrz wahał się nawet, czy oddać je nauczycielowi, wyraźnie czuł jego fałszywy ton i niezgodność z klasowymi zwyczajami. W ostatnim momencie instynktowna wiara w nieomyślność ojca zadecydowała.

Lucien żałował teraz tego odruchu wiary, by tak rzec, religijnej, która przemówiła głęśniej niż oczywistość. W co wplątał się ojciec komentując przysłowie? Pewnie nie zniósłby tego poniżenia – pały z francuskiego. Przejdzie mu ochota do pisania wypracowań. A Béruchard dostał 13. Ojciec szybko nie przyjdzie do siebie po tym ciosie. To będzie dla niego nauzką.

Przy stole pan Jacotin był rozbawiony i prawie miły. Oczy błyszczały mu gorączkową nieco beztroską, kokieteryjnie nie zadał od razu pytania, które paliło mu wargi. Atmosfera przy obiedzie nie różniła się specjalnie od normalnej. Wesołość ojca, zamiast ośmielić domowników, była raczej dodatkową torturą. Pani Jacotin i jej córki na próżno usiłowały dostosować się do nastroju pana domu. Natomiast ciotka Julia uznała za swój obowiązek podkreślić swym naburmuszeniem i obrażonym zdziwieniem, jak dalece jego dobry humor jest dla rodziny zaskoczeniem. Pan Jacotin sam to wyczuł i szybko sępnął.

– A co z tym przysłowiem? – spytał nagle.

Jego głos zdradzał uczucie niepokoju raczej niż niecierpliwości. Lucien poczuł, że w tym momencie może unieszczęśliwić ojca. Teraz patrzył na niego swobodnie rozumiejąc, że przez wiele lat biedak żył w poczuciu własnej nieomyślności i że wyjaśniając przysłowie wpędził się w niebezpieczną przygodę. Domowy tyran straci nie tylko twarz wobec rodziny, ale i szacunek do samego siebie. To będzie cios. W kuchni, przy stole, przy żadnej zemsty ciotce Julii, dramat, który jego jedno słowo mogło rozpętać, był już wstrząsająco rzeczywisty. Lucien przeląkł się ojcowskiej słabości, wielkoduszna litość zawładnęła jego sercem.

– Bujasz w obłokach? Pytam, czy nauczyciel oddał moje wypracowanie? – powiedział pan Jacotin.

- Twoje wypracowanie? Tak, oddał.
- I jaki stopień dostaliśmy?
- 13.
- Nieźle. A Béruchard?
- 13.
- A jaki był najlepszy stopień?
- 13.

Twarcz ojca pojaśniała. Spojrzał triumfująco na ciotkę Julię, jakby to wbrew niej otrzymał dobry stopień. Lucien spuścił oczy i wsłuchiwał się w siebie ze wzruszeniem. Pan Jacotin dotknął jego ramienia i powiedział z dobrocią:

– Widzisz, drogie dziecko, kiedy człowiek zabiera się do jakiejś pracy, to przede wszystkim musi dobrze się zastanowić. Zrozumieć problem to zrobić trzy czwarte zadania. Oto, co chcę wbić ci do głowy raz na zawsze. I to mi się uda. Włożę w to tyle pracy, ile będzie trzeba. Zresztą od dziś wszystkie zadania z francuskiego będziemy robić razem.

Legenda połdawska

W mieście Czwercku żyła sobie stara panna imieniem Marichella Borbojé, która zasłużenie zdobyła sobie reputację osoby pobożnej i cnotliwej. Przynajmniej raz dziennie wysłuchiwała mszy, dwa razy w tygodniu szła do komunii, hojnie łożyła na Kościół, haftowała obrusy na ołtarze i rozdawała jałmużnę biednym najbardziej godnym polecenia. W każdej porze roku ubierała się na czarno, z mężczyznami rozmawiała tylko w wypadku skrajnej konieczności i zawsze ze spuszczoneymi oczami, toteż nie budziła żadnej z tych złych myśli, które prowadzą do grzechu lubieżności, i sama też ich nie znała. Wreszcie, jakby po to, by mogła osiągnąć doskonałość, Bóg zesłał na nią wielką i bolesną próbę, która – o cudzie gorejącego serca! – spotęgowała jeszcze jej pobożność.

Panna Borbojé z najczulszą i największą troską wychowywała osieroconego siostrzeńca Bobisława. To miłe, wielce obiecujące dziecko stara panna postanowiła wykształcić na notariusza i w prostocie swej powierzyła je państwowemu liceum – polegając na reputacji pedagogów tego zakładu – gdzie w szybkim tempie chłopak się zdemoralizował. Zwłaszcza filozofia okazała się dlań szczególnie zębna, jak i CO to często się zdarza pod kierunkiem nauczycieli ateuszów. Nauczył się tam mechanizmu ludzkich namiętności, by tym gorliwiej oddawać się własnym i wykorzystywać cudze. Zaczął palić, pić i patrzeć na kobiety oczami błyszczącymi ohydny pożądaniam. Ponieważ nigdy tak nie patrzył na starą pannę, a od wina robił się wesół, tak iż mogło to uchodzić za dobry humor, nawet nie podejrzewała, że jej siostrzeniec schodzi na manowce. Po ukończeniu liceum Bobisław rozpoczął pracę u notariusza z Czwercku, by przyuczyć się zawodu. Wtedy właśnie objawił całą swą podłą naturę. Pewnego popołudnia, pod nieobecność notariusza, Bobisław ukradł pieniądze z kasy, zgwałcił notariuszową i jej dwie służące, po czym zmusił je, by zeszły z nim do piwnicy, gdzie razem upili się wódką i różnymi winami. Siedmiu córek notariusza na szczęście nie było w domu, ale szkody i tak były znaczne. Okradziony i znieważony mąż przepędził aplikanta i poskarżył się pannie Borbojé.

Stara panna, z sercem rozdartym odkryciem tak przedwczesnego zepsucia, ofiarowała swój ból Bogu i zabrała się do naprowadzania siostrzeńca na drogę cnoty. Był to trud daremny. Ten nędznik miał się dziesięciu rozmaitych fachów, w żadnym nie wytrwał i staczał się

od upadku do upadku. W mieście Czwerzsku mówiono już tylko o jego wybrykach, orgiach, awanturach, o dziewczętach i mężatkach, które skazywał na wstyd i hańbę, o dziwkach, z którymi się wiązał. Przez pięć lat panna Borbojé wierzyła, że któregoś dnia siostrzeniec się poprawi, niezmordowanie udzielała mu dobrych rad i pobożnych nagan oraz takiej ilości gotówki, ile było trzeba, by jej rady zaowocowały. Wreszcie przekonała się, że wyrozumiałość tylko utwierdza siostrzeńca w grzechu, i pomyślała, że niedostatek przywoła go do porządku. Toteż kiedy pewnego wieczoru poprosił ją o pieniądze, miała odwagę powiedzieć „nie”. Tak się rzeczy miały, kiedy wybuchła wojna.

Od dawna lud połdawski żył w niezgodzie z sąsiednim ludem małmuckim. Nowe spory wybuchały co chwila między dwoma wielkimi państwami, a szansę na porozumienie były tym mniejsze, że obydwaj miały rację. Sytuacja była już bardzo napięta, kiedy poważny incydent dopełnił czary. Chłopczyk z Małmucji beztrąsko nasikał przez granicę i zrosił terytorium połdawskie. Tego było za wiele dla połdawskiego ludu – jego honor został zbeszczeszczony i natychmiast ogłoszono mobilizację.

Miasto Czwerzsk ogarnęło wielkie poruszenie. Mężczyźni zostali wezwani do obrony ojczyzny w niebezpieczeństwie, a kobiety zabrały się do robienia swetrów. Panna Borbojé wyróżniła – się swetrem tyleż ściśle robionym co obszernym, ona też zapaliła w kościele najgrubsze świece na intencję zwycięstwa wojsk połdawskich Bobisław skończył dwudziesty ósmy rok życia i został z miejsca zmobilizowany do pułku huzarów stacjonujących w mieście. W nowym mundurze i lederwerkach, w czako z piórem na głowie i czterema stopami szabli objijającej się o kolano poczuł się szalenie ważny i zaraz zaczął wykorzystywać przywileje, dzielnego obrońcy ziemi połdawskiej. Jego bezczelność i zuchwałość były wprost bezgraniczne. Oczekując na wymarsz do boju traktował wojnę jako okazję do pijaństwa, obżarstwa i zabawy, a jego wymagania wobec cywilów z dnia na dzień stawały się coraz bardziej wygórowane pod pretekstem, że nastawia za nich pysk. Nie było w mieście kobiety ani dziewczyny, na którą nie ośmieliłby się podnieść oczu i ręki, gonił je i przyciskał nawet w kościele, nawet w ich własnych domach, sięgając bezwstydnie do kieszeni ojca lub przerażonego męża, ograbiając w razie potrzeby przechodniów pod pozorem zbiórki na obronę kraju. Panna Borbojé, która do tej pory zachowała resztki uczucia dla wykolejonego siostrzeńca, znenawidziła go z całą żarliwością i siłą, do jakiej tylko cnota jest zdolna wobec kreatury ucieleśniającej najpodlejsze występki. Nienawiść ta, którą uważała za swój najświętszy obowiązek, nie powstrzymywała wojaka od składania jej wizyt. Jego osobę zapowiadał stek ohydnych przekleństw rozlegających się już na rogu ulicy, na której mieszkała stara panna. Zataczając się i zawadzając szablą o meble, nie uznając innego pozdrowienia jak bluźnierstwo, nakazywał jej z wrzaskiem i rzucając obelgami wyciągać pieniądze, i to szybko. Niejednokrotnie, kiedy nie spieszyła się z wykonaniem polecenia, obnażał szablę i groził świętej dziewicy, że ją wzdłuż przepołowi.

Wreszcie po sześciu miesiącach hultajskiego i zbójckiego życia huzar Bobisław załadowany został wraz z koniem na wagon i wysłany prosto na front. W mieście Czwerzsku wszyscy odetchnęli z ulgą. Radość tych pocziwych ludzi była tak wielka, że w dniu jego wyjazdu ogłoszono piękny komunikat, który zresztą przeszedł nie zauważony. Pannie Borbojé zdawało się, że zaczyna nowe życie, jasne i pełne spokoju. Wróciła do równowagi. W swych modlitwach odnajdywała akcenty dziecięcej słodyczy, a skrzydła serafinów szeleściły w jej snach.

Od wyjazdu Bobisława minęło sześć miesięcy, wojska połdawskie zaznały różnych doli i niedoli, kiedy epidemia zakaźnej grypy spustoszyła miasto Czwerzsk. Panna Borbojé była jedną z pierwszych ofiar. Śmierć przyjęła pogodnie – spisała testament na rzecz najbardziej nabożnych akcji w kraju, z rzeczową dewocją przyjęła ostatnie sakramenty i zmarła o piątej nad ranem z imieniem Boga na ustach. Kiedy wieść o tym rozeszła się po mieście, wszyscy zgodnie orzekli, że wieczorem panna Borbojé będzie jeść kolację z aniołami w Raju.

Dochodząc do Bram Nieba panna Borboję ujrzała dziwne widowisko, którego sensu początkowo nie pojęła. Drogi zapchane były kolumnami żołnierzy defilujących między dwoma rzędami cywilów, którzy leżeli lub siedzieli w kucki i przyglądali się wojskowym wzrokiem pochmurnym i pozbawionym złudzeń. Panna Borboję spokojnie dreptała u boku kolumny wstępującej, kiedy usłyszała, że ktoś woła ją po nazwisku. Odwróciwszy głowę ujrzała wśród siedzących na skraju drogi cywilów notariusza, którego żonę zhańbił Bobisław. Pocziwiec wyprzedził ją w grobie o dwa tygodnie, a teraz złożył jej kondolencje i z dobroliwie ironicznym uśmiechem spytał, dokąd się tak śpieszy.

– Idę się rozliczyć z mojego życia – odpowiedziała.

– Niestety! – westchnął notariusz – czas zdawania rachunków nieprędko dla nas nastąpi.

– To pan to mówi. Chciałabym wiedzieć, dlaczego miano by odmówić mi...

– Sprawa jest prosta, wystarczy spojrzeć trzeźwo, żeby się o tym przekonać. Od kiedy na granicach połdawskich szaleje wojna, tutaj zajmują się tylko żołnierzami. Wchodzą do nieba czwórkami, bez żadnego rachunku sumienia, bez rozliczania się z grzechów, jakie mogli popełnić.

– Niemożliwe – wyszeptła stara panna. – To byłoby straszne...

– Przeciwnie, nic bardziej sprawiedliwego. Ci, co umierają za świętą sprawę, zasłużyli sobie na Niebo. I tak jest właśnie w przypadku połdawskich żołnierzy, którzy walczą o słuszną sprawę i mają za sobą Boga. Tak jest również w przypadku wojowników małmuckich. Nie mówiono nam tego, ale Bóg jest z nimi także. W sumie to bardzo wielu ludzi, a boję się, że wojna potrwa jeszcze długo. Po obu stronach morale armii jest wysokie, generałowie nigdy nie wykazywali tyle geniuszu, nie ma co liczyć na to, że zajmą się nami przed zakończeniem wojny. I tak będziemy mieli szczęście, jeśli nasze papiery nie zawieruszą się w tym bałaganie.

Początkowo panna Borboję była bardzo przygnębiona rewelacjami notariusza. Po namyśle zwątpiła w ich prawdziwość. Za życia był dość uczciwym człowiekiem, ale nigdy nie przejawiał wielkiej żarliwości w sprawach religii, a poza tym zyskał sobie opinię skapca i żarłoka. Nie trzeba było aż tyle, by potępić jego duszę.

Żołnierze, pieszo i konno, ze śpiewem wkraczali w jaśniejące Bramy Nieba, których szeroko otwarte wrota tworzyły szeroką aleję. Przy bramie na obłoku siedział święty Piotr: czuwał nad defiladą wojsk i liczył żołnierzy. Panna Borboję, w nieświadomości czystego sumienia, wyszła odważnie na środek alei. Podszedł do niej archanioł i odezwał się niewypowiedzianie słodkim głosem, który brzmiał już jak rajska muzyka:

– Zawracaj, stara. Dobrze wiesz, że wstęp na tę aleję jest cywilom wzbroniony.

– Piękny aniele, zapewne nie wiesz, kim jestem – panna Borboję z Czwerczka. Mam sześćdziesiąt osiem lat, jestem jeszcze dziewicą i całe życie żyłam w miłości Bożej i bojaźni przed świętym jego imieniem. Proboszcz naszej parafii, mój spowiednik...

Wyliczając w niewinności swojej cnoty upoważniające ją do pobłażliwości trybunału szła cały czas naprzód mimo protestów archanioła, który daremnie próbował jej przerwać.

– Przecież mówię ci, że aleja...

– ...Modlitwa poranna, dziękczynienia, msza o szóstej bez względu na pogodę. Po mszy specjalna inwokacja do św. Józefa i podziękowania Najświętszej Pannie. Różaniec o dziesiątej, czytanie rozdziału z Ewangelii, *benedicite* w południe...

Wbrew rozkazom archanioł przysłuchiwał się jej uważnie. Nie ma nic bardziej interesującego i pasjonującego dla stworzeń niebieskich jak litanie zasług i dobrych uczynków starej panny dewotki. Ciekawość, z jaką na tym padole czytamy powieść Aleksandra Dumas, nie daje nam najślabszego pojęcia o dreszczu bolesnej rozkoszy, jaka je ogarnia, kiedy słyszą o tysiącach drobnych codziennych wysiłków na rzecz Dobra.

– Posłuchaj – powiedział dobry archanioł – twój przypadek wydaje mi się interesujący. Spróbuję coś dla ciebie zrobić.

Zaprowadził pannę Borboję do stóp obłoku, na którym tronował święty Piotr, i wzbi-

wszy się w górę jednym uderzeniem skrzydeł zaszeptał coś do ucha wiecznego Klucznika. Ten słuchał go uważnie, nie tracąc jednak z oczu maszerujących żołnierzy.

Sprawa była prawie załatwiona, zakaz dla panny Borbojé uchylony, kiedy inny archanioł nachylił się nad lewym uchem świętego Piotra i poinformował go, że na granicy południowej rozpoczęła się wielka ofensywa wiosenna. Święty Piotr gestem ręki jakby zmiotł wszystkich cywilów i zaczął wydawać rozkazy.

Odepchnięta do cywilów siedzących przy drodze, którą przyszła, panna Borbojé, z sercem pełnym strasznego niepokoju, szła teraz naprzeciw napływającym coraz liczniej wojskom. Piechurzy, strzelcy, dragoni, artylerzyści kroczyli mniej więcej po porządku, mieszając się tylko niekiedy z innymi rodzajami broni i głośny zgiełk unosił się nad wielką maszerującą armią. Oficerowie wykrzykiwali rozkazy, żołnierze strzelali, lżyli się wzajemnie, wyzywali cywilów, dowcipkowali na temat kobiet i chórem ryczeli świńskie piosenki należące do bohaterskich tradycji. Od czasu do czasu nie kończący się pochód zatrzymywał się. Jedne szeregi następowały na drugie, a bałagan i przymusowe postoje rozniecały burzę złorzeczeń: artylerzyści klęli piechurów, ci zaś wymyślali dragonom i grenadierom. Ogłuszona zgiełkiem, panna Borbojé była już bliska myśli, że znalazła się w piekle. Ogłupiała, szła wzdłuż drogi, najczęściej rowem, szukając w tłumie apatycznych cywilów notariusza z Czwerczska albo jakiejś innej znajomej osoby, której towarzystwo byłoby jej pociechą. Kilka razy buchnął jej prosto w twarz plugawy refren trąbiony przez sto gardeł. Zmęczona i zrozpaczona, usiadła wreszcie w przydrożnym rowie i zalała się łzami.

Na wprost panny Borbojé stał oddział huzarów, który miał zatarasowaną drogę. Na czele oddziału jechał stary kapitan z siwym wąsem, który pod pachą niósł dumnie własną głowę w huzarskim czako i uspokajał niecierpliwego wierzchowca. Zdenerwowany przedłużającym się czekaniem, nadział głowę na szablę i podniósł ją w wyciągniętej ręce, żeby zobaczyć, co się dzieje na przedzie. I nagle uwagę panny Borbojé zwrócił krzyk głośny i pełen oburzenia.

– Czwerczska cholera! – krzyczał stary kapitan. – Znów te świny z taborów! Mogłem się tego domyślić! Bydło! Tchórze! Trzymają się na koniu jak żandarm na nogach! Tabory w Raju! Czemu nie pracownicy gazowni? Do krośset Czwerczsków!

I wszyscy huzarzy stojąc w strzemionach podchwycili za nim:

– Precz z taborami! Wszyscy żołnierze z taborów to szuje! Tabory do piekła!

Po czym zgodnie zaintonowali hymn na swą własną chwałę, zaczynający się od słów:

*Kiedy czwerczyscy huzarzy idą ulicami,
Wtedy czwerczskie dziewczyny mają nogami...*

Panna Borbojé nie mogła już wątpić, że ma przed sobą huzarów z czwerczskiego garnizonu. Poznała zresztą starego kapitana z siwym wąsem, gdyż niegdyś widziała, jak szlifował szablą bruki miasta. Miał nawet kochankę, dziewczynę lekkich obyczajów, której kupował futra i jedwabne suknie. Stara panna zadrżała na myśl, że Bramy Nieba otwarte są dla mężczyzny winnego posiadania kochanki. Dostrzegła w szeregach wiele jeszcze znajomych twarzy, między innymi młodego podporucznika, ładnego jak dziewczyna. Lubił przebywać w towarzystwie pięknych jak on chłopców i opowiadano o nim różne rzeczy, których dobrze nie rozumiała, uważała je jednak za podejrzone, gdyż damy zawsze ściszały przy tym głos. I oto szedł teraz prosto do Raju.

Panna Borbojé przyglądała się ostatnim szeregom i wtem wyrwał się z jej piersi głośny krzyk zgrozy i zdumienia. W kawalerzyście stojącym z tyłu kolumny rozpoznała swego nicponia, Bobisława. W odruchu buntu poderwała się z ziemi. Ten hultaj bez serca i czci, ten bandyta, ten cyniczny rozpustnik oddający się najbardziej haniebnym występkom, bez problemu dostaje się do Raju, podczas gdy ona latami czekać będzie na wstęp, którego być może jej

odmówią. Na wspomnienie swego skromnego życia starej panny, swych modlitw i dobrych uczynków, uczucie buntu zalewające jej serce ustąpiło miejsca nieodwracalnemu, zdawałoby się, głębokiemu zniechęceniu. Tymczasem Bobisław również ją poznał i przepychał się na koniu skrajem drogi w jej kierunku.

– No proszę, starucha! – powiedział. – Oto, gdzie się spotykamy.

„Starucha”, wyrażenie połdawskie, które dosłownie znaczy „stara”, ma odcień pejoratywny, jak najbardziej lekceważący. W ustach Bobisława zabrzmiało to zjadliwie.

– To zabawne, że oboje zdechliśmy w tym samym czasie – powiedział. – Jak widzisz, nie skończyłem aż tak źle, jak mi wróżyłaś. Tym razem przyszłość mam zapewnioną. Jeśli dobrze rozumiem, nie możesz powiedzieć tego o sobie, co?

Panna Borbojé nie mogła znieść okrutnej ironii, ukryła twarz w dłoniach i rozszlochała się. Rozczulony Bobisław powiedział łagodnie:

– Nie płacz. W gruncie rzeczy nie jestem taki zły, na jakiego wyglądam. Czekaj, wyciągnę cię z kłopotu. Siadaj za mną.

Panna Borbojé zawahała się, ale że kolumna właśnie ruszyła do przodu, Bobisław schylił się, schwycił ją w ramiona i posadził okrakiem za sobą.

– Obejmij mnie w pasie i mocno się trzymaj. Nie bój się pokazać uda, nikt od tego nią oślepnie. A co nowego w Czwerczsku?

– Umarł notariusz. Dopiero co spotkałam go na skraju drogi.

– Biedaczysko. Zgwałciłem mu żonę, pamiętasz?

Panna Borbojé bynajmniej nie czuła się dobrze i zastanawiała się, czy nie poprosić Bobisława, żeby pozwolił jej zsiąść. Dla starej panny, opatrzonej najświętszymi sakramentami, była to doprawdy dziwna sytuacja: cwałowała siedząc za huzarem na końskim zadzie, pośród żołnierzy, którzy na ten widok śmiali się do rozpuku. Ale nie to było najgorsze, jeszcze nie to. Jeżeli ktoś ma za sobą życie strawione na poszukiwaniu chrześcijańskiej doskonałości, to odczuwa piekący wstyd, gdy zbawienie zawdzięczać musi hultajowi zbrukanemu najczarniejszymi grzechami. Odczuwa również nie mniej piekący wstyd, kiedy uświadomi sobie, że wkracza do Nieba podstępem.

– Nikogo nie widziałem, nikogo nie brałem – powiedział Bobisław. – Trzymaj się mocno.

„Niezbadane są wyroki Opatrzności” – pomyślała panna Borbojé z odrobiną hipokryzji. Konie szły stępą, częste przystanki przedłużały jeszcze jej mękę. Wreszcie grupa kawalerzystów wjechała na aleję na wprost Bram Nieba. Trąby niebiańskie zaintonowały marsz czwerczskich huzarów i czoło oddziału wkroczyło pod sklepienie bramy. Rozparty na obłoku święty Piotr czujnym okiem śledził wchodzących żołnierzy.

– Schowaj się za mną – szepnął Bobisław.

Rada była zbyteczna. Panna Borbojé, skulona ze wstydu i strachu, w swoim czarnym stroju sprawiała wrażenie kupki łachów zapomnianej na końskim zadzie. Koń już wsuwał szyję we wrota, kiedy z obłoku rozległ się gromki głos:

– Hej tam, żołnierzu, stop! – krzyczał święty Piotr. – Cóż to za kobietę posadziłeś za sobą?

Stara panna ze strachu nie mogła się dłużej utrzymać i omal nie spadła z wierzchowca. Kawalerzysta Bobisław podniósł się lekko w strzemionach i swobodnym ruchem uchylwszy czako odpowiedział świętemu Piotrowi głosem męskim i pewnym:

– To dziwka pułkowa!

– A, w porządku... Jechać!

Panna Borbojé z jękiem przełknęła to najwyższe upokorzenie, ale w sekundę później nie myślała już o tym, gdyż weszła do Bożego Królestwa, gdzie „jak” i „dlaczego” nie znaczą już absolutnie nic.

Komornik

W małym francuskim miasteczku mieszkał komornik, który nazywał się Malicorne i tak skrupulatnie wywiązywał się ze swych smutnych obowiązków, że nie zawahałby się zająć nawet własnych mebli, ale nie nadarzyła się po temu okazja, a zresztą prawo nie zezwala ponoć komornikom działać przeciw samym sobie. Pewnej nocy, leżąc obok żony, Malicorne zmarł we śnie i natychmiast stanął przed obliczem świętego Piotra, który sędzi w pierwszej instancji. Wielki święty Klucznik przyjął go chłodno.

– Nazywasz się Malicorne i jesteś komornikiem. Niewielu jest ich w Raju.

– Nie szkodzi – odparł Malicorne. – Nie zależy mi na towarzystwie kolegów.

Bacząc pilnie na stadko aniołów, które ustawiały właśnie ogromną misę wypełnioną, jak się wydawało, wodą, święty Piotr uśmiechnął się ironicznie.

– Wydaje mi się, chłopcze, że robisz sobie pewne złudzenia.

– Jestem pełen wiary – odrzekł Malicorne – to wszystko. Zresztą sumienie mam spokojne. Jestem oczywiście ohydny grzesznikiem, naczyniem nieprawości, nieczystym robakiem. Niemniej prawdą jest, że nikomu nie jestem winien ani grosza, że regularnie chodziłem na mszę i że wywiązywałem się z moich obowiązków komornika ku ogólnemu zadowoleniu.

– Doprawdy? – zdziwił się święty Piotr. – Spójrz na tę ogromną misę, która uleciała do nieba wraz z twym ostatnim tchnieniem, Jak myślisz, co ona zawiera?

– Nie mam pojęcia.

– Pełna jest łez wdów i sierot, które doprowadziłeś do rozpacz.

Komornik przyjrzał się misie i jej gorzkiej zawartości, po czym odparł nie zmieszany:

– Możliwe. Jeżeli wdowa i sierota są złymi płatnikami, trzeba uciec się do zajęcia ich mebli. Nie obywa się przy tym bez łez i zgrzytania zębów, zdaje pan sobie z tego sprawę. Toteż nic dziwnego, że misa jest pełna. Dzięki Bogu, dobrze pracowałem i nie siedziałem beczynn.

Ten spokojny cynizm wzburzył świętego Piotra, który krzyknął do aniołów:

– Do Piekła z nim! Niechaj go tam przypieką na żywym ogniu i jątrzą jego rany przez wieczność podlewając je dwa razy dziennie łzami wdowy i sieroty!

Anioły chyżo nadbiegły, gdy Malicorne powstrzymał je zdecydowanym gestem.

– Chwileczkę – powiedział – składam apelację do Boga w sprawie niesprawiedliwego wyroku.

Procedura jest procedurą. Święty Piotr, rad nierad, musiał zawiesić wykonanie wyroku. Bóg nie kazał na siebie czekać i poprzedzony grzmotami przyplął na obłoku. On również nie darzył komorników sympatią, świadczył o tym szorstki ton, jakim zwrócił się do Malicorne'a.

– Panie Boże – powiedział komornik – oto, co się dzieje: święty Piotr imputuje mi łzy wdów i sierot, które popłynęły wskutek mojej działalności jako komornika, i postanawia, że te palące łzy będą narzędziem mego wiecznego cierpienia. To niesprawiedliwe.

– W rzeczy samej – odpowiedział Bóg zwracając się surowo do świętego Piotra. – Komornik, który zajmuje meble biednego, jest tylko narzędziem ludzkiego prawa, za które nie ponosi odpowiedzialności. Może tego tylko żałować w swym sercu.

– Właśnie – zaperzył się święty Piotr. – On jest jak najdalszy od jakiegokolwiek współczucia dla swoich ofiar, gorzej, przed chwilą wyrażał się o nich lekceważąco, znajdując w tym cyniczne upodobanie.

– Ależ nie – zaprzeczył Malicorne. – Wyraziłem zadowolenie z tego, że zawsze sumienie spełniałem moje obowiązki, a także z tego, że nigdy mi pracy nie brakowało. Czy to zbrodnia kochać swój zawód i dobrze go wykonywać?

– Na ogół nie jest to zbrodnia, przeciwnie – zgodził się Bóg. – Twój przypadek jest dość szczególny, ale owszem, gotów jestem przyznać, że sąd świętego Piotra był zbyt pochopny. Przyjrzyjmy się teraz twoim dobrym uczynom. Jakież one są?

– Panie Boże, jak już to mówiłem świętemu Piotrowi, umarłem nie będąc nikomu nic dłużny i zawsze bywałem punktualnie na nabożeństwach.

– A co ponadto?

– Ponadto? Przypominam sobie, że piętnaście lat temu, wychodząc po mszy, dałem biednemu 10 sous.

– Zgadza się – zauważył święty Piotr. – To była zresztą fałszywa moneta.

– Spokojny jestem – odparł Malicorne – że znalazł sposób, aby ją upłynnić.

– Czy to wszystkie twoje aktywa?

– Panie Boże, nie pamiętam dobrze. Mówi się przecież, że lewica nie powinna wiedzieć, co czyni prawica.

Aż nazbyt łatwo było sprawdzić, że za tymi pięknymi słowami nie krył się żaden dobry uczynek ani żadna pobożna myśl, które mogłyby zaważyć przed Najwyższym Trybunałem. Bóg był wyraźnie zmartwiony. Powiedział więc do świętego Piotra po hebrajsku, aby komornik go nie zrozumiał:

– Twoja nieostrożność zawiodłaby nas na manowce. Ten komornik jest oczywiście niezbyt ciekawym jegomościem i powinien znaleźć – się w Piekło, ale twoje oskarżenie było niesłuszne, a co więcej, mocno uraziłeś go w jego zawodowej dumie. Winniśmy mu rekompensatę. Co mam z nim zrobić? Nie mogę przecież otworzyć przed nim Bram Raju. To byłby skandal. Więc co?

Święty Piotr milczał posępnie. Gdyby to od niego zależało, los komornika byłby przesądzony.

Bóg zwrócił się zatem do Malicorne'a i powiedział nienaganną francuszczyzną:

– Jesteś grzesznikiem, ale błąd świętego Piotra cię jednak uratował. Uniknąłeś Piekła i nie pošlę cię tam teraz. Ponieważ niegodny jesteś Raju, odsyłam cię na ziemię, abyś dalej wykonywał zawód komornika i spróbował wykorzystać szansę na niebiańskie szczęście. Idź i ciesz się z przyznanej ci zwłoki.

Budząc się nazajutrz obok żony Malicorne mógł przypuszczać, że wszystko to mu się przyśniło, ale nie dał się na to nabrać i zaczął się zastanawiać, jak by tu zapewnić sobie zbawienie. Myślał o tym jeszcze, kiedy o ósmej wszedł do biura. Jego kancelista, stary Bourrichon, z którym pracował od trzydziestu lat, siedział już przy stole.

– Bourrichon – powiedział komornik – daję ci podwyżkę 50 franków miesięcznie.

– Pan jest zbyt dobry, panie Malicorne – skłonił się Bourrichon składając ręce. – Bardzo panu dziękuję, panie Malicorne.

Wyrazy wdzięczności nie wzruszyły serca komornika. Wyjął z szafy nowy kajet i pionową linią podzielił pierwszą stronę na dwie kolumny. U góry lewej kolumny napisał okrągłymi literami: „Złe uczynki”, a po prawej: „Dobre uczynki”. Obiecał sobie być surowym wobec siebie samego i nie zapominać o niczym, co świadczyłoby przeciwko niemu. Ożywiony duchem surowej sprawiedliwości, ocenił swe poranne zajęcia. Nie znalazł nic, co mogłoby figurować w lewej kolumnie, zaś w kolumnie dobrych uczynków napisał: „Spontanicznie podwyższyłem pensję mego kancelisty Bourrichona o 50 franków, choć wcale na to nie zasłużył”

Koło dziewiątej zjawiał się pan Gorgerin, jego najlepszy klient, zamożny właściciel posiadający czterdzieści dwie kamienice w mieście. Brak pieniędzy u niektórych lokatorów powodował, że często musiał się uciekać do usług Malicorne'a. Tym razem chodziło o ubogą rodzinę zalegającą z czynszem, już dwa miesiące.

– Nie mogę dłużej czekać. Od sześciu miesięcy zadowolam się obietnicami. Trzeba z

tym skończyć.

Malicorne, nie bez obrzydzenia, usiłował bronić nieuczciwych lokatorów.

– Zastanawiam się, czy nie opłacałoby się panu udzielić im jeszcze zwłoki. Ich meble nie są warte trzech groszy. Dochód ze sprzedaży nie pokryje jednej dziesiątej wierzytelności.

– Dobrze o tym wiem – westchnął Gorgerin. – Byłem zbyt dobry. Zawsze jest się zbyt dobrym. Ci ludzie tego nadużywają.; Dlatego proszę, żeby zrobił pan, co należy. Pomyśl pan tylko, mam sto pięćdziesiąt jeden lokatorów. Jeśli rozejdą się pogłoski, że jestem dobry, nie uda mi się zebrać nawet połowy czynszu.

– Oczywiście – przytaknął Malicorne. – We wszystkich sprawach trzeba być przewidującym. Ale niech pan będzie spokojny, panie Gorgerin. Widuję wiele ludzi i nigdy nie zdarzyło mi się słyszeć, żeby ktoś uważał, że pan jest dobry.

– Tym lepiej, tym lepiej.

– W pewnym sensie może istotnie lepiej...

Malicorne nie skończył swojej myśli. Wyobraził sobie grzesznika, który znajdzie się przed boskim trybunałem poprzedzony opinią całego miasta o jego dobroci. Odprowadziwszy klienta do drzwi poszedł prosto do kuchni i w obecności przerażonej żony powiedział do służącej:

– Melanio, podwyższam ci pensję o 50 franków miesięcznie.

Nie czekając na podziękowania wrócił do gabinetu i zapisał w zeszycie, w kolumnie dobrych uczynków: „Spontanicznie podwyższyłem o 50 franków pensję Melanii, choć to fletuch”. Nie mając już komu dać podwyżki poszedł do dzielnicy nędzarzy odwiedzić kilka ubogich rodzin. Przyjmowano go z pewnym lękiem i z wrogą rezerwą, ale szybko wszystkich uspokajał i na odchodnym zostawiał pięćdziesięciofrankowy banknot. Przeważnie po jego wyjściu lokatorzy; kładli pieniądze do kieszeni mrużąc pod nosem: „Stary złodziej (albo „stary zbój” lub „dusigrosz”), łatwo mu być miłosiernym mając to wszystko, co zarobił na naszej nędzy”. Ale raczej nadrabiali tylko miną, gdyż byłoby im wstyd zmienić nagle poglądy.

Wieczorem w dniu wskrzeszenia Malicorne zapisał w kajecie dwanaście dobrych uczynków, które kosztowały go 600 franków, i ani jednego złego. Nazajutrz i w dni następne w dalszym ciągu rozdawał pieniądze potrzebującym rodzinom. Wyznaczył sobie dzienną średnią dwunastu dobrych uczynków, którą podwyższał do piętnastu lub szesnastu, kiedy wątroba albo żołądek dawały mu się we znaki. Nieco gorsze niż zwykle trawienie przysporzyło nową, pięćdziesięciofrankową podwyżkę staremu Bourrichon, który niegdyś obawiał się tego rodzaju niedyspozycji, gdyż prawie zawsze padał ich ofiarą.

Taka dobroczynność nie mogła przejść nie zauważona. W mieście krążyć zaczęły słuchy, że Malicorne toruje sobie drogę do kandydowania w wyborach, za dobrze go znano, by uwierzyć, że postępuje bezinteresownie. Przez moment ogarnęło go zniechęcenie, ale uprzytomniwszy sobie wysokość stawki, opamiętał się i podwoił jałmużny. Nie ograniczał się już tylko do osób prywatnych, lecz hojnie łożył na miłosierne uczynki Pań Dobroczynnych, obdarował miasto, proboszcza parafii, towarzystwa wzajemnej pomocy, bractwo strażaków stowarzyszenie byłych uczniów gimnazjum i wszystkie instytucje charytatywne, chrześcijańskie i laickie, kierowane przez wpływowe osobistości. W ten sposób w ciągu czterech miesięcy wydał prawie jedną dziesiątą swego majątku, za to jego reputacja solidnie się ustaliła. W całym mieście podawano go za wzór miłosierdzia, a przykład okazał się tak zaraźliwy, że ze wszystkich stron zaczęły napływać dary do instytucji filantropijnych; komitety organizacyjne mogły wydać szereg bankietów, na których serwowano wykwintne i obfite jedzenie i wygłaszano budujące przemówienia. Sami ubodzy nie musieli już udawać wdzięczności wobec Malicorne'a, którego dobroć stała się przysłowiowa. Mówiono potocznie: „Dobry jak Malicorne”, zdarzało się nawet często, coraz częściej, że nie zastanawiając się używano innego, jakże zdumiewającego określenia, które w uszach nie wtajemniczonych brzmiało jak nieco ironiczny żart: „Dobry jak komornik”.

Malicorne'owi pozostawało tylko utrzymać się w roli; trwając w swych dobrych uczynkach ze spokojnym sercem czekał, aż Bóg zechce wezwać go do siebie. Kiedy przynosił dary stowarzyszeniu Pań Dobroczynnych, przewodnicząca, pani Święty-Onufry, mówiła mu czule: „Panie Malicorne, jest pan święty”. A on z pokorą protestował: „Ależ proszę pani, święty – to za dużo powiedziane. Jeszcze mi do tego daleko”.

Jego żona, praktyczna i oszczędna gospodyni, uważała, że cała ta dobroć za drogo kosztuje. Była tym bardziej poirytowana, że domyślała się przyczyny tych szalonych wydatków. „Kupujesz sobie miejsce w raju – mówiła bez ogródek – ale grosza nie dajesz na moje. Znam twój egoizm”. Malicorne słabo oponował, mówił, że daje dla samej przyjemności dawania, ale boleśnie odczuł te zarzuty i sumienie miał niespokojne. W końcu upoważnił żonę do wydawania tylu pieniędzy, ile uzna za stosowne, by zasłużyć sobie na niebo. Z oburzeniem odrzuciła tę hojną ofertę i nie mógł się powstrzymać od uczucia dużej ulgi z tego powodu.

Po roku rejestr dobrych uczynków komornika zapełnił sześć szkolnych zeszytów. Co chwila wyjmował je z szuflady, z zadowoleniem ważył w rękę, a czasem do późna przeglądał. Nic bardziej pokrzepiającego nad widok tych stronic, gdzie dobre uczynki zapisane były w równych rzędkach obok szerokich białych marginesów, z których większość pozostała nie skażona złymi uczynkami. Malicorne, czując przedsmak niebiańskich rozkoszy, marzył o chwili, kiedy stanie przed boskim trybunałem z tym imponującym bagażem.

Pewnego ranka, wracając po zajęciu mebli bezrobotnego ulicznymi dzielnicami biedaków, komornik poczuł się nagle jakiś nieswój. Jego serce przepełniało uczucie przejmującego i melancholijnego niepokoju, nie odnoszącego się do niczego określonego, którego nigdy przedtem nie odczuwał. A przecież spełnił swój obowiązek bez lęku i zbędnej litości, a po całej operacji ofiarował bezrobotnemu pięćdziesięciofrankowy banknot i nawet się nie wzruszył.

Na ulicy Poterne wszedł do starej nędznej kamienicy, wilgotnej i cuchnącej, która należała do jego klienta, pana Gorgerina. Znał ją od dawna, gdyż wielokrotnie zajmował tam meble lokatorów, a poprzedniego dnia był tam, by rozdać jałmużnę. Pozostało mu trzecie piętro. Przeszedł ciemnym korytarzem o lepkich ścianach, wspiał się po trzech schodkach i znalazł się na poddaszu. Na trzecie i ostatnie piętro światło dzienne docierało tylko przez małe okienko w mansardowym dachu. Malicorne, nieco zdyszany wspinaczką, zatrzymał się na chwilę i rozejrzał dokoła. Tynk mansardowych ścian pod wpływem wilgoci tworzył wybrzuszenia, które w niektórych miejscach popękały, ukazując, jak wnętrze wrzodu, czarne i zgniłe drewno krokwi. Pod okienkiem ujrzał miskę i ścierkę, które nie chroniły jednak dostatecznie podłogi przed przeciekającą wodą deszczową, gdyż była zżarta, spróchniała, a miejscami miękka jak chodnik. Ani wygląd ciemnego i ciasnego poddasza, ani zaduch, jaki tu panował, nie dziwiły komornika, który nie takie rzeczy widział w ciągu swej kariery. A jednak niepokój jego wzrósł i jak gdyby spotęgował się. Usłyszał płacz dziecka, ale nie mógł zorientować się, z którego z dwóch znajdujących się na poddaszu mieszkań głos dobiega; zastukał na chybił trafił do jednych z dwojga drzwi.

Mieszkanie składało się z dwóch przechodnich pokoików, wąskich jak korytarz; w pierwszym, do którego światło dochodziło tylko przez oszklone drzwi, było jeszcze ciemniej niż na korytarzu. Malicorne'a przywitała szczupła kobieta o bardzo młodej, ale zmęczonej twarzy. Dwuletnie dziecko o zapłakanych oczach trzymało ją za spódnicę, przyglądało się gościowi z ciekawością i już o swoim zmartwieniu zapomniało. Umeblowanie drugiego pokoju, do którego komornik został wprowadzony, składało się z łóżka polowego, stolika z jasnego drzewa, dwóch krzeseł i starej maszyny do szycia, stojącej pod mansardowym oknem wychodzącym na dachy. Nędza tego pomieszczenia nie różniła się niczym od tego, co już widział gdzie indziej, ale po raz pierwszy w życiu Malicorne poczuł się onieśmielony wchodząc do biedaka.

Zazwyczaj jego samarytańskie wizyty trwały bardzo krótko. Nawet nie siadając zadawał kilka zwięzłych pytań, wyrzucał z siebie pocieszającą formułkę i zostawiwszy jałmużnę

czym prędzej wychodził. Tym razem sam dobrze nie wiedział, po co przyszedł i zapomniał sięgnąć do portfela. Myśli uciekały mu z głowy, a słowa zamierały na ustach. Ledwie śmiał podnieść oczy na krawcową, wstydząc się, że jest komornikiem. Ona ze swej strony była nie mniej onieśmielona, choć jego reputacja jako człowieka miłosiernego była jej od dawna znana. Cały ciężar rozmowy spadł na dziecko. Początkowo zalęknione, szybko się oswoiło i samo wdrapało się na kolana Malicorne'a. Ten tak gorąco żałował, że nie ma cukierków dla małego, że aż chciało mu się płakać. Nagle usłyszeli głośne stukanie do drzwi, jakby uderzenie laską. Krawcowa wydawała się wstrząśnięta, wyszła z pokoju zamykając za sobą drzwi.

– No i co? – spytał niski, twardy głos, w którym Malicorne rozpoznał głos Gorgerina. – No więc? Spodziewam się, że to nastąpi dziś?

Malicorne usłyszał w odpowiedzi niewyraźny szept, ale jego sens łatwy był do uchwycenia. Gorgerin zaczął okropnie wrzeszczeć, czym przstraszył dziecko, i słysząc go było chyba w całej kamienicy:

– O, nie! Mam tego dość! Nie będzie mi pani dłużej zawracać głowy bzdurami. Chcę dostać swoje pieniądze! Dawać mi tu pieniądze, i to zaraz! Gdzież pani chowa te oszczędności? Chciałbym je zobaczyć!

W innej sytuacji Malicorne podziwiałby, jako znawca, zapał, z jakim Gorgerin wykonywał ciężką pracę polegającą na pobieraniu czynszu od biedaków. Ale tym razem odczuwał ten sam strach, który przyspieszył bicie serca dziecka tulącego się w jego ramionach.

– Dawać mi tu pieniądze! – grzmiał Gorgerin. – Albo je dostanę, albo sam je znajdę!

Komornik wstał, posadził dziecko na krześle i wszedł do pokoju bez żadnych konkretnych zamiarów.

– O proszę, o wilku mowa...

– Jazda stąd! – rozkazał Malicorne.

Zaskoczony Gorgerin patrzył nań ze zdumieniem.

– Jazda stąd! – powtórzył Malicorne.

– Pan stracił rozum. Ja jestem właścicielem.

Istotnie, Malicorne stracił rozum, gdyż runął na Gorgerina i wyrzucił go z mieszkania wrzeszcząc na całe gardło:

– Tak, właścicielem! Brudną świnia! Precz z właścicielami! Precz z właścicielami!

W obawie o własne życie Gorgerin wymierzył z pistoletu w komornika, strzelił i położył go trupem na korytarzu, obok miski i ścierki.

Bóg przechodził właśnie przez salę audiencyjną, kiedy Malicorne został wezwany.

– O! – powiedział. – Otóż i nasz komornik. I jakże się sprawował?

– Długo nie będziemy się rozliczać – odparł święty Piotr – daję słowo.

– Przyjrzyjmy się jego dobrym uczynom.

– Och, nie mówmy o dobrych uczynkach. Ma tylko jeden na swoim koncie.

Tu święty Piotr uśmiechnął się czule do Malicorne'a. Komornik chciał zaprotestować, opowiedzieć o wszystkich dobrych uczynkach zapisanych w kajetach, ale święty nie dał mu dojść do słowa.

– Tak, jeden jedyny dobry uczynek, ale dużej wagi. On, komornik, wykrzyknął: „Precz z właścicielami!”

– Jakie to piękne – wyszeptał Bóg. – Jakie piękne.

– Wykrzyknął to dwa razy i przez to zginął w momencie, kiedy bronił biedaczkę przed okrutnym właścicielem.

Oczarowany Bóg nakazał aniołom zagrać na cześć Malicorne'a na lutni, altówce, oboju i fłażolecie. Następnie kazał otworzyć przed nim na oścież Bramy Nieba, tak jak przed biedakami, żebrakami, nędzaczami i skazańcami. I komornik, unoszony na falach muzyki, wkroczył do Raju z świetlistym kółkiem wokół głowy.

Czekając

W czasie wojny. 1939-1972 przed sklepikiem przy ulicy Caulaincourt na Montmartre stało w kolejce czternaście osób, które się zaprzyjaźniły i postanowiły nigdy się nie rozstać.

– Nie mam specjalnej ochoty wracać do domu – powiedział starzec. – Zimno tam, sam muszę zjeść mój chleb, dwieście gramów dziennie, i mało co do tego. Miesiąc temu umarła mi żona. I to nie tyle z niedostatku – jak wam powiem, to nie uwierzycie – umarła z powodu lisa. Gdyby nie wojna, żyłaby na tym świecie i, jak to mówiła, nie zasłużyliśmy na taki los. Nie chcę się nad sobą użalać, ale całe życie pracowałem i co mi z tego przyszło? Ogromne zmęczenie i troski, ot co. Przez czterdzieści lat sprzedawałem tkaniny ozdobne. To ciężka praca, choć może się tak nie wydaje, całymi dniami na nogach, trzeba uważać na klientów, zawsze się uśmiechać, zawsze uprzejmie odpowiadać, nigdy się nie zapominać. Kierownik stoiska siedzi ci na karku i pilnuje, a jeśli słusznie czy niesłusznie cię obsztorcuje, to musisz tylko schylić czoło. Albo to, albo za drzwi. Zarobki ledwie na życie starczały. Stała pensja szła na mieszkanie, a procent od sprzedaży to też nie była Kanada. Żebyście to sobie mogli przedstawić, to w 1913 było tego razem 180 miesięcznie. Weźcie jeszcze pod uwagę trzy córki, które trzeba było wychować, dlatego właśnie żona nie mogła zarabiać. Też nie miała lekkiego życia: dwie dziewczyny były zdrowe, jedna stale chora, jak tu sobie radzić prawie nie mając pieniędzy? W 1914 byłem zwykłym żołnierzem, na tyłach oczywiście, ale przez pięć lat nic prawie nie zarobiłem. Wracam w 1919, moje miejsce zajęte. W końcu udało mi się znaleźć pracę u Bourakima i Balandra. W tamtych latach handel szedł dobrze. Dostawałem duży procent, dziewczęta też zaczęły zarabiać. Żona mówiła, że tym razem wszystko jednak idzie na lepsze. Ale miałem już 48 lat i wiedziałem, że trzeba zacząć odkładać. Kiedy robiła większe wydatki, mówiłem o oszczędnościach. Moja żona była ładna, już nie taka młoda oczywiście, ale ładna i nie miała czasu ani pieniędzy, żeby się stroić. Żeby o tym myślała, to za dużo powiedzieć. Raczej żal jej było samej siebie. W końcu wbiła sobie do głowy, że musi mieć srebrnego lisa. Mówiła o tym jakby mimochodem, wiecie, tak jak to czasem się mówi: gdybym był bogaty, kupiłbym... W głębi duszy wiedziała, że to szaleństwo. Więc kiedy sam powiedziałem: „Właściwie moglibyśmy kupić tego twojego lisa” – to się wzbraniała. Ale chęć miała nadal. Mija osiem, dziesięć lat, kłopoty, najmłodsza w sanatorium, zięć się rozpił. Moja żona mówi o swoim lisie ze śmiechem, ale wiecie, z bardzo smutnym śmiechem. Bolało mnie to. Któregoś wieczoru wychodząc od Bourakima spotykam mojego dawnego szefa, który pyta, czy nie chciałbym u niego pracować jako kierownik stoiska. Wyobrażacie sobie, ja – kierownikiem stoiska, myślałem, że śnię. Z drugiej strony byłem niespokojny. To było w 1934, miałem prawie 63 lata. W tym wieku człowiek nie ma już ochoty rozpychać się łokciami, nie ma się już w sobie tej brutalności, jakiej trzeba, żeby dobrze rządzić. Ale nie mogłem przepuścić takiej okazji. Dla mnie to była piękna sytuacja, nie mówiąc już o satysfakcji, że jednak udało się coś w życiu osiągnąć. Żona też była zadowolona. Wiecie, jakie są kobiety. Stoi sobie w sklepiku, rozmawia, mówi do sąsiadki: „Załatwię pani zniżkę, mój mąż jest szefem stoiska u Nadara”. Trochę nam to uderzyło do głowy. Pewnego pięknego wieczoru przyszedłem do domu z paczką w rękę, to był srebrny lis. Piękna bestia, nie kupowałem kota w worku. Jako sprzedawca człowiek wyrabia sobie stosunki. Znałem kuzyna jednego futrzarza z bulwaru Strasbourg. Lis kosztował mnie dwa tysiące, ale był tyle wart. Kiedy go rozpakowałem, rozplakała się. Nigdy nie widziałem kogoś tak szczęśliwego. Nie śmiała uwierzyć. Jednak nieczęsto wkładała swojego lisa, cztery, pięć, może sześć razy, jakaś uroczystość, chrzciny, kolacja w mieście. Czasami, kiedy wychodziliśmy w niedzielę, mówiłem jej: „Mario! włóż tego twojego lisa”. Ale nie, bała się, że go zniszczy. Opakowała go w papier i

włożyła do pięknego pudła z kulkami naftaliny. Raz w tygodniu, w czwartki, wietrzyła go w oknie, również dlatego, by go podsunąć pod nos sąsiadom, by im pokazać, że ma srebrnego lisa. I wiecie, jak to jest, większą miała z tego przyjemność, niż gdyby nosiła go codziennie. Była szczęśliwa, ja też. A potem, w 1937, ja, taki zawsze twardy, poczułem się gorzej, starość mnie nagle naszła. Ciężka głowa, senność, spuchnięte nogi, w pracy byłem skończony, trzeba było ją przerwać i zacząć żyć z oszczędności. Mieliśmy sześćdziesiąt pięć tysięcy franków, które ulokowaliśmy na rentę dożywotnią. Ale i tak dochód z tego był niewielki, zdajecie sobie sprawę. A jednak dawało się żyć przyzwoicie, byliśmy rozsądni, to wszystko. Potem nadeszła wojna, Niemcy, ucieczka. Zastanawialiśmy się nad tym. Wyobrażałem to sobie tak: pięć lat wojny nad Loarą, moje córki i zięciowie po drugiej stronie, umieramy nie zobaczywszy naszych dzieci. Uciekliśmy więc, ja z odrobiną bielizny w walizce, żona z lisem w pudle. Miesiąc później byliśmy z powrotem. Dopóki było ciepło, jakoś to szło, ale później... Przyśzło rysowała się ponuro, w sensie jedzenia i pieniędzy. Poza tym dwóch zięciów w niewoli, trzeba było pomóc jednej z małych, która spodziewała się dziecka... Nie dawaliśmy sobie rady. Ceny rosły, rosły, a renta się nie zmieniała. Na dobitkę ostatniej zimy zachorowałem. Lekarz powiedział, że powiniennem się lepiej odżywiać. Oczywiście, ale pieniądze... „W porządku – powiedziała moja żona – nie martw się, tym razem jeszcze z tego wybrniemy”. To prawda, na wiosnę czułem się mniej więcej w porządku, ale za to ona zaczęła mi marnieć. Melancholia, miękkie nogi, serce, żołądek, słowem bida z nędzą, musiała położyć się do łóżka. Któregoś czwartku, rankiem, przed wyjściem z domu, to było pod koniec lata, słoneczko przygrzewało, pytam: „Mario, chcesz, żebym powiesił twego lisa w oknie?” Jej biedna głowa na poduszce obraca się do mnie, oczy błyszczą jak nigdy przedtem, broda drży. „Sprzedałam swojego lisa” – mówi. Sprzedała go za osiemset franków. Miesiąc temu, kiedy umarła, chciałem kupić jej lisa, żeby go nie żałowała w grobie. „Jeśli to nie za drogie – myślałem – to może uda się pożyczyć pieniędzy”. Dowiadywałem się. Srebrny lis kosztuje okazjnie około dziesięciu tysięcy.

– Jeść mi się chce – powiedziało dziecko. – Zawsze jeść mi się chce.

– Lepiej, żebym nie wracała – powiedziała młoda kobieta. – Mój mąż jest w niewoli na Śląsku. Mam dwadzieścia pięć lat, on dwadzieścia osiem, wojna nigdy się nie skończy. Mijają dni, miesiące, lata, ja żyję bez niego i nawet dobrze żyję. Cóż z tego, że mam jego fotografię w torebce, w pokoju, na wszystkich meblach, teraz sama o wszystkim myślę i o wszystkim decyduję. W niedziele chodziłam z nim na mecze rugby, piłki nożnej albo na wyścigi kolarskie. Biłam brawo, krzyczałam: „Naprzód!” albo: „Spadaj!”, co dzień czytałam „Sportowca” i mówiłam mu: „Spójrz no, Magne utrzymuje się w świetnej formie”. Teraz w niedzielę chodzę do kina albo siedzę w domu. Kiedy wróci, nie będę umiała udąć, że sport mnie interesuje. Czuję, że nawet nie będę próbowała. Nieczęsto widuję ludzi, których on lubił. Przed wojną chodziliśmy do Bourillotów, oni wpadali do nas. Bourillot był szkolnym kolegą mego męża. Przespał się kiedyś z aktorką, znał jednego senatora i spędził piętnaście dni w Nowym Jorku. Męża traktował jak niedołęgę, nazywał go Duchnoc i Lahuri *, podszczypywał mnie przy nim w pośladki, bo to śmieszyło jego żonę. Wracając do domu mąż mówił: „Jacy to uroczy ludzie ci Bourillot”. „Tak” odpowiadałam, nie tylko dlatego, żeby mu zrobić przyjemność, to było „tak” płynące z serca. Teraz sam dźwięk głosu tego Bourillot jest dla mnie nieznośny. To samo z teściami. Chodzę do nich jak najrzadziej. Papierowi ludzie. A te różne drobiazgi: czytanie w łóżku, wychodzenie bez kapelusza, późne wstawanie, nieupinanie włosów, spóźnianie się na spotkania, chodzenie do teatru i tyle innych zakazanych rzeczy, które nigdy już nie będą zakazane. Jaką drogę przeszłam nie wychodząc prawie z mieszkania! Najgorsze, to ta przyjemność, że słucham tylko siebie, że sobą rozporządzam. Początkowo radziłam się go, mówiłam: „Gdyby on tu był...” Teraz robię to coraz rzadziej i po to tylko, żeby sobie powie-

* Znane postacie z kabaretu paryskiego. – *Przyp. tłum.*

dzieć: „Tak, oczywiście... Ale cóż, tak to jest”. Niebezpieczne jest też to, że ani przez chwilę za nim nie tęsknię. Boli mnie, że on jest tam, dałabym wszystko na świecie, żeby stamtąd wrócił, ale nigdy nie tęsknię. Mam swoje życie, życie przeze mnie ustawione, które nigdy już nie złączy się całkowicie z innym życiem. Kiedy wróci, wszystko będzie oczywiście tak, jak gdyby nic się nie zmieniło. Będę z nim chodzić na rugby, odwiedzać Bourillotów i teściów, spróbuję nie czytać w łóżku. Ale na pewno będę miała do niego pretensję, cały czas będę pamiętać, że można żyć inaczej, bardziej szczerze i prawdziwie. Nie jestem już tą samą kobietą, którą on zostawił, zmieniłam się. Co mogę na to poradzić? Para ludzi to nie związek chemiczny. Kiedy ludzie się rozłączają, nie wystarczy połączyć ich na powrót, by odbudować to, co zostało zburzone. Ludzie, którzy wypowiadają wojny, powinni o tym pomyśleć. Groźne jest też to, że jestem rozważna i że taka zostanę – szybko, odpukać w nie malowane drzewo. Nie będę miała sobie nic do wyrzucenia, nic nie trzeba mi będzie wybaczać. Znam jedną żonę jeńca, która natychmiast wzięła sobie kochanka. Ale kiedy mąż wróci, łatwo na nowo się do niego przyzwyczai, ich życie potoczy się jak dawniej. Wiem, są kobiety, które późno wychodzą za mąż, mając trzydziestkę albo i więcej, kobiety, które już swoje przeżyły, ale one muszą się tylko przystosować, lepiej lub gorzej. Nie muszą ukrywać, że nudzą je mecze rugby. Ich szczerść nie wygląda na zdradę. Nikt nie żąda, aby robiły albo mówiły rzeczy, w które nie wierzą. Mówi się, że miłość czyni cuda. To też mnie przeraża. Gdyż będę musiała na nowo pokochać wyścigi kolarskie i Bourillotów. Nie wiem, czy mam sobie tego życzyć. Podobam się sobie taka, jaka teraz jestem. Powinnam może napisać Maurice'owi, on ma na imię Maurice, to, co wam mówię. Nie mam odwagi. Wiem, że czeka na dzień, kiedy życie potoczy się jak dawniej. W ostatnim liście pisze: „Pamiętasz naszą ostatnią niedzielę na torze wyścigowym?” Wyobraźcie sobie, jaki to byłby cios dla niego, gdybym była szczerą? Żyjąc samotnie nauczyłam się jednak niczego nie ukrywać. Przy pierwszej scenie, jaką mi zrobi albo jaką ja mu zrobię, będę miała wiele do powiedzenia! Boję się o tym myśleć. Póki jest jeszcze czas, powinnam na nowo nauczyć się kłamać. W sumie, potrzebuję przyjaciół.

– Straciłam wiarę w Boga – powiedziała stara kobieta. – Wczoraj wieczorem dostałam dwa jajka, dwa prawdziwe jajka. Wracając do domu potknęłam się na chodniku i oba stłukłam. Nie wierzę już w Boga.

– Ja – powiedziała matka rodziny – zawsze się trochę boję wracać. W domu czeka na mnie czworo dzieci. Najstarsze ma dwanaście lat. Piąte umarło w 1941, po brukwianej zimie. Gruźlica mi je zabrała. Powinno codziennie jeść mięso i pożywne jedzenie. Skąd miałam wziąć? Mąż na kolei, ja – jeśli miałam czas – przy sprzątanii, możecie sobie obliczyć, że za to nic się nie kupi na czarnym rynku. Zmarło, można powiedzieć, z głodu. Z pozostałymi też jest kiepsko, chude, zabiedzone, blade, ciągle jakiś katar albo coś z gardłem, zmęczone, oczy podbite, nie mają ochoty się bawić. Kiedy wracam z miasta, wszyscy czworo zaglądną mi do torby. Krzyczę na nich: „Nie płączcie mi się pod nogami!” Odchodzą nigdy nic nie mówiąc. Czasami już nie mogę tego wytrzymać, nie mam siły. Wczoraj torba była pusta, ale to zupełnie pusta, niczego w niej nie było. Jak zobaczyłam, że podchodzą do mnie we czwórkę, to jakby mi serce pękło, popłakałam się. Zimno jest, a nie grzeją, gaz od ośmiu dni wyłączony, nie mam nic ciepłego, żeby im do brzucha włożyć. Od tego zimna skórę mają szarą, oczy martwe, wyglądają, jakby chcieli powiedzieć: „Cośmy zbroili?” Odmrożenia, popękane stopy, trzeba widzieć ich nogi. Drewniaków nawet na kartki nie można zdobyć, to nie na naszą kieszeń. Mam teraz trzy pary na ich czworo. Na szczęście zawsze co najmniej jedno jest chore i leży w łóżku. Chodzę czasem do merostwa prosić o dodatkowe kartki – na to, na owo. Nie powinnam, wiem, co mnie spotka, ale jak widzę te moje dzieciaki – kaszlące, wychudzone, z pustymi brzuchami, to to jest silniejsze ode mnie, idę prosić. Odsyłają mnie do diabła, krzywią się, klną, możecie sobie wyobrazić. Nie jestem dość dobrze ubrana. Gdziekolwiek się zwracam” zawsze to samo. Urzędnik w okienku to pies bogaczy i panów. Kiedy widzi biedaka, szczerzy zęby. Co mi kazało rodzić tyle dzieci? Sama chciałam tego, co mam. Jeżeli

wszyscy czworo zginą, co to kogo obejdzie? Przecież nie rząd ani nie merostwo. Bogaczy jeszcze mniej. Kiedy moje dzieci umierają z głodu, te świny żrą jajka po dwadzieścia franków sztuka, mięso przy każdym posiłku, masło za czterysta franków, kurczaki, szynki, aż im kamizelka pęka. A ubrania, buty, kapelusze, niczego im nie brakuje, bądźcie spokojni. Bogacze jedzą więcej niż przed wojną, zmuszają się do jedzenia, ze strachu, że coś zostanie dla biedaków. Nic nie zmyślam. Wczoraj widziałam w sklepie dwie wystrojone damy – futra, biżuteria, pekińczyk – mówiły, że ze strachu, że zabraknie, ludzie jedzą dwa razy tyle co dawniej. „Tak u nas jest” – mówiły. Tacy są bogacze. Mordercy, dzieciobójcy, oto kim są. No, ale wojna wiecznie trwać nie będzie. Jak Niemcy sobie pójda, to się policzymy. Wszystkim, którzy gęby mają świeże, a brzuchy spalone, będziemy mieli dwa słowa do powiedzenia. Za każdego dzieciaka, którego mi zamordują, wybiorę sobie dziesięciu. Drewniakami ich zatłukę, po pysku będę walić, długo. Chcę, żeby cierpieli. Te świny z napchanymi kałdunami przychodzą opowiadać nam o honorze, lojalności i tym podobne. Ja o honorze porozmawiam, jak moje dzieci nie będą głodne. Czasami mówię do męża: „Wiktor – mówię – zakręć się na tym twoim dworcu, są tacy, co kradną paczki dla jeńców, rób to samo, każdy dba o własny brzuch, bogacze kpią sobie z praw, które sami sfabrykowali, nie łam się, każdy dla siebie, wszystko jedno jak”. Ale on, wiecie, ojciec rodziny, uczciwy człowiek. Tylko honor ma w gębie, mdli mnie od tego. Tym gorzej dla nas.

– Gdybyście wiedzieli, co mi się zdarzyło – powiedziała dwunastoletnia dziewczynka. – Kiedy wracałam wieczorem do domu, na schodach przy ulicy Patureau stał mężczyzna, wysoki, nieogolony, pośpny i przyglądał mi się, nie umiem powiedzieć jak. Moja matka często mówi, że wszyscy mężczyźni to świny. Ale tego to się naprawdę bałam. Ukrył się w jakimś kącie, a kiedy przechodziłam, skoczył na mnie. Rozciągnął mnie jak długą na ziemi. I skradł mi sznurowadła.

– Jestem zmęczona – powiedziała stara panna. – To życie, wszystko, co się teraz dzieje, to już nie dla mnie. Jestem krawcową z ulicy Hermel, ale teraz dużo nie szyję, nie muszę wam tego mówić. Już przed wojną było ciężko. Szyłam suknie, płaszcze, kostiumy, bluzki też. Dawniej miewałam do pięciu pracownic i mieszczańską klientelę. Potem przyszła konkurencja. Wielkie magazyny, specjaliści od kostiumów, od sukien, od bluzek. I gotowa konfekcja, seryjna produkcja. Szyli prawie lepiej niż ja, tyle że mniej solidnie, za to taniej, trzeba to przyznać. Więc robiłam przeważnie poprawki, przeróbki, miałam tylko jedną szwaczkę, źle jej płaciłam, ale jak mogłam inaczej? Teraz nie mam materiału. Powiecie, że jest przecież czarny rynek, ale ja się na tym nie znam. I nie mam kapitałów. Gdy się jest starym, to żeby wejść na czarny rynek, trzeba mieć pieniądze albo znać się na interesach, albo być na państwowej posadzie. Przed wojną szyłam też z powierzonego materiału. To się właściwie skończyło. Kobiety, które kupują materiał po tysiąc pięćset franków metr, życzą sobie fasonów, za które też trzeba drogo zapłacić. Poniżej dwu czy trzech tysięcy franków nie mają zaufania do krawcowych, a jeśli ja zażadam ponad trzysta, śmieją mi się w nos. Jestem starą krawcową. Ludzie mówią o mnie, że jestem starą krawcową z ulicy Hermel, która wykonuje drobne prace za pół darmo. Tak, starą krawcową. A jeszcze dziesięć lat temu ubierałam handlowców, a nawet żony adwokatów i komisarzy. Czy byście uwierzyli, gdybym wam powiedziała, że to ja szyłam suknie pani Bourquenoir, żony radcy miejskiego? Jak pomyślę, do czego doszłam – przerabianie ubrań biedakom, krojenie chłopięcych portek ze starych płaszczy, łatanie, cerowanie... Ciężko się z tym pogodzić, jeśli się kiedyś było prawdziwą krawcową. Gdyby chociaż tej roboty było pod dostatkiem, ale gdzie tam. Moje szczęście, że w ogóle jeszcze dostaję jakąś pracę, tym, co na kartki, nie można się najeść do syta. Mam sześćdziesiąt pięć lat, nigdy nie byłam ładna i jeśli na coś w życiu liczyłam, to na to, że mam zawód, prawdziwy zawód: „Panna Duchat – suknie, płaszcze, kostiumy”. Jeszcze nawet tuż przed wojną znali mnie sklepikarze. Choć tak mało kupowałam, to przecież uśmiechali się, grzecznie witali: „Dzień dobry, panno Duchat”. Ale dziś uśmiechają się tylko do pieniędzy. Biednych już nie poznają.

Może wojna kiedyś się skończy, ale ja pozostanę na uboczu. Kobiety odnajdą swoich mężczyzn, mężczyźni swoją pracę, ale nikt mi o tym nawet nie opowie. Niczego już nie oczekuję.

– Chciałbym, żeby koniec świata nastąpił przed południem – powiedział chłopak. – Zgubiłem wszystkie nasze kartki na chleb. Matka jeszcze nic nie wie.

– Mam tego po uszy – powiedziała prostytutka. – Wiecie, kim jestem, ale nie trzeba sobie za wiele wyobrażać. Ludzie myślą, że w tym zawodzie można się nieźle utuczyć. Oczywiście, znajdziecie kobiety, które zarabiają sto kawałków dziennie, ale nie dla mnie taka robota. Biorę, co podleci, mój klient to klient przeciętny, który wyskrobie coś tam z pensji na rozrywkę. Dawniej zarabiałam dziennie sto franków jak obszył, może trochę więcej. Żyjąc dosyć oszczędnie dawaliśmy sobie radę, ja i mój chłop, mogliśmy nawet coś niecoś odłożyć. Fernando wymarzył sobie, że kupimy kiedyś bistro nad Marną. Przed wojną to było jeszcze możliwe. A i wojna byłaby może fajną rzeczą, gdyby kraj był przygotowany. Ale za dużo było luzu, od góry do dołu, Francuz za bardzo lubi pożyć. Popełniliśmy błąd, no i teraz krewa. Na początku nie było najgorzej, przeciwnie. Ludzi było pełno, mężczyzna trafiał się gęsto, chciał baby. Nawet później, kiedy Niemcy weszli do Paryża, żyło się nam lekko. Wszystkich żołnierzy wysyłano na zwiedzanie Paryża. Teraz żołnierz się przzerzedził. Skończyła się epoka turystyki. No i ledwie starcza czasu na pracę. O tej porze roku o szóstej jest już ciemno, trzeba pracować w kawiarni. Konsumpcja drogo kosztuje, kobiet jest oczywiście mnóstwo, a dla klienta, w sensie atmosfery, to nie to samo co ulica. Ja też na tym dobrze nie wychodzę. Są kobiety, co mają w oczach zepsucie albo prowokujące piersi. Nie wiem, czy zauważyliście, ale to, co mam najlepszego, to nogi do pasa. Przecież nie mogę usiąść na stole. Niektóre dziewczyny mówią po niemiecku, to ułatwia sprawę z żołnierzami. Fernando chciał, żebym się nauczyła, posyłał mnie na kursy, ale nic mi nie wchodziło do głowy i rzuciłam to. Wiecie, jak jest, nawet slangu nigdy nie mogłam się nauczyć. To sprawa wychowania. W domu nigdy nie mówiło się slangiem. Moi starzy by nie tolerowali. Dla nich istniała tylko praca, praca, praca. W pewnym sensie mieli rację. Chodzić dzisiaj w miasto, przy takich zarobkach! Ceny trochę wzrosły, ale wszystko teraz tyle kosztuje, że to nią ma znaczenia. Opłacić mieszkanie, wyżywić mężczyznę, zdajecie sobie sprawę. A jeszcze potrzebuję bielizny, jedwabnych pończoch, a on, Fernando, też lubi się ubierać. Taki już z niego strojniś, trzeba go widzieć. Żeby chociaż chciał się czymś zająć. Znam dziewczyny, których mężczyźni jakoś sobie radzą, zaczepiają klientów na czarnym rynku. Ale on za bardzo się boi, zresztą nie potrafi. Jak się czasem wkurzę, to awanturuję się, czasem butem mu dołożę, ale potem mi go żal, taki słabeusz, mówię sobie, cóż on może, biedny fiut. Może go znacie? Na pewno. Mały, chudy, w beżowym płaszczu, jedno ramię wyższe od drugiego, gęba jak przecinek. Przed wojną moda była na połamańców, wyskrobków, półdidiotów. Pamiętacie, jak się śpiewało: *Cherlawego mam faceta, nie większego od basseta?* Z taką mentalnością siłą rzeczy przegraliśmy wojnę. Bo moralność to jest ważna rzecz, nie oszukujmy się. W każdym razie mam teraz tego mojego mizeraka dla siebie. Możecie spać spokojnie, takiego nie wyślą do Niemiec.

– Ja – powiedziała stara dama – od piętnastu dni nie mam ryby dla mego kota. Nazywa się Kiki.

– Do jasnej cholery – powiedział mężczyzna. – Niech nam dadzą wina, bo to nie do wytrzymania! Nie do wytrzymania! Kpią sobie ze mnie z tymi ich przydziałami. Wypijałem moje sześć litrów dziennie, moje cztery aperitify i kieliszek koniaku na trawienie. Krzepki byłem jak Pont-Neuf, ani jednego dnia na chorobie, zawsze gotów do pracy. Teraz popatrzcie tylko, mam pięćdziesiąt cztery lata i do niczego się już nie nadaję. Byłem blacharzem, musiałem rzucić zawód, bo cały chodzę, ręce mi się trzęsą, nogi drżą z zimna, ciężkie są jak ołów, głowa mi co chwila opada. Skąd to się wzięło? Mówię wam, krzepki jak Pont-Neuf. Tak, jak Pont-Neuf. Pont-Neuf, dobry Boże. Ale nie ma wina. Co można robić bez wina? Likwidując wino niszczyście człowieka. Czuję, jak mnie ogień w środku pali. Wytrzymać nie mogę, mówię wam. Nie mogę! Litr wina tygodniowo. Mordercy. Żona też dostaje litr, ale

wiecie, sama wszystko wypija, nic mi nie zostawi. Przedwczoraj rano dostaliśmy przydział, na wieczór żona zostawiła sobie szklaneczkę na dwie butelki. Nie mogłem wytrzymać, chciałem jej zabrać, to było silniejsze ode mnie. Oboje byliśmy jak szaleni, pobiliśmy się, garnkiem we mnie rzuciła. Pont-Neuf. Gdyby wiedzieli, ile zła wyrządzają ludziom tymi swoimi przydziałami! Mój chłopak skończy teraz trzynaście i nic nie dostaje. A przecież też potrzebuje. Dbaliśmy o chłopaka, nigdy mu wina nie brakowało. Jak miał trzy lata, to wypijał sobie kielicha przy jedzeniu. Przyzwyczajaliśmy go powolutku. Nie po to, by go skrzywdzić. Tyle, ile trzeba, bo co za dużo, to za dużo. Pont-Neuf. Jak miał dziewięć lat, to wypijał sobie litr dziennie, albo i półtora. Jak może dziecko korzystać, kiedy nie ma z czego. Tym bardziej że on nie jest taki jak ja. Zawsze był słaby, nerwowy, jakies miał paskudztwa ropiejące. Ten litr dziennie stawiał go na nogi. Teraz musi pić wodę. Czy to nie świństwo? Pont-Neuf. On jest jeszcze młody, jeszcze się odkuje, ale ja, mężczyzna pięćdziesięcioletni... Dać mi litr tygodniowo. Jeden litr. No nie, jeden litr! I czekać na to całymi dniami. Wytrzymać nie mogę!

– Jestem Żydem – powiedział Żyd.

– Skończyłam właśnie szesnaście lat, kiedy wojna wybuchła – powiedziała młoda dziewczyna. – Pamiętam, jaki był wtedy Paryż, ile ludzi było na ulicach, jaki hałas, i sklepy, i samochody; klaksony wygrywały jazz, a wszyscy mężczyźni mieli dwadzieścia lat. Kiedy wychodziłyśmy z przyjaciółkami ze szkoły, musiałyśmy torować sobie drogę w tłumie, trzeba było głośno mówić, żeby się usłyszeć, śmiałyśmy się i krzyczały. Na rogu ulic czekali na nas policjanci, tacy młodzi. Podawali nam ramię jak na balu, a kiedy przechodziliśmy, samochody ustawiały się w szpaler, i o ile dobrze sobie przypominam, żegnając nas policjanci dawali nam róże, jaśmin i niezapominajki. Wracałam do domu, na ulicę Francoeur, po drodze było pięknie. Na placu Clichy szliśmy wolno, bo ścisk i trzeba było odpowiedzieć na wszystkie uśmiechy. Chłopców zawsze było co najmniej tysiąc i wszyscy mieli kolorowe buty, jedwabne chusteczki i anielskie twarze. Patrzyli na nas oczami raz czarnymi, raz niebieskimi, a ręsy mieli złote. Nie słyszałyśmy wszystkiego, co do nas mówili, tylko niektóre słowa – miłość, serce, jutro – i imiona, nasze imiona. Przechadzali się specjalnie dla nas, wiedzieli, że pewnego dnia stanie się coś strasznego, co będzie trwać bez końca... Tłoczyli się w kawiarnianych ogródkach, wodzili za nami oczami, rzucali nam kwiaty, ptaki i słówka, od których serce skakało w piersi. Przy moście Caulaincourt byłam już trochę pijana, chłopcy szumieli mi w głowie. Pamiętam, że na tym moście, w czerwcu, słońce było takie ogromne, zmarli z cementarza pachnieli polnymi kwiatami, chłopcy szli w świetlistych ubraniach i życie było tak piękne, że krzyknęłam z radości i uniosłam się nad ziemię. Moja przyjaciółka, Jeanette Coutourier, schwyciła mnie za nogi. Długo miałam do niej żal. Najpiękniej było na ulicy Caulaincourt, otaczała wtedy serpentyną całe wzgórze.auta stojące wzdłuż chodnika tworzyły podwójną niebieską kreskę, która wiła się jak dym, a niebo było różowe. Może się mylę, jeśli tak, to powiedzcie, ale pamiętam, że drzewa były zielone przez cały rok. Na ulicy Caulaincourt było mniej przechodniów niż na moście, ale chłopcy stali w oknach, przy drzwiczkach samochodów, a zwłaszcza na drzewach. Obrzucali nas westchnieniami, słodkimi liścikami i piosenkami tak czuły, że łzy napływały do oczu. W drodze do domu spotykałam zawsze pięciu lub sześciu kuzynów, którzy szli rzekomo do mojego brata. Bawiliśmy się, śmiali, nawet trochę całowali. Teraz mogę to powiedzieć. Nocami śniłam, że zdałam maturę i w nagrodę dyrektorka pozwala mi wybrać sobie kochanka spośród stu najpiękniejszych chłopców z Butte. Dziś moje szesnaście lat jest daleko. Brat został zabity na wojnie, kuzyni są w niewoli, przyjaciele wyjechali na roboty. Spotyka się czasem młodzieńców, którzy pozostali, ale nie myślą o nas. Nie widzą nas. Ulice są puste, policjanci są starzy. Ulica Caulaincourt prawie się już nie wije. W zimie drzewa są nagie. Czy sądzicie, że wojna potrwa długo?

Czternasta osoba nie powiedziała nic, gdyż umarła nagle pośród nowych przyjaciół. Była to młoda kobieta – mąż w niewoli, troje dzieci, nędza, rozpacz, zmęczenie. Jej nowi przyjaciele udali się do merostwa, by załatwić formalności. W odpowiedzi usłyszeli od urzę-

dnika, że nie ma już trumien dla ludzi z osiemnastej dzielnicy. Wyjaśnili, że chodzi o żonę jeńca wojennego. „Cóż mogę poradzić? Przecież nie zmienię się w trumnę” – odpowiedział urzędnik. Zaczęli szukać w całej dzielnicy, ale nic nie znaleźli. Cukiernik powiedział, że może się wystarać o sosnową trumnę za piętnaście tysięcy franków, ale sieroty nie miały ani grosza, a przyjaciele też nie byli bogaci. Stolarz, uczciwy człowiek, zaoferował się zrobić dobrą imitację z dykty. Tymczasem merostwo dostało trumny i można było młodą kobietę pochować przyzwoicie.

Za trumną szli jej towarzysze, a wyszedłszy z cmentarza poszli do kawiarni, gdzie w zamian za kartkę na sto gramów chleba każdemu podano kanapkę z bulwami. Nie skończyli jeszcze jeść, gdy jeden z biesiadników zauważył, że jest ich przy stole trzynastu i że to nie wróży nic dobrego.

SPIS RZECZY

Przechodzimur (<i>Le passe-muraille</i>)	02
Sabinki (<i>Les Sabines</i>)	06
Karta (<i>La carte</i>)	21
Dekret (<i>Le décret</i>)	28
Poborca żon (<i>Le precepteur d'epouses</i>)	37
Przysłowie (<i>Le proverbe</i>)	44
Legenda połdawska (<i>Légende poldève</i>)	51
Komornik (<i>L'huissier</i>)	56
Czekając (<i>En attendant</i>)	61